REPORTERZY „WYBORCZEJ" POLECAJĄ

DOOKOŁA ŚWIATA

Podróże przez wiele granic

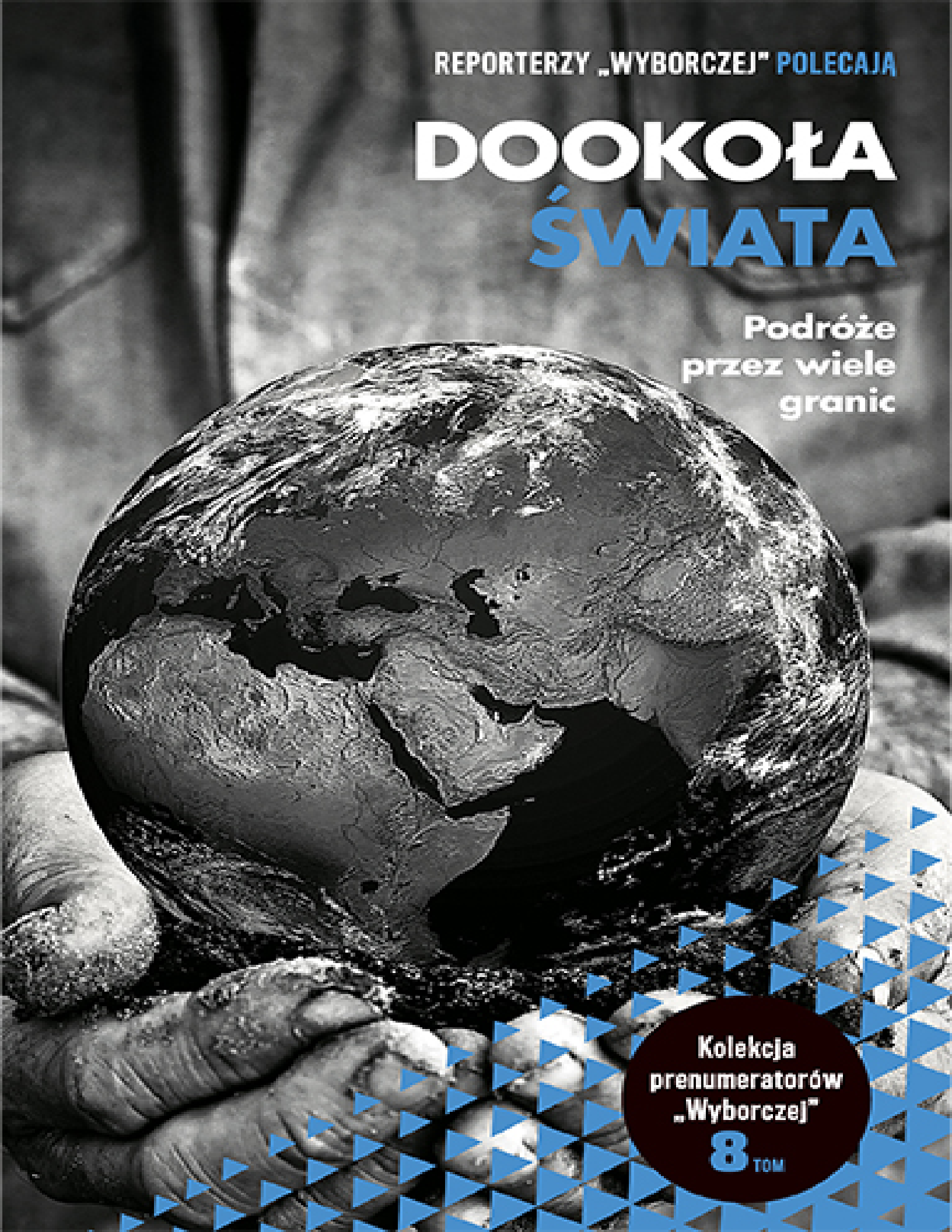

Kolekcja prenumeratorów „Wyborczej"

8 TOM

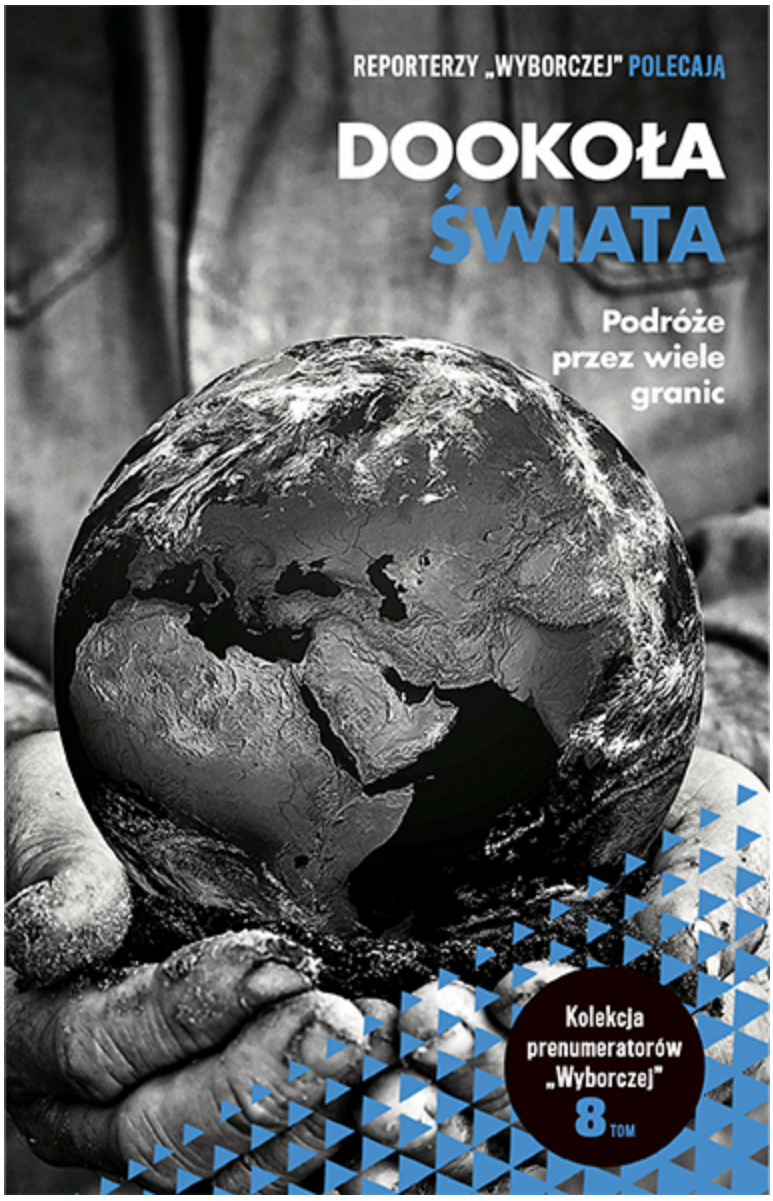
REPORTERZY „WYBORCZEJ" POLECAJĄ
DOOKOŁA
ŚWIATA
Podróże
przez wiele
granic
Kolekcja
prenumeratorów
„Wyborczej"
8 TOM

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

SPIS TREŚCI

Dookoła świata

- CEL JEST NICZYM, RUCH – WSZYSTKIM
- SZWEDZI SĄ INNI
- CZY JEST ZA CO KOCHAĆ UKRAINĘ?
- SZWEDZKA ROBOTA W AUSCHWITZ
- DLACZEGO NIEMCY ZARABIAJĄ WIĘCEJ OD POLAKÓW?
- MŚCICIEL Z LITWY
- BARMANKA Z HONGKONGU
- WYJŚĆ PO ANGIELSKU
- POLSKA DLA POLAKÓW
- PRZEZ DOLINĘ ELFÓW. SZWAJCARIA NA ROWERACH
- SYNAGOGA JEZUSA I LEGION CHRYSTUSA

„Reporterzy »Wyborczej« polecają”: Dookoła świata

Cel jest niczym, ruch – wszystkim

PIOTR GŁUCHOWSKI

FOT. SHUTTERSTOCK

Pandemia się kończy i rodzi się nadzieja, że znowu zaczniemy podróżować.

Przed pandemią, czyli przed marcem 2020 r., reporterzy więcej podróżowali, a mniej używali telefonu, Skype’a, Messengera itd. Podróżowanie było fajne, poza materiałem na tekst przywoziło się

zwykle jakieś dodatkowe wrażenia, a czasem przysmaki albo pamiątki. Wśród tekstów, które wybrałem dla Państwa do tego tomu, jest parę starych reportaży, które napisaliśmy wspólnie z Marcinem Kowalskim z redakcji „Wyborczej" w Bydgoszczy.

Kiedy w 2010 r. polecieliśmy tanimi liniami do Szwecji spotkać się z mężczyzną, który zlecił kradzież napisu „Arbeit macht frei" z bramy w Oświęcimiu (reportaż „Szwedzka robota…"), wylądowaliśmy na sztokholmskim odpowiedniku Modlina, czyli lotnisku w polu. W samym Sztokholmie mieszkaliśmy w najtańszym możliwym hostelu – na zacumowanej przy jednym z bulwarów rzecznej barce. W kambuzie służącym za jadłodajnię po raz pierwszy zobaczyłem scenę, która dziś jest już codziennością: siedzi przy stołach dziesięć czy więcej młodych osób i nikt z nikim nie rozmawia, wszyscy patrzą we własne telefony albo laptopy. Wówczas w Polsce tak nie bywało. Gdy wracaliśmy, Ryanair odwołał lot i zamiast z baraku wśród zaśnieżonych pól odlatywaliśmy z luksusowego lotniska Arlanda. Szwed poznany w palarni-kapsule (tego też jeszcze w Polsce nie było) zaprosił mnie w poczekalni na piwo. Kosztowało równowartość 40 dolarów za małą butelkę. Do dzisiaj pamiętam jego nieco ziołowy smak.

Gdy byliśmy z Marcinem w Wilnie („Mściciel z Litwy"), Litwini przygotowywali akurat własną wersję „Krzyżaków" i chętnie nam o tym opowiadali. Miała to być odpowiedź na kłamliwy ich zdaniem film Aleksandra Forda, w którym pogromcą Zakonu jest spolszczony Jagiełło i rycerze Korony. Litewska produkcja winna oddać cześć księciu Witoldowi – według naszych rozmówców faktycznemu zwycięzcy spod Grunwaldu. Rozmawiało się ciekawie (o Rzeczpospolitej Obojga Narodów i słynnym słowie „applicare"), lecz z filmu ostatecznie nic nie wyszło – zabrakło kasy. Sprawa mściciela

też nie doczekała się rozwiązania, pozostała na Litwie czymś w rodzaju naszej sprawy Olewnika albo Papały.

Jednym z najciekawszych „wyskoków na reportaż" był lot do Tel Awiwu w 2007 r. („Polska dla Polaków"). Podówczas najtaniej latało się z Łodzi. Już na łódzkim lotnisku czekali panowie ze służb Izræla, którzy każdego z pasażerów wypytywali o zajęcie, zainteresowania, odbyte podróże itp. Tel Awiw mnie oczarował. Miasto z 430 tysiącami mieszkańców (trochę większa Bydgoszcz), mające swoją dzielnicę biurowców-wysokościowców, dzielnicę uciech erotycznych, dzielnicę luksusu, dzielnicę pobożnych itd. Miasto, w którym na przestrzeni 300 metrów dało się znaleźć hotel za tysiąc dolarów od nocki, za sto dolarów i za dyszkę. Ten ostatni – prowadzona przez podstarzałego arabskiego geja nora z robakami – był za tani nawet dla nas. Zamieszkaliśmy trochę drożej – w hoteliku z widokiem na zaplecze ambasady USA i niski blok z dwoma balkonami. Na lewym co rano modlił się na stojąco chasyd, a na prawym co rano opalała się długonoga Rosjanka.

Gdy piszę te słowa (początek lutego 2022 r.), pandemia się kończy i rodzi się nadzieja, że znowu zaczniemy podróżować. Dla zarobku, a jeszcze bardziej dla przyjemności. W końcu to droga jest wszystkim. Zapraszam do lektury.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Szwedzi są inni

Gith: Umówiliśmy się, że gdy włamywacze wejdą, sąsiedzi dadzą znać naszej grupie. Czekaliśmy w samochodach w gotowości – jesteśmy przecież myśliwymi.

JOANNA STRZAŁKO

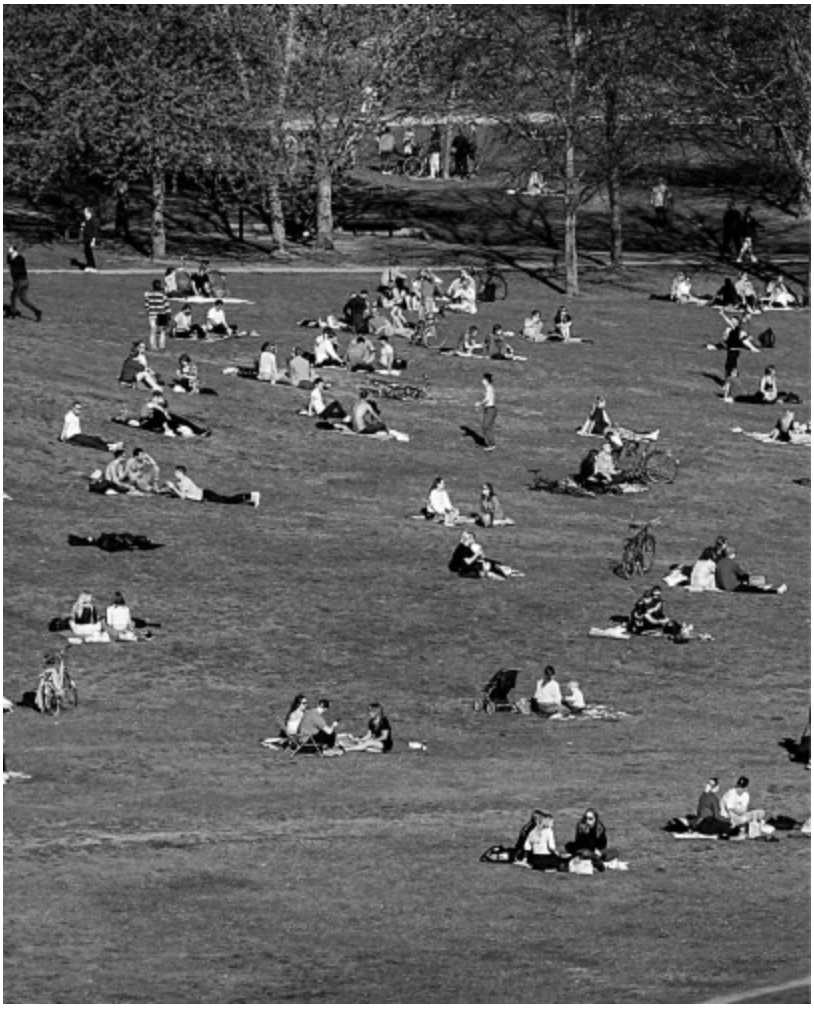

FOT. SHUTTERSTOCK

Szwedka Gunilla: Udowodniliśmy, że jesteśmy racjonalni i że nie trzeba nam niczego narzucać z góry. Wystarczy wyjaśnić sytuację, przedstawić argumenty, a stosujemy się bez słowa sprzeciwu do zaleceń.

Szwecja jest inna. Udowodniła to także w czasie pandemii, gdy poszła własną drogą. Na przekór całemu światu nie wprowadziła

ani lockdownu, ani obowiązku noszenia masek. Kiedy reszta Europy siedziała zamknięta w domu, roześmiani Szwedzi spędzali czas wolny w knajpach przy kawie czy piwie.

Jak oni siebie widzą? Czy w tych czerwonych drewnianych domkach z białymi gankami czują się spełnieni? Pojechałam zapytać, jakie mają marzenia.

Prom na trasie Travemünde (Niemcy) – Trelleborg (Szwecja) nie jest pełny, a jednak na pokładzie do baru czeka kolejka.

– Butelka piwa kosztuje w knajpie w moim miasteczku 80 koron [32 złote] – wyjaśnia mi Szwed, który stoi w ogonku już po raz trzeci.

Ubrany jest jak młody chłopak: w luźne, opadające dżinsy, bluzę z kapturem, adidasy. Oczy ukrył za ciemnymi okularami, włosy pod czapką z daszkiem. Wiek zdradza siwiejący zarost i portfel pełen kart. Niestety, nie daje się namówić na rozmowę o marzeniach.

– I tak już dużo powiedziałem, napisz, że marzę o zniesieniu Systembolaget [państwowa sieć mająca wyłączność na sprzedaż alkoholu powyżej 3,5 proc. w Szwecji], tak żebym ulubione piwo mógł kupić w dowolnym miejscu, o każdej porze dnia – uśmiecha się półgębkiem i wraca do stolika zastawionego pustymi szklankami.

Na lądzie od Jörgena, właściciela zajazdu w Anderslöv, słyszę: – Marzę, by sprzedać tę budę. Dobija mnie nuda małego miasteczka. Mam upatrzoną małą restaurację na Majorce.

Kilkanaście kilometrów od Anderslöv, na parkingu w Smygehuk, przycupnął na krzesełku turystycznym mężczyzna w wytartych

dżinsach i znoszonych butach. Na stoliku rozstawił pojemniki z jagodowymi i moroszkowymi konfiturami.

– Hej! Hej! – witamy się szwedzkim zwyczajem.

– Dorabiasz do emerytury? – pytam.

Śmieje się.

– Nie, starcza mi na życie. Zastępuję dziś córkę, która dziś pojechała na zawody w rzucie siekierą. No, spróbuj, jakie smaczne są te konfitury. Z moroszki po 150 koron [61 złotych] za opakowanie, z jagód po 50 [20 złotych]. Co porabiam na co dzień? – powtarza moje pytanie. – Nic, jak to na emeryturze. Mam sporo koni, spędzam teraz czas w stajni. Wcześniej pracowałem na kolei. Budowałem tory na moście nad Sundem, tym, który łączy Malmö z Kopenhagą. Staram się dobrze jeść, ćwiczyć. Marzę, by jak najdłużej być zdrowym, boję się starości. Mój tata zaczął pod koniec życia chorować, a że nie miałem czasu nim się zajmować, oddałem go do domu opieki. Przeleżał tam w łóżku dziesięć lat. Nie chciałbym, by spotkał mnie taki sam los.

Niech już wróci spokój

Przejeżdżam ponad 200 kilometrów na północny wschód, do Torsås.

– Musieliśmy wziąć sprawy w swoje ręce – mówi mi drobna Gith, próbując usunąć z dłoni resztki gliny. – Policja okazała się bezradna.

Gith jest właścicielką galerii ceramiki Torsås Fajans Krukmakeri 1888, która jest w jej rodzinie od czterech pokoleń. Siadamy w przestronnym ogrodzie. Świeci słońce, pachnie kawa, mruczy gruby kot. Wokół nie ma płotów.

– Nie daj się zwieść pozorom – przestrzega mnie grobowym tonem Gith, widząc mój zachwyt nad okolicą. – Szwecja zmieniła się, odkąd zalała nas fala migrantów – wzdycha. – Kiedyś nie mieliśmy nawet klucza do domu, bo nikt tu nie zamykał drzwi. Ale dwa lata temu włamano się do nas. Złodzieje przyjechali pikapem, załadowali go sprzętami i tyle było ich widać. Wiesz, Szwedzi są wkurzeni – mówi Gith, patrząc mi głęboko w oczy. – I nie chodzi tylko o rosnącą skalę przestępstw, ale i o to, że nie wolno nam mówić, że sprawcami są imigranci, bo to niepoprawne politycznie. Zobaczysz, w końcu dojdzie do wojny.

Gith pokazuje mi stronę na Facebooku, którą założyli mieszkańcy Torsås. Stworzyli tam grupę, by obserwować trasy i postoje podejrzanych pojazdów w okolicy. Są tam wpisy typu: „Biały van był widziany tu i tu. A dziś przemieścił się tu".

– Któregoś dnia zauważyliśmy, że półciężarówka kręci się wokół domu sąsiadów – opowiada Gith. – Widocznie złodzieje myśleli, że właściciele wyjechali na wakacje. Tymczasem oni byli w domu. Umówiliśmy się, że gdy włamywacze będą próbowali dostać się do środka, sąsiedzi dadzą naszej grupie znać. Czekaliśmy w samochodach w pełnej gotowości – jesteśmy przecież myśliwymi i większość z nas poluje. Na dany sygnał obstawiliśmy dom i zablokowaliśmy drogę. Po nas nadjechała policja. Marzę, by wrócił tu spokój – kończy opowieść Gith.

Bój się koronawirusa i zmian klimatycznych

– Co za bullshit! – wykrzykuje Gunilla z nadmorskiej miejscowości Strömstad przy granicy z Norwegią, głaszcząc Snorrego, siedzącego obok niej na kanapie wielkiego czarnego psa, który obwąchuje mnie nieufnie. – Nie daj się nabrać na te bajki o przestępczości i

migrantach. Większość z nich się integruje, pracuje, płaci podatki. Dzięki nim mamy w Szwecji wysoką koniunkturę i kraj kwitnie. Chcesz wiedzieć, kto przysparza nam największych problemów?

Snorre, patrząc w moją stronę, szczerzy kły.

– Zorganizowane bandy z Europy Wschodniej, które kradną motory z naszych łodzi, takie po sto koni – ciągnie Gunilla. – Czasem odnajdują się w krajach nadbałtyckich albo w Polsce.

– A nasza europosłanka Beata Mazurek powiedziała, że Szwedzi emigrują do Polski, bo u was zrobiło się zbyt niebezpiecznie – mówię, starając się omijać wzrokiem psa.

– Bzdury! – złości się Gunilla. – To nacjonalistyczne, populistyczne i nieprawdziwe frazesy. Szwecja to jeden z najlepszych krajów do życia. Owszem uwielbiamy go krytykować, mamy mnóstwo pomysłów na to, co powinniśmy robić lepiej, ale jesteśmy dumni, że jesteśmy Szwedami.

– Czyli nie ma się tu czego bać? – dopytuję.

– Ja się nie boję i gdy jestem w domu, nie zamykam drzwi – śmieje się Gunilla. – Pamiętaj też, że szwedzkie kryminały nie opisują naszej rzeczywistości. One dostarczają dreszczyku emocji, a jesteśmy go spragnieni, gdyż tak naprawdę niewiele się u nas dzieje.

Gunilla ma biurko zawalone papierami, czerwonymi notesami, wydrukami z komputera.

– Pięć lat temu, podczas porządków na strychu, wpadło mi w ręce pudło, gdzie mój ojciec ukrył 50 pamiętników, jakie prowadził regularnie od 1939 do 1988 roku – Gunilla bierze do ręki jeden z

notatników i pokazuje mi staranne zapiski. – Podczas pandemii zrezygnowałam z zaplanowanych podróży, siedziałam w domu, miałam więc czas, by je w końcu opracować. Może kiedyś wydam na ich podstawie książkę? Ojciec miał 27 lat, gdy po medycynie wylądował na dalekiej północy. Spędził tam dziesięć lat, sam, w tym zimnie. Gruźlica panowała wtedy w co drugiej rodzinie. A on leczył, szczepił i odwiedzał pacjentów w domu. Czytam jego wspomnienia i myślę, jak bardzo zmienił się mój kraj. Dziś lekarze mają do dyspozycji helikoptery, duże szpitale, nowoczesny sprzęt, no i są doskonale wynagradzani – zarabiają około 80 tysięcy koron [około 30 tysięcy złotych] minus 45 procent podatku, a gdy przejdą na emeryturę, też nie dzieje im się krzywda, gdyż dostają co miesiąc 36 tysięcy koron [ponad 14 tysięcy złotych]. Wiem, co mówię, gdyż poszłam w ślady ojca i też skończyłam medycynę. Wcześnie zrozumiałam, że za nic w świecie nie zostanę gospodynią domową. Widziałam, jak szarpała się z życiem moja mama, która miała na głowie wielki dom i wychowywanie dziesięciorga dzieci (sześcioro rodzeństwa, dwójkę kuzynów i dwójkę dzieci z Finlandii, które przygarnęła podczas wojny), bo ojca ciągle nie było. Pierwszy zawał przeszła w wieku 50 lat – zwierza mi się Gunilla.

– Ale wracając do strachu – jeśli czegoś już się trzeba bać, to koronawirusa i zmian klimatycznych – ciągnie Gunilla. – Jestem dumna z tego, jak Szwedzi poradzili sobie w czasie pandemii. Udowodniliśmy, że jesteśmy racjonalni i że nie trzeba nam niczego narzucać z góry. Wystarczy wyjaśnić sytuację, przedstawić argumenty, a stosujemy się bez słowa sprzeciwu do zaleceń. Tym bardziej że są zrozumiałe i proste – musimy często myć ręce, zachowywać wobec innych ludzi odległość dwóch metrów i pozostawać w domu, gdy jesteśmy chorzy. Nie, ani przez chwilę nie czułam, że Szwecja poszła złą drogą. Owszem, podczas pandemii

zmarło około 6 tysięcy osób, mówi się, że najwięcej od 150 lat, ale pamiętaj, że jesteśmy starym społeczeństwem. Do tego, gdy pojawił się u nas wirus, domy opieki nie miały potrzebnego sprzętu, a pracownicy koniecznej wiedzy. Nadrobiliśmy już ten błąd. Gdy spojrzysz na dzisiejsze statystyki, zobaczysz, że w ciągu doby umierają dwie, trzy osoby.

W Strömstad mieliśmy tak mało zakażeń, że moje życie niewiele się zmieniło. No, może rzadziej chodzę na zakupy, i o takich godzinach, by uniknąć tłoku. A, i na czwartkowe, babskie spotkania umawiamy się już nie w miejscowej kawiarni, ale w parku, gdzie łatwiej zachować te dwa metry od siebie. Każda z nas przychodzi z własnym kocem, termosem i ciastem. Siedzimy i gadamy godzinami.

Gorzej mają ci, którzy żyli z przygranicznego handlu. Przed pandemią Norwegowie wpadali do nas po zakupy, bo mamy tańsze jedzenie, słodycze i alkohol. A teraz zamknęli granice, gdyż twierdzą, że u nas łatwo można złapać wirusa. No i nasze sklepy bankrutują, a Szwedzi tracą pracę. Tak, to spore zmartwienie.

Ale wiesz, jeszcze bardziej martwię się klimatem. W zeszłym roku wpadłam z tego powodu w panikę. Od maja do lipca temperatura dochodziła u nas do 30 stopni Celsjusza. W ogrodzie, którego nie wolno było podlewać, wszystko było wypalone od słońca. Rolnicy zebrali jedną trzecią zbiorów, musieli pozbyć się zwierząt. Zobaczyłam, co się może stać z Ziemią, jeśli nie zmienimy naszego stosunku do przyrody. Na szczęście pojawiła się Greta Thunberg i dzięki niej Szwedzi zrozumieli, że trzeba działać, że kapitalizm doprowadził nas do ściany, że czas przestać myśleć jedynie w kategoriach zysku. Choć jestem zamożna, nie kupuję już nowych

ciuchów, nie jem mięsa, nie latam. OK, mam samochód, ale staram się go jak najmniej używać. Widzę u znajomych podobne starania. Dlatego wierzę, że jest coś dobrego w tym kryzysie. Marzę, by nam się udało ocalić planetę.

Mnóstwo homoseksualnych księży i zakonnic

Kilkaset kilometrów dalej na północny wschód zatrzymuję się w Mora, gdzie w centrum miasta widzę tęczowe ogłoszenie na bramie Kościoła Szwecji (Svenska kyrkan to jeden z największych Kościołów luterańskich na świecie i największe wyznanie w Szwecji).

– Trudno to sobie dziś wyobrazić, ale jeszcze w połowie lat 70. mieliśmy u nas prawo, które zakazywało homoseksualności – mówi ubrany w sportowe buty i dżinsy ksiądz Erik Hugo z parafii w Sorsele. Mkniemy przez sekretariat, wpadamy do jego gabinetu, by zostawić mój sprzęt, po czym biegniemy do kuchni, gdzie duchowny przyrządza mi kawę i kanapki.

– Z czasem Kościół Szwecji uznał, że dwie kobiety czy dwóch mężczyzn również może się pokochać i że możemy udzielać małżeństw osobom tej samej płci – mówi Erik Hugo. – Naszą biskupinią w Sztokholmie jest homoseksualna kobieta, która z partnerką, pastorką, wychowuje syna. Dlatego wydaje mi się, że Kościół katolicki też w końcu zaakceptuje homoseksualne pary, bo i u was mnóstwo księży i zakonnic jest homoseksualnej orientacji.

Erik Hugo przygląda się mojej sceptycznej minie i mówi: – Ja nie potrafiłbym żyć bez kobiety. Z żoną, farmaceutką, mam pięcioro dzieci i sześcioro wnuków. Byłem wychowywany przez liberalnych rodziców. Musiałem nauczyć się sprzątać, myć okna, prasować, a

moja siostra ciąć drewno, zmieniać koła czy olej w samochodzie. Ale wracając do miłości, przecież to dar od Boga! Jeśli dwie kobiety czy dwóch mężczyzn kochają się i chcą mieć ślub przed ołtarzem, to moim zadaniem jest im pomóc, a nie potępiać. Nie po to ochrzciłem dziecko, udzieliłem mu komunii, by później odmawiać mu ślubu przed ołtarzem! Kościół nie może nikogo krzywdzić. On jest od wybaczania. I to nie jest tylko mój punkt widzenia, ale większości duchowieństwa w naszym Kościele. U nas Kościół też bał się słowa „homoseksualizm" jak ognia, bo sam miał z nim problem.

– A dziś jaki jest twój Kościół? – pytam.

– Czasem Kościół wspiera jakiś rząd, czasem mu się sprzeciwia. To są takie fale na powierzchni. Ale na dnie jest miłość. Jeśli zaczniesz kogoś upokarzać, rzucać kamieniem, zabijać, to znaczy, że masz błędne pojęcie wiary. Nie tego naucza Biblia. Sto lat temu ocenialiśmy ludzi i mówiliśmy: „To, co robisz, jest złe". Dziś mówimy: „Wybaczam ci, a ty spróbuj wybaczyć sobie. Bo jeśli tego nie zrobisz, będziesz dalej nosił winę w sobie. I możesz znów popełnić ten sam błąd". Na co dzień nasze kościoły są puste, na niedzielne msze przychodzi 15 do 20 wiernych. Ale w święta, podczas ślubów i chrztów pękają w szwach. Choć oczywiście mówimy o czasach sprzed pandemii.

Już mam pytać Erika Hugo o marzenia, gdy moją uwagę przykuwa zdjęcie z polowania.

– Zabijasz? – pytam księdza z niedowierzaniem.

– Mój tata powiedział mi tak: jeśli nie potrafisz sam zabić zwierzęcia, nie powinieneś jeść mięsa – mówi pewnym głosem Erik Hugo. – Nie chcę wspierać przemysłowego, okrutnego chowu zwierząt.

Wolę zabić łosia, który miał dobre życie, i mieć mięso na cały rok. Tak, poluję. A nawet jestem instruktorem strzelectwa. Uczę innych, by zabijać jednym strzałem, tak by zwierzę nie cierpiało.

Kiedy pytam księdza o marzenia, on śpiewa: „Marzę, by ludzie żyli w zgodzie. By ocalał świat. By ci, którzy przyjdą po nas, też mogli rozmawiać o czymś pięknym przy filiżance kawy".

Nikt z nas nie kupi volvo

Kolejny przystanek robię w Rättvik, miasteczku nad jeziorem Siljan. Przez okno kawiarni przyglądam się spokojnej ulicy, gdy nagle ciszę przerywa huk silników i amerykański rock. Fioletowy pontiac bel air, czerwony chevrolet i błękitny dodge z opuszczonymi szybami objeżdżają powoli rondo i parkują przed kawiarnią. Z limuzyn wysiada sześciu chudych chłopaków i biały pies.

– Raggare – mówi dziewczyna z sąsiedniego stolika. – Wieśniaki – śmieje się jej koleżanka.

Sprawdzam szybko w internecie: czytam, że raggare tworzą w Szwecji subkulturę zafascynowaną Ameryką z lat 50. i że jest ona najbardziej rozpowszechniona na terenach słabo zaludnionych.

– Czy jesteście raggare? – pytam chłopaków, kiedy weszli do kawiarni.

– Może i tak, bo rajcuje nas amerykańska muzyka i samochody – zastanawia się 22-letni Lars. – Całą długą zimę czekamy, by puściły lody, i kiedy nadchodzi czerwiec, wsiadamy do naszych bryk, puszczamy muzykę na full i jeździmy od zlotu do zlotu, gdzie spotykamy takich jak my. Pijemy piwo i robimy rundy po ulicach. W końcu czujemy, że żyjemy.

– Moda na amerykańskie auta z lat 50. czy 60. jest w Szwecji od lat – tłumaczy 23-letni Daniel. – Wśród moich kumpli nie ma nikogo, kto chciałby kupić nowe volvo. Po pracy kładziemy się pod maską i tak spędzamy czas.

– Tu chodzi o miłość – wyjaśnia mi 34-letni Jonas. – Spójrz na linię mojego wozu. Żaden samochód takiej nie ma.

– Moją brykę kupiłem z ogłoszenia za 100 tysięcy koron [ponad 40 tysięcy złotych] – mówi 22-letni Olle. – Musiałem wziąć kredyt.

– Ostatnio za lampę zapłaciłem 8 tysięcy koron [3 tysiące złotych] – mówi 27-letni Jörgen. – W tym roku zainwestowałem już 30 tysięcy [12 tysięcy złotych].

– Skąd mamy na to kasę? Pracujemy w pobliskiej fabryce – mówi Lasse. – Jest wśród nas stolarz, spawacz, mechanik.

– Nasze marzenia? Na pewno nie mamy nic wspólnego z tym słynnym szwedzkim „mysig" [odpowiednik duńskiego „hygge"]. Nie pasujemy do tych wychuchanych domków, ozdóbek, lampek, świec – my, usmarowani olejem właściciele amerykańskich aut – śmieją się młodzi Szwedzi na pożegnanie.

Anders Tegnell to mój guru

Droga Inlandsvägen ciągnie się kilometrami przez środek kraju. Biegnie lasami, górami i małymi osadami z opuszczonymi domami. Rzadko mija mnie inny samochód. Zdarza się, że kierowcy pozdrawiają się, ucieszeni widokiem człowieka. Czasem widzę czarne esy-floresy na czerwonym asfalcie. Pewnie raggare palili tu z nudów gumę.

Dojeżdżam do Ammarnäs na dalekiej północy, niedaleko koła podbiegunowego.

– We wsi ostatnio wrze, bo 65-letni Urban ma nową dziewczynę, razem otworzyli kawiarnię – mówi Gunvor, znajoma, do której przyjechałam.

Idziemy do Urbana, a po drodze Gunvor opowiada, co u niej słychać.

– Podczas pandemii czułam się bardziej samotna niż kiedykolwiek – mówi Gunvor. – Mam ośmioro dzieci, ale porozrzucało je po kraju. Widzimy się raz w roku, a czasem i rzadziej. Łatwiej polecieć do Londynu, niż dotrzeć tu, do Ammarnäs. Najgorsze były poranki, około 4 rano. Budziłam się przerażona i zastanawiałam, co się ze mną stanie, gdy złapię wirusa. Moją samotność czułam wtedy najbardziej dotkliwie. Potem w ciągu dnia to mijało, bo słuchałam Tegnella [Anders Tegnell – główny epidemiolog kraju], któremu bezgranicznie ufam. Tak, on jest moim guru – o, zobacz, nawet noszę T-shirt z jego zdjęciem. Nie wierz, że pozostawił starych ludzi samym sobie. Od początku podkreślał, że trzeba ich chronić. Nie jego wina, że się nie udało. Ci, którzy umarli podczas pandemii, mieli choroby towarzyszące. Wirus po prostu przyspieszył ich śmierć.

Sama staram się tak żyć, by nie być dla nikogo zagrożeniem – gości nie zapraszam, a jeśli idę do znajomych, to siedzimy na dworze w odległości dwóch metrów. Nawet po zakupy nie chodzę, ale dzwonię do naszego sklepu i przywożą mi jedzenie pod drzwi. Tak, marzę, by jak najdłużej być zdrowa, ale i częściej spotykać się z rodziną, gdy koronawirus już minie.

Gdy docieramy do kawiarni, Urban z Christiną krzątają się za ladą.

– Odkąd kilka lat temu moja żona zachorowała i przeniosła się do domu opieki 100 kilometrów stąd, czułem się cholernie przygnębiony – opowiada mi Urban. – Z tego smutku i samotności chodziłem codziennie do lasu, za dom, by wykrzyczeć mój ból. I któregoś dnia ktoś ze znajomych doradził mi, bym dołączył do internetowej grupy „opowiadaczy", gdyż opowiadanie historii to jedna z moich profesji. A tam była już Christina.

– Początkowo korespondowaliśmy o naszej pracy – śmieje się 60-letnia Christina, która wcześniej mieszkała w regionie Wermlandii. – Po pół roku nasze maile zmieniły charakter. Pomyślałam wtedy, że musimy się spotkać. Od 11 lat byłam sama, gdyż czekałam na tego jedynego. Wsiadłam rano w samochód i wieczorem byłam już w Ammarnäs. Przejechałam jak na skrzydłach 1000 kilometrów naraz.

– Nie, wcześniej się nie widzieliśmy – mówi Urban. – Wymieniliśmy tylko zdjęcia. Nie były najlepsze – jak jedno z nich zobaczyłem, pomyślałem: ratunku!

– Ale jak wysiadłam z samochodu, wiedziałam – uśmiecha się Christina. – To było jak dotarcie do domu. Po półtora roku zamieszkaliśmy razem.

A jak przyjęła cię wieś? – pytam Christinę.

– Piekę dla mieszkańców Ammarnäs moje najlepsze ciasta – opowiada Christina. – A im lepiej ich karmię, tym oni mają dla mnie cieplejsze uczucia.

W stuosobowym Ammarnäs Urban i Christina prowadzą razem kawiarnię, domki dla turystów na wynajem, oprócz tego opowiadają historie, czytają wiersze, śpiewają, Christina gra na gitarze.

– I udaje się wam przeżyć w miejscu, gdzie sezon trwa osiem tygodni latem i dwa tygodnie zimą? – pytam.

– Na dalekiej północy musisz mieć wiele źródeł dochodu – mówi Urban. – Dorabiałem w bibliotece, czasem w szkole, angażuję się w projekty turystyczne, przyrodnicze, poluję, by zapewnić nam mięso na zimę.

– Testuję kolejne przepisy na ciastka i torty, które mieszkańcy będą mogli zamawiać na imprezy rodzinne, oraz na mieszanki śniadaniowe z lokalnych produktów i ziół. Chciałabym je sprzedawać online – mówi Christina. – Marzę, by nasza kawiarnia znalazła się w White Guide, przewodniku po szwedzkich knajpkach, i przyciągnęła jak najwięcej klientów.

Tu czuję się wolna

W Ammarnäs do szkoły chodzi kilkoro dzieci. Najwięcej jest samotnych starszych kobiet, które codziennie umawiają się na spacery z psami. Tyle że podczas pandemii nie idą jedna obok drugiej, ale gęsiego, zachowując zalecaną odległość. W biegu dyktują mi swoje marzenia: więcej zdrowia i słońca, którego ciągle mało, zwiększenie żałosnej (8 tysięcy koron/3 tysiące złotych) emerytury dla kobiet, które nie pracowały, lecz zajmowały się wychowywaniem potomstwa, no i więcej czasu z dziećmi i wnukami, które wyjechały do miast. Kobiety mówią, że powinnam

porozmawiać z Emelie, która ma 26 lat i za nic nie chce opuścić miasteczka.

– Z Ammarnäs wyjechałam na dłużej tylko raz, do gimnazjum 300 kilometrów stąd – opowiada drobna, ciemnowłosa Emelie, gdy siadamy na drewnianym tarasie jej domu z widokiem na dziką rzekę, góry, las i jezioro. – Bardzo przeżyłam tę wyprowadzkę. Stres, tęsknota doprowadziły mnie do ściany. Resztką sił zmusiłam się do skończenia szkoły, ale zaraz po powrocie do domu przeszłam załamanie nerwowe. Na nic nie miałam siły, na niczym mi nie zależało, ciągle spałam i budziłam się zmęczona. Tak wyglądało moje życie między 19. a 21. rokiem życia.

Może w dużym mieście masz dostęp do knajp, kultury czy sportu – ciągnie Emelie. – Ale tu jest cisza, której potrzebuję. Tu słyszę ptaki, wodospad. Tu czuję się wolna i bezpieczna. Budzę się w nocy i myślę: przejdę się. I wychodzę nad rzekę. W mieście bym się bała

– A nie nudzisz się? – pytam.

– Nie, narzuciłam sobie pewien rytm – odpowiada dziewczyna. – Nastawiam budzik na ósmą. Jem śniadanie, a potem uczę się na kursach internetowych. Nauka uniwersytecka, nawet online, jest w Szwecji darmowa, muszę jedynie kupować książki. Teraz uczestniczę we wprowadzeniu do szwedzkiego prawa. Wcześniej przeszłam kurs pisania. Inspiruje mnie kultura wikingów i lokalnej społeczności Saami, stare mapy, mity o bogach i naturze. Chciałabym napisać książkę. Poza tym szyję, czytam dużo fantasy, oglądam seriale z rodzicami. Jestem im wdzięczna za to, że mnie utrzymują i że nie mają z tym problemu. A nawet cieszą się, że mieszkamy razem.

Czasem wyjeżdżam na kilka dni na lajv, to przypomina spektakl bez publiczności. Wchodzę tam w świat fantazji. To jak zabawa z dzieciństwa, choć jesteśmy już dorośli. Spotykamy się w 30 osób w miejscu, gdzie zbudowano scenerię do naszego przedstawienia – dom, gdzie śpimy, osobny, gdzie gotujemy.

– W Ammarnäs nie mam znajomych, ale lubię moją samotność – mówi Emelie. – Ludzie mnie męczą. Ale z przyjaciółmi z czasów szkolnych jestem w stałym kontakcie przez media społecznościowe. Spotykamy się raz w roku.

Marzenie? – zamyśla się Emelie. – Żebym już nigdy nie musiała opuszczać rodzinnego domu. Mogę wyjechać na chwilę, ale tu zapuściłam korzenie.

Tekst ukazał się w „Wyborczej" w sierpniu 2020 r.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Czy jest za co kochać Ukrainę?

Separatystyczna „republika doniecka" drukuje już swoje paszporty, a w Rosji otwiera ambasadę.

GRZEGORZ SZYMANIK, WSPÓŁPRACA JULIA WIZOWSKA

FOT. AGATA GRZYBOWSKA/AGENCJA WYBORCZA.PL

Kiedy w Kijowie trwała pomarańczowa rewolucja, w Doniecku wspierano Janukowycza i opcję prorosyjską. Na zdjęciu: Donieck, 9 maja 2015 r. i wielka parada w 70. rocznicę zwycięstwa w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej.

Wiktora Janukowycza nie lubią już na ukraińskim wschodzie. Siergiej wstydzi się, że głosował na prezydenta.

Andriej uważa, że Janukowycz jest jak rycerz, który zmienił się w smoka. Irina przez niego już w życiu chyba nikomu nie uwierzy.

Jednak choć prezydent na wschodzie, w Doniecku i całym donieckim zagłębiu węglowym (Donbasie), gdzie niedawno zbierał ponad 70 proc. głosów, traci poparcie, to wcale nie zyskują tam zwolennicy Unii Europejskiej. Zyskują separatyści, zwolennicy autonomii, prorosyjscy radykałowie. – Janukowycz obiecał, że

Ukraina będzie bliżej Rosji. Że rosyjski będzie językiem urzędowym. I co? A przecież Donbas to serce Rosji – przekonują.

Kiedy w Kijowie tłumy powiewają flagami UE, oni pod doniecki pomnik Lenina przynoszą inne: rosyjskie, czarno-niebiesko-czerwone „republiki donieckiej" albo białe „rosyjskiego bloku" czy „donbaskiej Rusi".

Pod pomnik przychodzi garstka. W Doniecku nikt nie lubi manifestacji. Ale jak tylko zaczynają rozwieszać flagi, dookoła ze wszystkich ulic pozdrawiają ich klaksony kierowców. – Brukselkę jedzą tylko brukselskie kozły! Nie chcemy tu Europy! – wołają pod Leninem.

Tu nie ma Ukraińców

Andriej Purgin, który prowadzi sklep z materiałami budowlanymi, ukraiński paszport dostał przez cukier. ZSRR się rozpadał, a on studiował w Doniecku. – Cukier był wtedy na kartki, ale oprócz kartek trzeba było pokazać paszport. Poszedłem do studenckiego sklepiku, dałem paszport i kartki. A sprzedawczyni wlepiła mi brudną, rozmazaną pieczątkę: „Ukraina" – opowiada.

Dla Andrieja to była tragedia, bo nigdy żadnym Ukraińcem się nie czuł: – Tu zawsze mieszkał człowiek radziecki, przywieziony między 1949 a 1954 r. z całego ZSRR do pracy w kopalniach. Pod ziemią trzeba było sobie ufać – tak narodowościowe uprzedzenia poznikały. O, na przykład bazar.

Niedaleko w Józefce wprowadzono prohibicję dla robotników. A za rzeką mieszkali dońscy Kozacy. Przepływali ją z samogonem, z zagryzką. Miejsce, gdzie odbywał się handel, zmieniło się w bazar.

Od kilku pokoleń miesza się tu krew. Purgin to wie, bo sam ma w rodzinie osiem narodowości.

Jak powstała Andrieja „republika doniecka"? Jest taka rosyjska bajka o smoku: każdy rycerz, który smoka ubijał, sam się stawał smokiem. Bez końca. Andriej: – Tak jest z naszymi prezydentami. Teraz to wiem, ale długo popierałem Janukowycza. A on guzik zrobił dla rosyjskiego Doniecka.

Kiedy w 2004 r. w Kijowie trwała pomarańczowa rewolucja, w Doniecku stanęły namioty wspierających Janukowycza. Andriej był komendantem miasteczka, które istniało 13 dni. To ludzie, którzy się tam spotkali, założyli potem „republikę doniecką". Dziś żądają federalizacji Ukrainy, oddzielenia Donbasu od zachodu. Odwołują się do Republiki Doniecko-Krzyworoskiej (radzieckiego państwa, które istniało ponad miesiąc, a potem zostało wcielone do Ukraińskiej SRR).

– Od razu się nami specsłużby zajęły – mówi Andriej. Przez cztery lata nie mógł opuszczać miasta, toczyło się śledztwo. Prokurator mówił, że chcieli obalić władzę, akta mają 13 tomów. Dopiero w tym roku sprawę zamknięto – przedawniła się.

Dlaczego Andriej chce podzielić Ukrainę? Po pierwsze, bo jeszcze w 1990 r. jeden wąsaty facet na placu Lenina wyjaśniał Andriejowi, że niezależna Ukraina musi powstać, bo Moskwa zabiera Donbasowi 40 proc. dochodu. Wtedy to była wielka kwota. Teraz Kijów zabiera 86 proc. I co?

Po drugie, sami powinni zawiadywać swoim okręgiem, a nie z Ukraińcami. Niech prozachodni Ukraińcy wyjadą do siebie, to

wtedy będzie z nimi przyjaźń. – Oni nie mają tu co robić – mówi Andriej – tu nie było Ukrainy.

Po trzecie, nawet jak dziś donieccy – prezydent, premier – są u władzy, to choć Donieck dostaje nowe drogi, to zachód też dostaje dużo. A tu chodzi o to, żebyśmy sami dla siebie.

Najważniejsze, żeby masy ogarnęła idea. W latach 90., kiedy rozpadał się ZSRR, pod budynek rady wojewódzkiej w Doniecku przychodziło paru ludzi. Rano zbierali się na placu pod masztem, na którym wisiała czerwona flaga radziecka, i machali ukraińskimi błękitno-żółtymi. Pewnego dnia znowu się zebrali, ale zobaczyli, że na maszcie wisi już błękitno-żółty sztandar. To była tragedia ich życia – przychodzą udowodnić wyższość swojej flagi, a ona już tam wisi. Bo to idea opanowała masy i w nocy ktoś z wojewódzkiej rady sam zmienił flagę na maszcie. – Z nami też tak będzie – zapewnia Andriej.

Kraj trzeba podzielić na kawałki

– Ukrainy są dwie, ale to oni są w mniejszości, to wschód jest gęściej zaludniony – mówi politolog Siergiej Baresznikow, redaktor książki „Ukraina i Ruś".

9 grudnia 2013 r. Siergiej jest zły, bo poprzedniej nocy manifestanci w Kijowie zniszczyli pomnik Lenina. Okropne! – Choć po prawdzie – mówi Siergiej – gdyby nie Lenin, to nie mielibyśmy dziś takiego kłopotu. Donbas nie należałby do Ukrainy, ale do Rosji. Lenin włączył Donbas do Ukrainy, bo chciał, by oprócz chłopów był na Ukrainie prawdziwy proletariat.

Wrzesień 1939 r. Siergiej jest zły, że Sowieci przyłączyli wtedy do Ukrainy wschodnie obrzeża Polski: – To moja największa pretensja do Stalina. Gdyby dał wtedy spokój, to teraz i my mielibyśmy spokój. Kto by za Unią protestował, jak zachodnich Ukraińców by tu nie było? Donbas jest rosyjski, do Doniecka ściągali Rosjanie z centrum imperium, bo ukraińscy chłopi nie chcieli pracować w kopalniach. I dlatego my mamy tu inne poglądy. W Donbasie nikt nie myśli o ideałach. W Donbasie myśli się ekonomicznie. Ważne: mieć pracę i zarabiać. Tyle.

1990 r. Siergiej jest zły, bo jest mniejszością: – Byłem w tych 10 proc., które głosowały przeciwko niepodległości Ukrainy. Moja żona głosowała za, mój teść też. Ale dzisiaj zagłosowałbym tak samo. Dawne czasy! Kiedyś główny doniecki pociąg – Donbas – kursował na linii Donieck – Moskwa. A teraz? Donbas to Donieck – Kijów. Ludzie się przyzwyczaili, że Moskwa to ich stolica, trudno to odmienić.

2005 r. Siergiej jest zły i krzyczy z całej siły. W Kijowie trwa pomarańczowa rewolucja, a na ulicach Doniecka manifestacje za Janukowyczem, który po sfałszowanych wyborach prezydenckich musiał zgodzić się na powtórzenie drugiej rundy. Wygrał ją Wiktor Juszczenko.

– Zachodnia młodzież – uważa Siergiej – została wychowana przez babuszki i dlatego tak im się robić nie chce. Rodzice wyjechali pracować do Europy, a dziadkowie żyją krótko, bo dużo wódki piją. Za to babcie żyją długo. – A jakby z bronią na nich wyjść? – zastanawia się Siergiej. – Tylko gacie by zostały. Po godzinie Majdan byłby pusty. Może tak trzeba zrobić? Bo Kijów jest leniwy. Chciałby żyć lepiej, ale zamiast pracować jak Donbas, protestuje.

– Dlaczego oni tak nas nie znoszą? – pyta Siergiej. – Bo wiedzą, że są takimi jak my Rosjanami, tylko o tym pozapominali. Podświadomie ich to kłuje w boku.

– Dlaczego nie chcesz do Europy?

– Bo Europa – odpowiada Siergiej – to nie tylko Niemcy i Francja, ale też Rumunia i Bułgaria. Jak nam obiecacie, że będziemy jak Niemcy, a nie jak Rumunia, to wstąpimy. Ludzie nie chcą także, by ktoś dyktował im ceny i normy. Boją się, że firmy nie wytrzymają konkurencji i oni stracą pracę.

9 grudnia 2013 r. Siergiej przestał być zły, śmieje się nad szklanką piwa: – A tak, tak! Mamy tu, w Doniecku, taki mały euromajdan! Przychodzi kilkanaście osób. To są, powiem szczerze, ludzie, którzy nie wpisują się w charakter regionu. Po prostu wariaci. Młodych to jeszcze rozumiem – ideały! Ale ci starsi? Jakaś demencja? Mieliśmy kiedyś romantyczne marzenie: wrócić z powrotem do Rosji. Prości ludzie uważają, że to możliwe, że wystarczy granica na Dnieprze. Ale tak naprawdę to po co my Rosji? Sami tu renciści – od zanieczyszczeń. Przyrost ludności ujemny. Ludzie rozmnażać się nie chcą (choć po prawdzie, choć narzekam, sam też mam tylko jednego syna). Oligarchowie wyciskają z nas ostatnie soki, a sami żyją w Szwajcarii albo w Monako. Po co Putin by nas miał brać? Nie. Ukrainę trzeba na kawałki, Ukraina powinna być federacją. Wtedy się obroni przed ukrainizacją.

– Ukraińskiej telewizji nie oglądam, tylko rosyjską. Nawet na mecze Szachtara już nie chodzę, od kiedy zmienił nazwę. Przecież po rosyjsku to nie żaden „szachtar", ale „szachtior". Zawsze się tak nazywał – podkreśla Siergiej.

Jedna wielka Ruś

Oleg i Olga Glik ze Słowiańskiej Jedności siedzą w koszulkach ze znakiem Swaroga i kiwają głowami, że tak, są pewni – jest tylko jeden naród. Dlatego trzeba połączyć Ukrainę z Białorusią i Rosją.

Oleg: Rosja, Ukraina, Białoruś to narody ruskie. Rozdzielone, ale w genach jesteśmy jednością. Zachód Ukrainy graniczył z Europą, wschód z Rosją i dlatego to się odcisnęło na mentalności. Nie narodu, bo naród jeden, ale ludzi. Nasza organizacja przeciwdziała degradacji, chcemy, żeby Ruś była jedna i trzymała się daleko od Zachodu. Zanim się do niej zapisałem, żyłem zwyczajnie: studiowałem, a w piątki z kumplami piłem. Ale to do niczego nie prowadziło. Rzuciłem palenie, alkohol, wykształciłem się na socjologa. Ideały ruskiego nacjonalizmu wypróbowałem na mamie. Spodobało się jej, że zmienił mi się krąg znajomych – zamiast pijących kumpli tacy, co uprawiają sport.

Z Olgą poznaliśmy się w internecie, na forum dla Rusinów. Przeczytała mój komentarz o rosyjskości Ukrainy i od razu wiedzieliśmy, że mamy podobne poglądy, że znajomość ma przyszłość. Niedługo będzie rok małżeństwa. Olga siedzi w domu z dzieckiem, będzie miało cztery lata.

Olga: Wychowujemy go w duchu miłości do swojego rosyjskiego narodu. Nie tak szybko zrozumiałam swoją rosyjskość, najpierw interesowałam się nacjonalizmem ukraińskim.

Oleg: Nie ma ukraińskiego nacjonalizmu! Ukraińcy to Rusini! Pytacie, kto nie może być Rusinem? Czarny na przykład. Nawet jak urodził się na Ukrainie, to jednak nie może, bo czarny. Każdy musi rozwijać swój ród z przedstawicielami swojej nacji. Europejczycy też

różnią się od Rusinów – religią i stosunkiem do rodziny. Europa utraciła wartości rodzinne. Nie mówię, że cała zgniła, ale np. przesadzacie z tym homoseksualizmem. Nie jesteśmy homofobami, ale nasza mentalność tego nie przyjmuje.

Olga: Zupełnie nie!

Oleg: Przykładem może być parada gejowska w Kijowie, na której było tylko dwóch przedstawicieli Ukrainy. Geje Ukrainy stwierdzili, że im bez parady dobrze się żyje, nikt ich nie rusza. Dobrze wiedzą, że jakby poszli, to napytaliby sobie biedy. Trwa wojna o nasze ziemie, które leżą między Europą a Rosją. Nie chcemy tu podziału jak w Jugosławii. Jesteśmy jednym narodem, dlaczego mamy się oddzielać? Naszym marzeniem jest utworzenie wielkiej Rusi. W unii celnej z Rosją to niemożliwe, to powtórka ZSRR, z tego nic dobrego nie wyszło. Ale przed ZSRR było Imperium Rosyjskie. To dobry przykład. Przywrócić tron imperium rodzinie Romanowów.

Szwajcaria mi się podoba

Przyłączenia Donbasu do Rosji chce Aleksander Matiuszyn z „republiki donieckiej", który sprzedaje na bazarze pirackie oprogramowanie.

Ojciec Aleksandra to klasyczny Rosjanin: niebieskooki blondyn z nosem kulfonem. Tak powie ci Aleksander, poprawiając czarną czapeczkę z napisem: „Russian division". – Choć wszyscy wyszliśmy z macicy Matki Bizancjum, a przodkiem naszym jest Tatar – powie ci też Aleksander, zawiązując glany. – Wychowałem się na podwórku, cała banda – każdy z innego gara. Ale i tak wszyscy się spierali. To się bierze od górników. Jak dziesięciu chłopa schodzi pod ziemię, to nawet jeśli każdy z nich ma inne poglądy, muszą sobie ufać. Masz

Azera, Gruzina, Żyda, Rusina, Ukraińca. Po jakiemu się porozumiewają? Po rosyjsku. Innego języka pod ziemią nie usłyszysz.

Rusinem jest ten, powie ci Aleksander, kto machając pod pomnikiem Lenina czarno-niebiesko-czerwoną flagą separatystów, posługuje się językiem rosyjskim. Kto rosyjską kulturę praktykuje, kto czuje, że przynależy do wspólnoty.

Rusin różni się od Ukraińca, choćby mentalnością. Ukrainiec ze Lwowa, uważa Aleksander, w dzień się uśmiecha, a w nocy do gardła może się rzucić. Zresztą, powie ci Aleksander, prychając herbatą, jeśli spojrzeć na polski nacjonalizm, to od razu widać wielkość: Rzeczpospolita od morza do morza. Spojrzeć na rosyjski – ogrom! Marzenia o wielkim imperium. A ukraiński? Phi! Od gospodarstwa do gospodarstwa. Skoro taki słaby ten nacjonalizm, to po co on w ogóle?

Aleksander ma autorytety: pułkownik Czernicow, generał Krasnow, kniaź Świętosław. Szanuje Łukaszenkę, byłego prezydenta Iranu Ahmadineżada, Afrykanerów z RPA, bo pokazują, że da się żyć w enklawach i kontynuować linię swojej nacji.

Tak, chcemy podziału, powie ci Aleksander, wtedy niech sobie zachodni Ukraińcy pomniki Bandery w każdej zagrodzie stawiają, a my u siebie będziemy żyli po swojemu. Język rosyjski musi być urzędowy, powie ci Aleksander, strzelając palcami, bo to potrzebne do obrony rosyjskiej tradycji.

– Chcemy ratować przyszłość naszych rosyjskich dzieci. Do UE na pewno nie chcę. Weźmy na przykład farmę mleczną. Po wejściu do Unii właściciel będzie musiał dostosować się do standardów

europejskich. Widziałem farmę europejską, widziałem naszą. W Unii krowa sterylna, a u nas na farmie – sracz. Jeśli farmer będzie musiał się dostosować do Unii, to zbankrutuje. Nam się to nie opłaca – wyjaśnia.

Jedynym europejskim krajem, który się Aleksandrowi podoba, jest Szwajcaria. Tam prezydent jeździ na rowerze, jest dobrobyt. Ale oni nie są w Unii, więc widać, że można dać sobie radę bez niej. – Poza tym jako prawosławny – powie ci Aleksander, krzywiąc się – nie znoszę sodomitów. Chłopak ma kochać dziewczynę, dziewczyna chłopaka.

No i czarni! Aleksander ogląda wiadomości z Francji, widzi samych Arabów i to mu się nie podoba: – Chociaż w kopalni Kalinina pracuje jeden czarny. Dorobił się stanowiska inżyniera. Lepiej ode mnie po rosyjsku gada, Szachtarowi kibicuje i córkę sam wychowuje. Jakby tam chłopaki za nim nie krzyczeli, to jednak go szanują. Bo tu ważna jest „donieckość".

Dołączymy kiedyś do Rosji, powie ci Aleksander, skubiąc serwetkę, ale dopiero za długi, długi czas. Teraz Rosja ma własne problemy.

Gdy powstawała „republika doniecka", Aleksander był przewodniczącym donieckiej filii rosyjskiej Partii Narodowo-Bolszewickiej. Z Andriejem Purginem razem prowadził „Ukrainę bez Juszczenki". W Doniecku zrobili się sławni, co sobotę była demonstracja. Ale prokuratura zakazała im działalności jako organizacji ekstremistycznej.

– Nawet jak młodych uczyliśmy posługiwać się bronią – smuci się Aleksander – to też afera. Kiedyś rzucałem pracę tylko dlatego, że odbywała się manifestacja, a mi nie dawali wolnego. Miałem 20

lat, teraz prawie 30. Zmieniło się życie. Trzeba nakarmić rodzinę: mam mamę inwalidkę, dziewczynę, z którą planuję ślub. Dziewczyna popiera moją działalność. Gdy się poznaliśmy, była ukrainofilką, ma ukraińskie nazwisko. Ale proszę, kilka lat ze mną i teraz czuje się Rusinką.

Moskwa, Soczi – tam byłam szczęśliwa

Rosyjskiego wschodu z dala od Europy chce Irina Barybina z Rosyjskiego Bloku, bezrobotna. – Siedzisz przy stole z palącymi, wyciągasz paczkę i wszyscy palą. To u Rosjan, tu każdy ma własną. Albo domówki: u nas podaje się najpierw gorące, u nich imprezę zaczyna się od kawy albo herbaty – u nas tym się kończy. Niby bzdura, ale jednak różnica – mówi Irina. – Wolę Rosjan. Rodzice wychowywali mnie patriotycznie. Cieszyłam się, że żyję w najlepszym kraju na świecie – ZSRR. Oglądałam materiały w telewizji, że w Stanach biją czarnych, i dziękowałam, że tam nie mieszkam. Jestem dzieckiem oficera, jeździliśmy po całym Związku Radzieckim. Do Doniecka przyjechałam w 10. klasie. Dostałam się na studia. Są miasta, w których byłam szczęśliwa – Moskwa, Soczi. Nikt by mnie tam dziś nie uważał za osobę gorszą.

– Rosyjski człowiek to człowiek, który zna naszą historię, czyta naszą literaturę – podkreśla Irina. – Uważa się, że język ojczysty to ten, w którym człowiek myśli. W naszym kraju to ponad 70 proc. mieszkańców, a mówiących po rosyjsku jest 90 proc. Nasz przemysł jest powiązany z Rosją. Charków robi silnik do maszyny, a Rosja produkuje jej korpus. To jeden system ekonomiczny.

Janukowycz nas oszukał. Nie było zbliżenia z Rosją, język rosyjski nie został wprowadzony. Językiem obowiązującym w sądach został ukraiński. Jeżeli nie rozumiem, muszę opłacić tłumacza. Historie

chorób też są po ukraińsku. Przed Euro 2012 zmienili w naszym mieście tabliczki z nazwami ulic – teraz są po ukraińsku i angielsku. Jeżeli jest jakaś reklama po rosyjsku, koniecznie musi być na dole tłumaczenie na ukraiński. Albo filmy: rosyjska produkcja, a na dole ukraińskie napisy. Nawet kreskówki! Szkół rosyjskich też coraz mniej. A Russkij Blok broni rosyjskiego świata. Rosjanin nie oznacza narodowości, to człowiek, który uznaje naszą kulturę. Wśród nas są także Żydzi, Tatarzy.

– Boli nas szczególnie to – mówi Irina – że wschód Ukrainy ciężko pracuje i musi oddawać większą część swoich zarobków na pensje i emerytury faszystom z Zachodu. Faszyści, którzy służyli w SS, są bohaterami. Na Zachodzie byłam tylko raz i więcej nie chcę.

Euromajdan istnieje dzięki pieniądzom ze Stanów i z Europy. Nikt u nas nie mówi, że w Europie jest kryzys ekonomiczny i polityczny. Że w Holandii są legalne i prostytucja, i narkotyki. I małżeństwa tej samej płci. Kto będzie rodzić, jeśli wszyscy wstąpią w związki homo? – pyta Irina. – W zachodnich regionach są ludzie, którzy szczerze nienawidzą wszystkiego, co rosyjskie. Dlatego u nas, na wschodzie, coraz więcej osób mówi: chcecie tam, do Europy, to idźcie! Naprawdę nie mam za co kochać Ukrainy. Wszystko, co mam, dostałam od rodziców, ZSRR i Rosji.

* * *

24 lutego 2022 r., kiedy oddawaliśmy tę książkę do druku, Putin zaatakował Ukrainę…

Tekst ukazał się w „Wyborczej” w grudniu 2013 r.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Szwedzka robota w Auschwitz

Gdy Stella Czajkowska opowiadała młodym Szwedom, jak wyszła z komory gazowej w Auschwitz, Anders Högström słuchał poruszony.

PIOTR GŁUCHOWSKI, MARCIN KOWALSKI

FOT. ARKADIUSZ WOJTASIEWICZ/AGENCJA WYBORCZA.PL

Dworzec w Sztokholmie. Anders Högström odchodzi po krótkim spotkaniu z reporterami „Wyborczej" (autorzy reportażu na drugim planie).

Teraz, kiedy polscy złodzieje „Arbeit macht frei” siedzą w areszcie, on krąży po Sztokholmie. Nocuje w swoim domu, w bloku, albo u znajomych. Dni spędza, próbując – w tajemnicy przed własnym adwokatem – sprzedawać wywiady prasie z całego świata.

Nie było łatwo go znaleźć.

Lecąc do Szwecji, mieliśmy imię, nazwisko, zdjęcie i informację, że ma 34 lata. Po dwóch dniach rozmów ze szwedzkimi dziennikarzami dostaliśmy telefon. Högström odebrał za piątym razem. Zgodził się na spotkanie między Burger Kingiem a kioskiem Pressbyran w podziemiach dworca Stockholms centralstation. Za rozmowę zażądał 30 tysięcy koron, czyli nieco ponad 12 tys. złotych.

Dziecięce szczęście odebrały mu – łamiąc gałęzie – emigranckie dzieciaki. Tak przynajmniej powiedział lokalnej szwedzkiej gazecie „Mora Tidning” w wywiadzie, którego – jeszcze za darmo – udzielił 10 lat temu. W bliskich mu okolicach – miastach Mora, Motala w środkowej Szwecji i na południu Szwecji w Karlskronie, gdzie chodził do szkoły – imigranci stanowili wówczas 2-3 procent. Nie to, co dzisiaj, gdy nie znajdziesz w całej Szwecji klasy bez jednego-dwóch Bośniaków, Erytrejczyków, Gruzinów.

Ale już wtedy na podwórzu Andersa czarnoocy chłopcy rządzili.

Zrobili sobie ognisko z gałęzi ulubionego drzewa małego Szweda. Z konarów, na które kochał się wdrapywać. Tak przynajmniej powiedział „Mora Tidning”, aby wyjaśnić swój akces do faszystów: – Odtąd przestałem lubić kolorowych, zacząłem się z nimi bić.

W nauce mu nie szło. Lubił WF i warsztaty, szwedzki z matmą wchodziły do głowy gorzej.

– Zdjęcie, które na zawsze zmieniło moje życie, znalazłem w książce od historii. Nie wiedziałem, kogo przedstawia, ale była w nim jakaś siła i czystość. Przykleiłem je sobie pod ławką.

Na zdjęciu był Adolf Hitler pozdrawiający niemieckich żołnierzy. A może esesmanów? Prawdę mówiąc, Anders nie wiedział w ogóle, o co chodzi temu panu z wąsikiem, że tak wyciąga rękę.

Fotografia została pod szkolną ławką. Högström trafił do poprawczaka.

Dzwonimy na policję, kopiemy w starych szwedzkich gazetach, szukamy powodów jego konfliktów z prawem. Wygląda na to, że z początku były jakieś drobnostki: bójki, drobne kradzieże, kłamstwa wobec nauczycieli, brak postępów w nauce. Zachowała się opinia opłaconego przez gminę psychologa: inteligentny, ale zdemoralizowany, próbuje zaimponować kolegom.

Z wywiadu dla „Mora Tidning”:

– Na froncie jakiegoś budynku wymalowałem wielką swastykę, zbiegli się wszyscy święci.

Wszyscy, czyli lokatorzy pomalowanego domu, wychowawca, przedstawiciel dyrekcji szkoły oraz wysłannicy organizacji Opór Białych Aryjczyków.

Heil naszej nordyckiej chwale!

Opór powstał w 1980 roku w Kalifornii. Szwedzka odnoga pojawia się kilka lat później. Aryjczycy, dalecy potomkowie niebieskookich wojowników z himalajskich dolin, gardzą nie tylko Żydkami, czarnuchami i całą resztą kolorowych, ale także rodzimymi,

szwedzkimi chrześcijanami. Cholernymi mięczakami. Co to za religia, która nakazuje człowiekowi nadstawiać drugi policzek? Jakiś zdegenerowany judaizm... Prawdziwy Aryjczyk kocha przemoc, ryzyko i cierpienie. Aryjczyk-nordyk ze Szwecji, potomek wikingów, nie boi się ani chrześcijańskich diabłów, ani żydowskich demonów. Wierzy w potęgę Odyna, siłę Thora, piękno Walkirii i wieczne uczty w Walhalli.

Kłopot w tym, że dzielnych ludzi jest ciągle niewielu. W całej Karlskronie kilku, w porywach – kilkunastu. W dodatku permanentnie bez kasy.

Parę oszustw i sklepowych kradzieży mających zmienić ten stan rzeczy poprzez wzmocnienie finansowe ruchu kończy się dla Andersa pierwszą, kilkumiesięczną, odsiadką. Kiedy wychodzi – goły i niewesoły – jest rok 1995.

Szwedzcy naziści, działający nieprzerwanie od lat 30., wchodzą w swój drugi złoty okres.

Tutejsza faszystowska scena muzyczna – oficjalnie nazywająca siebie viking rockiem – jest największa na świecie. Zespół Enhärjarna śpiewa romantyczne hymny:

Heil Naszej potężnej nordyckiej chwale!

Rodacy, rodacy! Do broni!

Kapela o nazwie Bärsärkarna – na płycie z roku 1994 – jest bardziej dosłowna:

Jeśli kiedykolwiek masz kupić broń

Kup teraz! Kup teraz!

Tylko biały patriotyzm może się rozprzestrzeniać w tym kraju.

Albo my, albo oni!

Oczyścimy się we krwi naszych wrogów!

Koszulki, plakaty, opatrzone swastykami i krzyżami żelaznymi płyty – wszystko można kupować legalnie w butikach i na straganach ustawianych przy okazji marszów w dzień urodzin Rudolfa Hessa. W antykwariatach leżą mundury, noże i pierścienie esesmanów. W ciągu 12 miesięcy policja notuje siedem zabójstw na tle rasowym. Nauczyciele historii przekazujący wiedzę o Holocauście dostają pogróżki. Organizacje – rodzime i odnogi światowych – wyrastają jedna po drugiej: Info 14, Szwedzki Ruch Oporu, Partia Szwedów, Kampania Zachowaj Szwecję itd.

Kiedy liczba przenikających się wzajemnie grup przekracza 20, grono sztokholmskich nauczycieli i dziennikarzy zakłada fundację Expo. Chcą monitorować najbardziej aktywnych nazistów. Na czele grupy staje Stieg Larsson, reporter, autor wydanego już spisu szwedzkich neofaszystów „Extremhögern", w przyszłości twórca megabestsellera „Millennium".

W hitowym kryminale pisarz przedstawi prawicowych ekstremistów w postaci motocyklowego gangu. W „Extremhögern" opisuje ich z nazwiska, podaje adresy. Naziści odpowiadają tym

samym. W jednej z gazetek zamieszczają adres i telefon Larssona oraz jego współpracownicy – dziennikarki Anny-Leny Lodenius. Autor z gazetki otwarcie pyta czytelników, czy kochający ojczyznę Szwedzi pozwolą, by parszywi komuniści tropili patriotów, czy też „da się z tym coś zrobić".

Dobry wujek i ładne chłopaki

Rok 1996. Skandynawska odnoga Oporu Białych Aryjczyków obumiera, ponieważ upada amerykańska centrala organizacji. Aryjczycy zza oceanu zbankrutowali po zabiciu etiopskiego studenta Mulugety Serawa i po tym, jak amerykańscy obrońcy praw człowieka wywalczyli przed sądem 12,5 mln dol. kary za zbrodnię.

Anders Högström postanawia wypełnić w Szwecji próżnię po Oporze. Zakłada z kolegami Front Narodowosocjalistyczny.

Młody, inteligentny faszysta okazuje się świetnym organizatorem.

W 1997 roku Front ma prawie 200 członków i terenową strukturę wzorowaną na niemieckich NSDAP i SS. Godność Reichsführera Szwecji piastuje sam Högström, jednym z prominentnych członków – z legitymacją nr 10 – zostaje potentat w branży nieruchomości Lars-Göran Wahlström.

To tajemnicza postać. 58 lat, wydatny brzuszek, skromne ubranie, niebieskie oczy, rzadkie blond włosy, rudawy wąsik i okulary.

Gdy nadzorujący wypuszczonego Högströma sąd pozwala młodzieńcowi wskazać kandydata na kuratora – w Szwecji recydywiści mają takie prawo – Reichsführer wybiera Wahlströma.

Dosłownie w ostatnich dniach wychodzi na jaw, że zażywny milioner od lat jest kimś w rodzaju dobrego wujka dla całej gromady młodych neofaszystów. Prowadzi im konta bankowe, opłaca rachunki, pozwala mieszkać w domach, których ma wiele – na stałym lądzie i na uroczych zielonych wyspach otaczających Sztokholm.

Przejrzeliśmy zdjęcia młodych znajomych Wahlströma. Większość z nich to tzw. ładni chłopcy. Wiek od 20 do 40 lat, gładkie buzie, włosy na żel, ciasne koszulki opinają wyrzeźbione na siłowni torsy. Tak wygląda sam Högström, tak prezentował się też Andreas Axelsson, jego przystojny, czarnowłosy kolega faszysta, któremu Wahlström udostępniał m.in. skrzynkę mailową – do czasu, gdy w kwietniu 1999 roku Axelsson wraz z dwoma innymi nazistami wykonał skok na bank w miejscowości Kisa w południowej Szwecji.

Morderstwo w Malexander

– Nieprzyzwyczajona do przemocy Szwecja przeżyła wówczas wstrząs – wspomina Maciej Zaremba, pochodzący z Polski reporter największej szwedzkiej gazety „Dagens Nyheter".

Pieniądze, które chcieli zrabować trzej naziści, miały im posłużyć na działalność organizacyjną, ale coś poszło nie tak i za rabusiami ruszył policyjny pościg. W maleńkiej miejscowości Malexander dwóch młodych oficerów zginęło od kul. Bandyci użyli pistoletu, który wcześniej zabrali jednemu z nich.

To była egzekucja z bliska.

Ale nie samo strzelanie w policyjne głowy najmocniej zaszokowało Szwedów. Już dwa dni po napadzie gazety ujawniły, że drugi, obok Axelssona, bandyta – Tony Olsson – wybrał się na skok do Kisa, korzystając z więziennej przepustki, w czasie której w ramach resocjalizacji grał niewielką rólkę w teatralnym spektaklu na temat antyfaszyzmu. Za występy pobierał pieniądze.

Trzeci z zabójców to czarnoskóry nazista, pochodzący z Liberii i adoptowany w dzieciństwie przez szwedzką parę Jackie Arklöv. Wychowany na północy Szwecji, próbował dostać się do komandosów. Nie przyjęli go, bo nie grzeszył intelektem. Pojechał więc na wojnę w byłej Jugosławii. Tam – w szeregach chorwackiej milicji – trudnił się m.in. torturowaniem Bośniaków. Szwedzkie władze wiedziały o torturach i o tym, że Arklöv został za nie skazany na Bałkanach. Mimo to, jako obywatel Szwecji, został ewakuowany przez szwedzką dyplomację i wrócił do domu na koszt państwa. To on pociągnął za spust w Malexander.

Jakby tego było mało, „Dagens Nyheter" ujawnił, że Arklöv – po powrocie do ojczyzny – zaliczył oskarżenie o kradzież, groźby karalne i wywołanie fałszywego alarmu bombowego w trakcie antyrasistowskiego wiecu. Jedyny efekt: dozór prewencyjny. Sąd uznał, że uczestnicząc w okropnościach wojennych na Bałkanach, Arklöv dość wycierpiał i nie ma powodu osadzać go za kratkami.

– Napisałem wtedy, że te same szwedzkie urzędy, które zlitowały się nad przestępcą wojennym Arklövem, odmówiły azylu torturowanemu przez niego Bośniakowi – wspomina Maciej Zaremba.

Narodziny gwiazdy

Zbrodnia w Malexander okazuje się przełomem w szwedzkim podejściu do neonazistów. Traktowane dotychczas z przymrużeniem oka ekscesy wielbicieli białej rasy stają się tematem wspólnego manifestu redaktorów naczelnych popołudniówek „Aftonbladet" i „Expressen" oraz opiniotwórczych „Dagens Nyheter" i „Svenska Dagbladet". 30 listopada 1999 roku pierwsze strony czterech gazet zdobi wielki tytuł „Zagrożenie demokracji". Na rozkładówkach – nazwiska i zdjęcia 62 czołowych szwedzkich nazistów. Wśród nich Axelsson, Arklöv, Olsson i Högström. Prócz nich – chłopcy i mężczyźni w wieku od 19 do 45 lat, przeważnie bezrobotni, ale i studenci. Obok Arklöva jeszcze dwóch ciemnoskórych i jedna kobieta.

– Po tym wydarzeniu postanowiłem zmienić swoje życie – opowiada Högström w wywiadzie sprzed dziesięciu lat. Nie precyzuje, czy mocniej wstrząsnęła nim śmierć policjantów, czy własne zdjęcie w zbiorowym liście gończym. Nikt go chyba nawet o to nie pyta, gdy kontaktuje się z socjaldemokratami z Karlskrony. Są mile zaskoczeni akcesem młodego nazisty, który oświadcza, że postanowił opuścić Front Narodowosocjalistyczny i wstąpić do nich. Pod koniec 2000 roku Högström dostaje posadę: pracuje w filii stowarzyszenia Exit w miasteczku Motala między Sztokholmem i Karlskroną.

Exit to świeżo powołana publiczna organizacja. Działa w Niemczech i Szwecji. Pomaga byłym neofaszystom zerwać ze środowiskiem, znaleźć pracę, zmienić mieszkanie.

Po kilku miesiącach działalności Högström jest prezesem oddziału w Motali.

Kupuje – z państwowych dotacji – sprzęt do siłowni za 25 tys. koron i łódź za 39 tys. Próbuje sprzedać należące do stowarzyszenia komputery, nielegalnie handluje bronią. W końcu defrauduje 100 tysięcy, doprowadzając Exit Motala do ruiny.

Równocześnie zaczyna prowadzić życie celebryty.

Jeździ po szkołach z odczytami o wychodzeniu z faszyzmu, występuje w radiu i telewizji, m.in. w programie czarnoskórej Alice Bah. Córka dwójki Gambijczyków, była prezenterka kilku kanałów i gospodyni szwedzkiego Klubu Disneya, ma własny talk-show w TV 4. Nawrócony neonazista opowiada jej, jak postanowił wstąpić na drogę cnoty. Po programie udziela jeszcze kilku wywiadów niewielkim gazetom.

Szczyt popularności osiąga w 2001 roku, w trakcie imprezy Artyści przeciw Neonazistom, na której występuje obok socjaldemokratycznego premiera Görana Perssona i księżniczki Victorii – następczyni szwedzkiego tronu.

Transmisja z uroczystej gali idzie na cały kraj. Występują muzycy, politycy, działacze. Socjaldemokratyczny prezes Exit Motala przemawia ze sceny jak natchniony. Mówi o swoich nowych pasjach: o integracji imigrantów, ekologii, prawach gejów, lesbijek i transseksualistów. Płomienne przemówienie kończy wezwaniem: – Jedyne rozwiązanie to gejowska rewolucja!

Dostaje gorące owacje.

Premier zapowiada 5 milionów koron dotacji na działalność antyfaszystowską, Alice Bah – w złocistej afrykańskiej tunice – pozuje z Högströmem przed ścianą fotoreporterów.

– Prawdopodobnie wtedy zorientował się, jak działają media – mówi Maciej Zaremba. – Zrozumiał, że trzeba je ciągle czymś zaskakiwać. Nazista już nie wystarczy, lepszy nawrócony nazista. A najdoskonalszy jest nawrócony nazista afirmujący gejów. Taki przekaz kupią wszystkie stacje.

Faktycznie, jeszcze przez kilka dni po gali Högström ogląda w telewizjach siebie samego, jak przytulony do Alice Bah mówi: – Jesteśmy przyjaciółmi i chcemy powiedzieć wszystkim, że będziemy działali wspólnie – aż do zwycięstwa.

Kim może być złodziej?

W 2003 roku nawrócony nazista startuje w wyborach do rady parafialnej w Karlskronie. W Szwecji Kościół i państwo przez wieki stanowiły jedność. Rady parafialne – przechowalnie pomniejszych polityków – pochodzą z wyboru. Kandydatów wysuwają wszystkie partie, także komuniści. Z Andersem jest jednak kłopot – już w dniu elekcji okazuje się, iż opuścił socjaldemokratów, którzy go desygnowali. Przeszedł do konserwatystów i zapomniał się pożegnać.

W 2004 roku zarabia, jeżdżąc po szkołach w towarzystwie członków Związku Ocalonych z Holocaustu.

Na jednym ze spotkań staje obok Stelli Czajkowskiej, 80-letniej wybitnej pianistki, profesor Uniwersytetu w Göteborgu. Czajkowska zaczyna opowieść od tego, jak przed wojną, mając dziesięć lat, koncertowała w Gdańsku. Potem jest wojna i getto w Łodzi. W 1944 roku dziewczyna trafia do Auschwitz.

– Zostałam wytypowana do zagazowania – mówi 60 lat później do szwedzkich uczniów. – Ogolili nas na łyso, rozebrali do naga, wprowadzili do komory i z hukiem zamknęli drzwi. Wpatrywałam się w sufit, w dysze, z których za chwilę miał wydobyć się gaz. Czekałam na śmierć, wiedziałam, że przyjdzie. Ale godziny mijały, a gaz nie leciał. Nastąpiła jakaś awaria. Stałyśmy tam coraz słabsze, brakowało powietrza. W końcu esesmani otworzyli wrota. Wyprowadzili nagie, mimo przenikliwego zimna, na peron i wsadzili do pociągu. Pojechałyśmy do obozu w Stutthof. Dopiero tam dali nam ubrania.

Anders Högström słucha profesor Czajkowskiej, wygląda na poruszonego.

– Jeszcze zanim zaczęłam opowiadać, przedstawiono nas sobie – wspomina pianistka. – Szef Związku Ocalonych nie ukrywał, że ten młodzian to nawrócony były hitlerowiec. Podaliśmy sobie ręce. Może nawet zamieniliśmy kilka zdań. Potem ja opowiedziałam młodzieży o moim życiu, a on o swoim. Choć kontakt był krótki, zapamiętałam go dobrze. Miał coś wyrazistego w sobie. Teraz, gdy usłyszałam o kradzieży w Auschwitz, myślałam: kim może być złodziej? Ile musi mieć zła? I nagle dowiaduję się, że to ten Högström... Ten sam, który ze mną stał na scenie i słuchał mojego świadectwa.

Ja kradzieży nie zlecałem

Czekając w Sztokholmie, aż człowiek, na którego polujemy, odbierze kolejny telefon, tłumaczymy ostatnie artykuły ze szwedzkich gazet. Wygląda na to, że Anders rozpętał wojnę tabloidów. Zaczął – jeszcze w ostatnich dniach grudnia ub.r. – „Aftonbladet". Wywiad z anonimowym „byłym neonazistą" przynosi sensację za sensacją.

Rozmówca popołudniówki przyznaje się do zlecenia polskiemu gangowi kradzieży „Arbeit macht frei". Wyjaśnia, że działał na zlecenie potężnej neofaszystowskiej organizacji, która już od dawna finansuje swą działalność ze sprzedaży kradzionych dzieł sztuki. Podobnie jak zrabowane wcześniej okazy – między innymi parkowe rzeźby autorstwa uznanych plastyków – oświęcimski napis ma trafić, za kilka milionów koron, w ręce kolekcjonera.

– Zyski pomogą sfinansować serię zamachów, które zdestabilizują Szwecję przed jesiennymi wyborami – czytamy w „Aftonbladet".

Ataki będą różne: od wysadzenia lokum premiera Fredrika Reinfeldta, przez ostrzeliwanie posłów Riksdagu z galerii dla publiczności, po odpalenie bomby w siedzibie MSZ.

– Nasza organizacja dzieli się na dwa piony: bojowy i finansowy – ujawnia anonimowy rozmówca. – Ja należę do tego drugiego.

Oficer szwedzkiej służby bezpieczeństwa SAPO – Patrik Peters – w tym samym numerze gazety potwierdza powyższe rewelacje słowami:

– Znamy dane o planach zamachów już od dłuższego czasu.

Czy i ile „Aftonbladet" zapłacił Högströmowi za wywiad – gazeta nie zdradza. On sam, gdy wreszcie podnosi słuchawkę i zaczyna z nami rozmawiać, mówi, że negocjacje z dziennikarzami zaczyna od 20 tysięcy koron (ponad 8 tys. złotych). Na co najmniej tyle musimy się przyszykować i my.

– „Gazeta Wyborcza" nie płaci za wywiady – tłumaczymy cierpliwie.
– Możemy porozmawiać z panem o zarzutach, jakie chce panu

postawić prokuratura w Krakowie.

Anders sprawia wrażenie rozbawionego ofertą.

– To mnie kompletnie nie interesuje. Zresztą żadnych zarzutów nie będzie, bo ja tej kradzieży wcale nie zlecałem.

– A wywiad w „Aftonbladet", organizacja nazistowska, wysadzenia?

– Nie autoryzowałem tego. Powtarzam: jestem niewinny. Mam cały czas kontakt z polską prokuraturą i oni wiedzą, jak jest.

– Kontaktuje się pan z nimi przez adwokata?

– Absolutnie proszę nie łączyć mecenasa z naszą rozmową. Jeżeli chcecie rozmawiać dalej, musicie zachować nasze kontakty w tajemnicy. Jeżeli dowiem się, że byliście u Petera Althina, zrywam kontakt.

Po wódce wymyślili

9 stycznia redakcja „Expressen" atakuje „Aftonbladet":

– Jak można płacić za bzdurne informacje o zakupie amunicji, o strzelaniu do posłów... przecież Anders Högström – gazeta traktuje go już po nazwisku – jest zwykłym mitomanem, który zorganizował kradzież wyłącznie dlatego, że chciał zarobić na sprzedawaniu informacji o niej.

– Tragikomiczne, ale chyba prawdziwe – komentuje Maciej Zaremba. – Wszystko wskazuje na to, że Högström, kiedy już opatrzył się mediom jako nawrócony neonazista, zapragnął powrotu w światło jupiterów. Tyle że nie miał pojęcia, jak tego dokonać. Ani w partii

socjaldemokratycznej, ani w konserwatywnej kariery nie zrobił. Warto prześledzić, czego się imał później.

Prześledziliśmy: pracował fizycznie, na podstawione osoby kupował towary, a potem za nie nie płacił, żył na koszt swego opiekuna prawnego Wahlströma. Planował, wspólnie z kolegą, założenie zespołu striptizerów, potem produkcję cudownego środka na potencję. Inny pomysł na odzyskanie sławy: przepłynięcie Bałtyku łodzią wiosłową w towarzystwie niejakiego „Raptora", bohatera telewizyjnego show „Gladiatorzy".

– Nie mając koncepcji na żadne sensowne zajęcie, pojechali do Auschwitz – mówi Wahlström w wywiadzie dla „Expressen". Przy okazji opowiada gazecie o Polaku, który dla niego pracował:

– Nosili mi wspólnie meble: Polak, Anders i jeszcze jeden. Po pracy napili się wódki, a po wódce wymyślili kradzież, o której dowiedziałem się dopiero dzięki mediom, bo wcześniej nie podsłuchiwałem, co tam kombinują przy flaszce.

To może być prawda. Podobną wersję usłyszeliśmy dwa tygodnie wcześniej w podtoruńskim Czernikowie, rodzinnej wiosce Polaka, czyli Marcina A. Najpierw był jego wyjazd na saksy, potem pomysł zrodzony w jednej z rezydencji Wahlströma, gdzie dostał robotę. Jeszcze później Marcin A. zaprosił poznanego Högströma do Polski – na swoje wesele. Przy okazji odwiedzili razem Oświęcim i Högström pokazał, co dokładnie należy ukraść. W samej akcji pomagał – dostarczając samochód – kolega Szweda, bałkański imigrant. Brudną robotę wykonał znajomy Marcina A. – czernikowski cwaniaczek o pseudonimie „Soczewa". On z kolei zaangażował do pomocy trójkę złodziei z niedalekiego Lipna.

Wszyscy Polacy zostali przez Szweda zdradzeni.

– Wsypałem ich, bo jestem praworządnym obywatelem. Gdy tylko dowiedziałem się ze szwedzkiej telewizji o kradzieży, postanowiłem pomóc – mówi Högström w tym samym numerze „Expressen" – Moja pomoc okazała się zresztą kluczowa. 40 minut po tym, kiedy zadzwoniłem do Polski, złodzieje zostali schwytani.

Redakcja nie pyta, jak „pomoc" policji ma się do wcześniejszego zlecenia kradzieży. Ale rzecznik funkcjonariuszy z Krakowa przyznaje, że odebrano telefon. Zaprzecza jednak, by Högström przyczynił się do złapania „Soczewy" i reszty.

– To była musztarda po obiedzie – stwierdza w rozmowie z „Gazetą". – Dzwoniący interesował się przede wszystkim wyznaczoną za pomoc nagrodą.

„Expressen" nie kryje, że numer dyżurnego policji w Krakowie Högström dostał w redakcji. Na stronie internetowej www.expressen.tv od tygodnia oglądać można krótki wywiad z nazistą. Najwyraźniej jednak czytelnicy i internauci nie pasjonują się już tak bardzo jego historią, bo w lepszym miejscu redakcja zamieściła filmowe relacje z meczu Barcelony, gdzie gra szwedzki napastnik Zlatan Ibrahimović, i zlotu amerykańskich fanów Michæla Jacksona.

Jutro przed kioskiem

Kilkuminutowa telefoniczna rozmowa z Högströmem, którą prowadzimy z hotelu w Sztokholmie, ciągnie się tylko dlatego, że podrzucamy wciąż nowe pytania i nie dajemy mu skończyć. Wreszcie jednak pada pytanie kluczowe:

– Możecie mi w końcu zapłacić?

– A ile by pan sobie życzył?

– Dzwoniła już do mnie jedna polska gazeta. Oferują 25 tysięcy koron szwedzkich. Obiecałem im za to wywiad na wyłączność. Jeżeli chcecie ich przebić, musicie wyłożyć 30 tysięcy. Wtedy odmówię tamtym i będę rozmawiał tylko z wami.

– A gwarantuje pan rozmowę na wyłączność w Polsce czy w ogóle – światowo?

– Tylko w Polsce. Musicie zrozumieć, że nie jesteście jedyni. Mam propozycje także spoza Europy. Z Bliskiego Wschodu.

– Z Izræla?

– Nie mogę o tym mówić.

– My też wolelibyśmy już nie rozmawiać przez telefon. Czy możemy się spotkać?

– A jesteście w Sztokholmie?

– Jesteśmy.

– W takim razie nie ma problemu. Znacie tu jakieś miejsce?

– Na przykład Dworzec Centralny.

– Dobrze. Jest tam w podziemiu duży kiosk z gazetami.

– O której mamy być?

– Jutro o dziewiątej. Jak już staniecie na miejscu, to do mnie zadzwońcie. Ilu was jest?

– Dwóch. Ale może być jeden.

– Mnie to nie robi różnicy. Do zobaczenia.

Przeszłość, by zapomnieć

11 stycznia, na dzień przed naszą rozmową ze Szwedem, „Aftonbladet" odpowiada na zaczepki konkurencyjnej redakcji. Autorzy popołudniówki wycofują się miękko z rewelacji o strzelaniu do posłów i o wysadzaniu mieszkania premiera. Cytowany policjant „nie potwierdza teraz i nie zaprzecza", że podejrzenia tego typu były rozpatrywane. Obfitego wywiadu udziela za to Wahlström. Były członek SA (Sturmabteilung) Smalandia, o którym gazeta pisze, że jeszcze niedawno świętował urodziny Hitlera nad tortem ze swastyką, opowiada, że nie jest zadowolony ze swego podopiecznego Andersa:

– Powinno się chłopaka przebadać psychiatrycznie, być może leczyć. Jeśli dalej tak będzie rozrabiał, przyjdzie mu poszukać sobie innego opiekuna, bo ja mam już dosyć tych głupich wybryków.

– Jak to możliwe, że biznesmen nazista funkcjonuje w społeczeństwie, udziela wywiadów, nazywa oświęcimską kradzież „głupim wybrykiem"? – pytamy Macieja Zarembę.

– Szwedzi, nawet po Malexander, traktują swoich neofaszystów z dużo większym pobłażaniem niż Polacy. Tutaj minister integracji jest czarna jak heban, minister środowiska jest homoseksualistą, minister integracji – transseksualistą, a biskup Sztokholmu – lesbijką. Dlatego facet głoszący supremację białej rasy będzie

jedynie zwariowanym przedstawicielem marginesu. Drugi powód jest taki, że neonazistom trudno jest Szwedów nastraszyć. Ten kraj nie ma kompleksów. Dziewięciomilionowy naród zbudował dwie fabryki samochodów, mamy Ikeę, Bergmana, Nagrodę Nobla, Abbę, Roxette... Europe to też szwedzki zespół. Po trzecie – jesteśmy bardzo przywiązani do tradycyjnej tutaj wolności słowa, a jest to także wolność wygadywania głupot. Po czwarte, jeżeli ktoś był neofaszystą, ale deklaruje, że z tym skończył – a Wahlström i Högström tak zadeklarowali – to Szwedzi mu wierzą. W tym kraju przeszłość służy głównie do tego, by o niej zapomnieć. To się ciągnie jeszcze od wojennej współpracy z Hitlerem. Te trupy w szafach. Przypominanie o nich zepsułoby dobry nastrój.

Po spotkaniu z Maciejem Zarembą, a przed spotkaniem z Högströmem chodzimy po starej dzielnicy na wyspie Gamla Stan. Partery idealnie odnowionych zabytkowych kamienic pełne są butików, małych kawiarni i galerii sztuki. W galeriach – obok naszyjników z serduszkami i czaszkami – leżą te ze stylizowanymi swastykami, pięcioramiennymi czerwonymi gwiazdami, z hitlerowskimi krzyżami żelaznymi, a obok – z gwiazdą Dawida.

Źle zrozumiany

12 stycznia, godzina 8.30, dworzec. Fotoreporter zajmuje miejsce na galerii nad nami. Stoimy przy ławkach, czekamy, minuty płyną powoli. Przyjdzie sam czy z koleżkami? Dzwonimy pięć przed dziewiątą. Odbiera od razu.

– Anders Högström?

– Jestem na miejscu. Jakie macie ubrania?

– Jeden w czerwonej kurtce, drugi w czarnej czapce – rozglądamy się, ale nie widać nikogo, kto by nas obserwował.

– Chwileczkę, dobrze… widzę was. Podjedźcie schodami na górę.

Wstępując na ruchome schody, wciąż rozglądamy się dyskretnie – ale nie widać nic niepokojącego. Wszyscy ciepło ubrani – na zewnątrz jest minus 15 stopni, wszyscy się gdzieś spieszą. Krążymy pomiędzy cudownie pachnącymi kawiarniami, sklepem z pamiątkami, kasą biletową i toaletą. Obserwuje nas? Chyba tak – bo podchodzi nagle i zdecydowanie. Na nogach eleganckie buty z nubuku, starannie wyprasowane dżinsy, czarny skafander, równiutko ułożone włosy przetarte żelem. Witamy się chłodnym uściskiem dłoni.

– Nie ma pan oporów przed rozmawianiem z polską prasą?

– A czego miałbym się bać? Przecież wam od samego początku pomagam.

– Polska policja jest innego zdania. Nakaz aresztowania i list gończy w pańskiej sprawie są tylko kwestią czasu.

– To wam się tak wydaje.

– Zdradził pan swego polskiego kolegę. Namówił go pan do kradzieży, a potem...

– Chyba zostałem niedobrze zrozumiany. Jestem w stanie wam to wszystko po kolei wyjaśnić. Polacy, ci złodzieje, nie znają ani angielskiego, ani szwedzkiego, dlatego mnie nie zrozumieli. Tak myślę. Przecież niczego nie kazałem im kraść.

– To o czym rozmawialiście przez telefon? Polska policja ma wasze billingi.

– Najpierw chciałbym porozmawiać o pieniądzach za wywiad.

– Chyba zostaliśmy źle zrozumiani.

– Więc nie będziecie płacić?

– Nie.

– To żegnam.

* * *

W grudniu 2010 roku polski sąd skazał Andersa Högströma na dwa lata i osiem miesięcy więzienia. Trzej Polacy, bezpośredni sprawcy kradzieży, zostali skazani na kary od półtora do 2,5 roku pozbawienia wolności oraz nawiązki pieniężne. Odzyskany od złodziei oryginał napisu „Arbeit…" był w fatalnym stanie – rabusie pocięli go na trzy fragmenty, wygięli i połamali metalowe rury. Wiele liter zostało zdeformowanych, a powierzchnia napisu zarysowana i obtłuczona.

Obecnie nad bramą wejściową w Oświęcimiu wisi kopia.

Tekst ukazał się w „Wyborczej" w styczniu 2010 r.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Dlaczego Niemcy zarabiają więcej od Polaków?

„Jak to? Miałbym współdecydować o zarobkach szefa?!” – zawoła Polak. Tak robią w Volkswagenie.

WOJCIECH ORLIŃSKI

FOT. SHUTTERSTOCK

26 listopada 2001 roku w fabryce Volkswagena w Wolfsburgu z taśmy zjechał 33 333 333. wyprodukowany tam samochód. Tak duża liczba pojazdów wyprodukowanych w jednej fabryce to sukces niespotykany w historii motoryzacji.

Pojechałem do Wolfsburga, żeby zrozumieć, dlaczego Niemcy zarabiają więcej od Polaków. Zrozumiałem nie tylko to, ale też dodatkowo: dlaczego polski rząd nie radzi sobie na forum unijnym.

Wybrałem Wolfsburg, bo to siedziba koncernu Volkswagen, w którym pracownicy mają wyjątkowo silną reprezentację we władzach spółki. W niemieckich dużych firmach nie obowiązuje znana nam z Polski zasada „to moja firma, ja tu rządzę". Konkretne rozwiązania zależą od rodzaju spółki (giełdowa czy zwykłe GmbH itd.), ale ogólnie każde komercyjne przedsiębiorstwo zatrudniające powyżej 500 pracowników musi ich dopuścić do współzarządzania.

„Jak to? Miałbym współdecydować o swoich zarobkach i o zarobkach mojego szefa?!" – zawoła Polak. Ja też nie umiałem sobie tego wyobrazić, dlatego poprosiłem o spotkanie z pracowniczymi reprezentantami w Volkswagenie.

Czy związkowcy krzyczą: „Nein!"

Wiedziałem z książek, że w tej firmie pracownicy mają wręcz przewagę, bo nie dość, że mają ustawową połowę (!) miejsc w radzie nadzorczej, to jeszcze zwyczajowo wspiera ich zasiadający w niej przedstawiciel landu Dolnej Saksonii (do którego z powodów historycznych należy tzw. złota akcja).

W Volkswagenie nie do pomyślenia byłaby więc taka sytuacja, jaka obecnie ma miejsce w General Motors. Tam prezeska zarządu Mary Barra ogłosiła plany gigantycznego zwolnienia zbiorowego obejmującego kilkanaście tysięcy pracowników i zamknięcie kilku zakładów – co zamieni całe miejscowości w strefy bezrobocia – a równocześnie wypłaciła sobie 28 milionów dolarów premii.

Skrytykowali ją za to prezydent Trump oraz związkowcy. Gdy piszę te słowa, w General Motors kolejny tydzień trwa strajk, który przynosi firmie setki milionów dolarów strat dziennie.

W Volkswagenie związkowcy bez potrzeby strajku mogą takie posunięcia zawetować. Mogą nawet odwołać zarząd, który by się wykazał takim antypracowniczym podejściem.

Tyle wiedziałem w teorii, ale nie umiałem sobie wyobrazić, jak to wygląda w praktyce. Prezes przedstawia swoje plany, a przedstawiciele związków krzyczą: „Nein!", wyciągają flagi i rozpoczynają okupację sali? A może tylko się złośliwie uśmiechają, gdy projekt upada w tajnym głosowaniu?

Układałem sobie te pytania w głowie, idąc wzdłuż historycznego budynku Volkswagena na spotkanie z moimi rozmówcami. Budynek z 1938 roku sam w sobie jest wart obejrzenia, acz nie ma do niego swobodnego dostępu dla zwiedzających. Trzeba się umówić na spotkanie, pokazać w recepcji dokument i dostać przepustkę na teren fabryki.

Budynek zaprojektował Peter Koller, współpracownik Alberta Speera, i ma w sobie coś z Bauhausu, a coś z marszu z pochodniami. Emanuje funkcjonalnością i potęgą.

Jest zaprojektowany zgodnie z koncepcją miasta liniowego – identyczne hale fabryczne przeplatają się z identycznymi biurowcami wzdłuż prostej jak drut drogi, kanału i linii kolejowej. W razie potrzeby można było fabrykę rozwijać przez dostawianie kolejnych modułów.

Wejścia do biurowców zdobią płaskorzeźby symbolizujące kolejne cnoty niemieckiego społeczeństwa. Kilka płaskorzeźb skuto do gołego tynku, bo zapewne symbolizowały cnoty, które wyszły z mody już po siedmiu latach od przecięcia wstęgi przez Führera.

Kiedy Niemiec traci twarz

Napisałem – trochę na wariata – maila do działu public relations, że chcę przyjechać, by spytać o współzarządzanie. Niemcy, jak mi to potem wyjaśnili, nie wiedzieli, o co chcę pytać tak konkretnie, więc umówili dla mnie spotkanie z wszystkimi ważnymi osobami w firmie, które mają na ten temat cokolwiek do powiedzenia – szefową HR, szefem samorządu pracowniczego, szefem związku zawodowego i rzecznikiem prasowym samorządu pracowniczego.

Spotkanie było wyznaczone w siedzibie rady pracowników w budynku numer 18. Wszedłem bramą zachodnią od strony budynku numer 1, więc odbyłem długi spacer, podczas którego mogłem się nacieszyć architekturą.

Moi gospodarze poczęstowali mnie kawą w firmowym kubeczku samorządu pracowniczego, który wygląda jak gadżet z utopijnego serialu science fiction. Widnieje na nim wyidealizowana sylwetka liniowego miasta-fabryki Petera Kollera.

Nad miastem rozciąga się napis: „Twój głos za przyszłością!" (Deine Stimme für die Zukunft!). Kubeczek jest oczywiście czerwony jak pierwszomajowa szturmówka.

Rozgrzewam się kawą i zadaję swoje główne pytanie. Jak wygląda procedura weta? Jak często się to zdarza?

Moi gospodarze spoglądają w milczeniu to na siebie, to na mnie, jakbym był przedstawicielem innej cywilizacji. Którym skądinąd trochę przecież jestem.

Nawiązanie kontaktu z przybyszem bierze na siebie Johan Järvklo (sekretarz generalny rady pracowników). Przerywa ciszę i wyjaśnia mi, że nie przypomina sobie takiej sytuacji.

– W naszej kulturze przedstawienie wniosku, który upadnie w głosowaniu, oznacza utratę twarzy. Dlatego zanim projekt uchwały trafi pod obrady, poddaje się go konsultacjom – wyjaśnia i mówi, że wtedy są możliwe dwa scenariusze.

Albo w wyniku konsultacji powstanie wspólny, kompromisowy projekt – i wtedy głosowanie jest formalnością, wszyscy są za. Albo nie powstanie – to wtedy w ogóle nie ma głosowania.

W tym momencie uświadomiłem sobie, jakimi dziwolągami na Zachodzie muszą być nasi politycy, którzy – jak Beata Szydło czy Jacek Saryusz-Wolski – startują w wyborach do unijnych instytucji z okrzykiem: „Nam się to stanowisko po prostu należy!", a potem przegrywają 27:1.

Jak się mówi o Volkswagenie

Ale nie przyjechałem tutaj rozmawiać o tym. Claus-Peter Tiemann, rzecznik prasowy samorządu pracowniczego, ilustruje słowa Järvkla cytatem ze zmarłego niedawno wieloletniego menedżera Volkswagena i Porsche Ferdinanda Piëcha.

Powiedział on mianowicie kiedyś, że proces podejmowania decyzji w koncernie Volkswagen trwa dłużej niż w innych firmach, ale za

to, gdy decyzja jest już podjęta, to popiera ją 100 tysięcy ludzi, a nie kilku panów w gabinecie.

Dzięki temu w Volkswagenie biznes jest bardziej przewidywalny. Ryzyko dzikiego strajku jest bliskie zera, a ewentualne konflikty rozstrzygane są bez strat dla spółki, bo nawet w sytuacji konfliktowej wszystkim wspólnie zależy na jej dobrych wynikach.

Proszę o przykład takiego konfliktu. Moi rozmówcy wskazują na zdjęcia dekorujące siedzibę samorządu. Przedstawiają akcję protestacyjną, która odbyła się niedawno pod hasłem: „Jedna firma – jedna rodzina".

Zaczęło się od tego, że zarząd – w poszukiwaniu oszczędności – postanowił outsourcować firmom zewnętrznym obsługę ochrony, recepcji, stołówki pracowniczej itd., żeby ich pracownicy nie korzystali już z dobrodziejstw układu zbiorowego wypracowanego przez potężny związek sektora maszynowego IG Metall. W końcu ochroniarz nie jest, ściśle rzecz biorąc, metalowcem.

Związkowcy byli innego zdania. Wszyscy przyszli tego dnia do pracy w koszulkach z tym hasłem i wzięli udział w strajku ostrzegawczym, stosunkowo bezbolesnym dla spółki. Zdjęcia w siedzibie przedstawiają po prostu tłumy uśmiechniętych ludzi w koszulkach i z transparentami „Jedna firma – jedna rodzina".

Wobec determinacji załogi zarząd ustąpił. I nadal ochroniarze i recepcjonistki cieszą się tymi samymi przywilejami układu zbiorowego co cała reszta: mają czterodniowy tydzień pracy, wcześniejsze emerytury i Tariffbonus, czyli wynikającą z układu zbiorowego premię wypłacaną co roku jako dodatkowa wypłata (w tym roku: 4750 euro dla każdego).

Chociaż moi rozmówcy byli związkowcami, w rozmowie uderzała ich lojalność wobec firmy. Sformułowań takich jak „filozofia Volkswagena" albo „wartości Volkswagena" używali naturalnie, niewymuszenie. Widać było, że naprawdę się identyfikują ze swoją firmą.

Dla przybysza z Polski to jednak trochę dziwne. Ilu korpoludków na warszawskim Mordorze nieironicznie mówiłoby o wartościach firmy, w której pracują?

Kiedy Claus-Peter odwoził mnie do zachodniej bramy swoim tiguanem, aż się wstydziłem przyznać, że przyjechałem samochodem wyprodukowanym w Japonii.

Czego szef w Volkswagenie nie może

Volkswagen to firma specyficzna nawet jak na niemieckie warunki. W czasie wojny pracowali tu robotnicy przymusowi m.in. z Polski, którzy po wojnie – słusznie – woleli nie wracać do krajów podbitych przez Stalina. Odgruzowali więc zakłady w Wolfsburgu w czynie społecznym.

W uznaniu tych zasług (a także tego, że firmę założono ze środków skonfiskowanych związkom zawodowym) od początku nie było tu dzikiego kapitalizmu. Choć firma miała i ma prywatnych właścicieli, głównie spadkobierców rodu Porsche-Piëch, jest częściowo upaństwowiona.

To nie była jednak jedyna firma odbudowywana po wojnie w czynie społecznym. Dlatego w RFN nie wrócono już po 1945 roku do dzikiego kapitalizmu.

Przed wojną postulaty samorządności pracowniczej wysuwała wyłącznie lewica. Rady pracowników powołano w Niemczech w 1922 roku, jeszcze za socjaldemokratycznego prezydenta Friedricha Eberta. Wszystko to zlikwidowali w 1934 roku naziści.

Chadecki rząd Konrada Adenauera nie tylko w 1951 roku je przywrócił, ale też znacznie rozszerzył pracowniczą reprezentację. Najpierw ustawowo wprowadzono zasadę reprezentacji pracowników w radzie nadzorczej w przemyśle ciężkim, potem rozszerzano to o kolejne branże i rodzaje firm.

Z tego być może częściowo płynie hegemonia CDU trwająca od 1949 roku do dzisiaj. Na 70 lat historii Republiki Federalnej Niemiec chadecja rządziła łącznie przez 50 lat. Jeśli pracownicy największe zdobycze kojarzą z chadecją – po co im socjaldemokracja?

Przeciętny Hans Schmidt pracuje w firmie, w której ma pośrednią możliwość powołania i odwołania zarządu (przez swoich przedstawicieli w radzie nadzorczej). O ile w polskiej firmie szef kadr jest mianowany przez zarząd i reprezentuje go przed pracownikami, o tyle w niemieckiej jego odpowiednik (Arbeitsdirektor) jest członkiem zarządu powoływanym przez pracowników (a więc reprezentuje ich przed resztą zarządu).

Szef Hansa Schmidta nie może więc dać podwyżki czy premii sobie, jeśli nie da niczego Hansowi Schmidtowi. Nie może też za jego plecami knuć żadnych podstępnych planów – na przykład z zaskoczenia ogłosić plan wielkiego zwolnienia zbiorowego, który wywołał strajk w General Motors.

Zarząd uzasadnia je tam przesiadką na samochody elektryczne. Oczywiście Volkswagen ma ten sam problem, ale tutaj wszystko

poszło inaczej.

Związki zawarły z zarządem umowę zwaną pakietem przyszłościowym (Zukunftpaket). Zgodnie z nim zamiast najprostszego rozwiązania – zbiorowego zwolnienia pracowników związanych z samochodami spalinowymi i rekrutacji nowych, znających się na elektrycznych – pierwszeństwo ma „wewnętrzny rynek pracy".

Czyli: pierwszeństwo w rekrutacji będą mieć ci fachowcy, którzy przejdą (fundowane przez firmę) przeszkolenie. Na przykład specjalista od silnika spalinowego stanie się specjalistą od silnika elektrycznego. W dalszej kolejności ci, którzy nie chcą się szkolić, a mają niewiele do emerytury, będą namawiani do dobrowolnego przedterminowego odejścia (z sowitą odprawą na pożegnanie).

Pakiet też uwzględnia postulaty pokolenia milenialsów. W generacji X, do której należę ja (i moi rozmówcy w Volkswagenie), pytaliśmy raczej: „Jak mogę dorobić nadgodzinami?". Milenialsi pytają: „Czy mógłbym mieć więcej wolnego?". Pakiet przyszłościowy przewiduje więc dla nich elastyczne formy zatrudnienia (przy zachowaniu wszystkich przywilejów układu zbiorowego).

To wszystko oczywiście kosztuje, ale strajk kosztuje dużo więcej...

Jak Niemcy dzielą zyski

Często w Polsce się zastanawiamy, czy i kiedy zaczniemy zarabiać tyle co Niemcy. Zazwyczaj w tym kontekście mówimy tylko o wydajności pracy.

Ale wydajność cały czas rośnie u nas szybciej od zarobków. Przecież niezależnie od tego, jak dobre wyniki ma firma, typowy zarząd

typowej polskiej korporacji w pierwszej kolejności zwiększy dywidendę dla akcjonariuszy oraz premię dla siebie, a pracowników wezwie do tradycyjnego zaciskania pasa. Nazywamy to czasem „folwarcznym modelem zarządzania".

W Niemczech ten model jest ustawowo niemożliwy. Niemieccy pracownicy po prostu odwołaliby taki zarząd, dlatego tam na wzroście korzysta także Hans Schmidt. W „starej" Unii podobne rozwiązania funkcjonują w prawie wszystkich krajach, z wyjątkiem Wielkiej Brytanii, Belgii i Włoch. W Belgii zamiast tego obowiązuje system gandawski, w którym związki zawodowe mają ogromne uprawnienia – i są częściowo upaństwowione (np. państwo wypłaca zasiłki za ich pośrednictwem).

We Włoszech i w Wielkiej Brytanii do dzisiaj częstym sposobem rozstrzygania sporów pracowniczych jest strajk. Żartobliwie pokazano to w „Misiu" Barei, w którym londyńscy urzędnicy bankowi strajkują o poprawę oświetlenia. Niemieccy bankowcy z takimi sprawami idą raczej do swojego Arbeitsdirektora.

Od 2002 roku w całej Unii Europejskiej obowiązuje dyrektywa przeforsowana za sprawą Niemiec, zgodnie z którą w większych przedsiębiorstwach należy powołać jakąś formę reprezentacji pracowniczej. W Polsce tę dyrektywę realizują rady pracowników, które jednak niczego nie mogą zawetować ani narzucić. Pracodawca jest zobowiązany informować je o swoich planach, ale poza tym robi, co chce.

– To w praktyce martwe prawo – mówi mi Dominik Owczarek z Instytutu Praw Publicznych. – Tuż po wprowadzeniu tej ustawy w 2006 roku mieliśmy w Polsce 3-4 tysiące rad pracowników, obecnie

działa już tylko kilkaset. W wielu przedsiębiorstwach już się ich nie powołuje mimo ustawy.

Jedną z przyczyn Owczarek widzi w tym, że związki zawodowe odnosiły się do tej instytucji nieufnie i torpedowały projekty przekazania radom pracowników swoich uprawnień.

Związki zawodowe nie działają jednak we wszystkich przedsiębiorstwach. W odróżnieniu od Hansa Schmidta Jan Kowalski zazwyczaj więc nie ma żadnej reprezentacji.

Dlaczego Schmidt pracuje mniej od Kowalskiego

– To zjawisko typowe dla całego naszego regionu – mówi Owczarek i przywołuje badania prowadzone przez profesora Andrzeja Zybałę ze Szkoły Głównej Handlowej wśród polityków i związkowców Grupy Wyszehradzkiej. Niemal wszędzie pojawia się ten sam schemat: nawet jeśli werbalnie ktoś jest za, to w praktyce pytany o szczegółowe rozwiązania jest jednak przeciw.

Związkowcy widzą współzarządzanie jako jeden z instrumentów wpływu, ale tylko w zakresie, w którym przynosi ono wymierne korzyści. Polityków zaś zazwyczaj to po prostu w ogóle nie interesuje.

– Polska, niestety, pasuje do tego schematu – mówi Dominik Owczarek. – „Solidarność" nie bardzo jest aktywna w tym temacie, w OPZZ widać większe zainteresowanie dopiero w ostatnich latach. Z partii lewicowych o współzarządzaniu pracowniczym mówi tylko Razem, SLD się tym nigdy nie interesował, podobnie Wiosna.

Część krajów naszego regionu miała jakieś formy reprezentacji pracowniczej jako spadek po minionym systemie. W PRL były dwa

podejścia: w 1956 i 1981 roku. Za każdym razem skończyło się to jednak przykręcaniem śruby i ubezwłasnowolnieniem. W 1989 roku w Polsce instytucja rady pracowników była więc tak skompromitowana, że nikt jej nie chciał bronić.

Podobną drogą poszła większość krajów regionu, z charakterystycznym wyjątkiem Słowenii, która jugosłowiańską samorządność jeszcze rozbudowała. Czesi i Węgrzy zaczęli demontować to dopiero w XXI wieku. Serbia skasowała od razu.

W Polsce dziś swoich współzarządzających reprezentantów ma tylko jedna grupa: to pracownicy spółek skarbu państwa komercjalizowanych w ramach transformacji. Traktowano to wtedy jednak nie jako element dalekosiężnej polityki społecznej, tylko raczej jako jednorazowe ustępstwa dla ułatwienia prywatyzacji. Nie ma więc takiej instytucji w nowo tworzonych spółkach.

– Trzydzieści lat temu w Polsce były masowe strajki, politycy się ich bali, byli gotowi iść na ustępstwa – mówi Owczarek – a dzisiaj mamy rekordowy pokój społeczny na tle Europy. Politycy się nie liczą z pracownikami, bo nie czują żadnej presji z ich strony.

Tymczasem chociaż Niemcy – z naszego punktu widzenia – żyją w raju, nieustannie wywierają presję. Polak, który by miał warunki tak dobre jak pracownik Volkswagena, powiedziałby: „Po co mi związek?".

W Volkswagenie do IG Metall należy 90 procent pracowników. Głosowanie do rady pracowników jest więc formalnością. W obecnej kadencji na 75 mandatów tylko jeden jest obsadzony przez kandydata, który startował jako niezależny. Reszta to związkowcy.

I może właśnie za sprawą takich mechanizmów Hans Schmidt pracuje mniej, a zarabia więcej od Jana Kowalskiego?

Tekst ukazał się w „Wyborczej" w październiku 2019 r.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Mściciel z Litwy

Trzy kule w tułów, czwarta prosto w głowę, żeby nie było wątpliwości, czy ofiara może przeżyć. Wszyscy, którym na Litwie powodzi się źle, trzymają kciuki za Kedysa.

PIOTR GŁUCHOWSKI, MARCIN KOWALSKI

FOT. MODESTAS PATASIUS/AP/EAST NEWS

Drąsius Kedys z córką Deimantėlė.

Na środku pokoju leży dres Adidasa. Granatowe spodnie i popielata bluza z polaru. Komplet jest czymś wypchany od środka i ułożony tak, aby imitował mężczyznę leżącego na plecach z szeroko rozłożonymi nogami. Między udami bezgłowego manekina czteroletnia dziewczynka – śliczna, drobna szatynka w białej bluzeczce i szarych, bawełnianych spodniach z lampasem. Markuje ssanie członka. Mówi: – Ich siusiaki były bardzo duże, a potem malutkie. Dziecko pokazuje w stronę kamery, jaki długi jest „duży siusiak".

Amatorskie nagranie niełatwo wyśledzić w internecie. Administratorzy serwerów z całego świata usuwają materiał jako pedofilski. Zwolennicy Drąsiusa Kedysa wieszają więc trzyminutowy obraz (niektóre wersje są dłuższe) w coraz to innym zakamarku sieci. Potem wymieniają się linkami do filmu Kedysa oraz wideoklipami własnej roboty. Od emocji aż kipi: Drąsius Kedys na tle litewskiej flagi (w tle hymn), Drąsius tulący do siebie dziewczynkę w różowym płaszczyku z kapturkiem (twarzy dziecka nie widać, w tle brzmi groźnie gwałtowna muzyka fortepianowa), Drąsius Kedys na tle ściany pokrytej rozbryzganą krwią. W krwawej plamie ktoś wymazał palcem słowa: „Będę walczył do końca...". Po litewsku – „Kovosiu iki galo".

Dalszy ciąg filmu Kedysa rozgrywa się nadal w tym samym, zalanym dziennym światłem mieszkaniu. To lokum Kedysa, a on sam stoi po drugiej stronie obiektywu. Dziewczynka, córka Drąsiusa, jest teraz w dżinsach do pół łydki i w czarnym sweterku. Opowiada o gwałcie zadanym przez „wujka Jonasa". Pochyla się, wciąż stojąc, i pokazuje rączką, gdzie „wujek wszedł do środka". Potem naśladuje ruchy wujka.

Kolejna scena: zastawiona roślinami doniczkowymi, idealnie wysprzątana jadalnia z barkiem na wysoki połysk. Ta sama dziewczynka, w brązowej minisukience i białych rajstopkach, opowiada, co zrobił jej kolejny z wujków – „wujek Andrius". Mówiąc, tarmosi biegnący między udami szew rajstop. Filmujący scenę ojciec zrobił długie zbliżenie. Oglądającemu jest niedobrze. Nic dziwnego, że to zdejmują z sieci.

Cztery kule dla sędziego, ostatnia w głowę

Poniedziałek, 5 października 2009, ósma rano, pełne czystych, wąskich uliczek centrum Kowna. Jonas Furmanavičius, 47-letni sędzia miejscowego sądu okręgowego, dzierżąc pod pachą plik dokumentów, zamyka mieszkanie na piętrze dawnego klasztoru. Od kiedy rząd sowiecki przegonił stąd zakonników, ciężki, ceglany gmach służy jako kamienica. Sędzia mieszka samotnie. Nie ma żony ani dzieci. Sąsiedzi – głównie emeryci – mówią o nim tylko dobrze: elegancki, wykształcony, zrównoważony.

Furmanavičius ma jeszcze inne cechy: jest przystojny (choć od paru lat skronie ma przyprószone siwizną) i wysportowany. Teraz zbiega po trzystuletnich schodkach, biorąc po dwa stopnie naraz. W podwórzu zapala lśniącego czarnego mercedesa okularnika i wrzuca wsteczny bieg, kierując się do bramy. Jeszcze tylko kilka dni i zamieni zlane zimnym deszczem Kowno na słoneczną Portugalię. Wykupił już wycieczkę.

Sąsiedzi najpierw słyszą trzask, coś jakby nagłe pęknięcie kartonowego pudła pomieszane z dźwiękiem zbitej szyby. To fabrycznie biały, ale teraz szary i pochlapany błotem stary volkswagen transporter uderza tuż przy bramie w kufer mercedesa. Kilka sekund później po klasztornym podwórcu niesie się nieco ciszej odgłos trzech strzałów z rzędu i – po dłuższej chwili – czwartego.

– Klasyczna egzekucja – powie następnego dnia Kęstutis Betingis, szef prokuratury okręgowej w Kownie. – Broń z tłumikiem, trzy kule w tułów, czwarta prosto w głowę, żeby nie było wątpliwości, czy ofiara może przeżyć.

Volkswagen transporter – jak zauważył ktoś z przechodniów, oznakowany logotypem firmy remontującej drogi – spokojnie

odjeżdża wąskimi uliczkami Starego Miasta. Świadkowie powiedzą, że w aucie widzieli dwóch mężczyzn, z czego jeden to chłop „potężnych rozmiarów", „ktoś o atletycznej budowie", „facet niczym kulturysta".

Rany na ciele Violety i znaleziony pistolet

Wpół do dziewiątej policja zamknęła już ulice przy dawnym klasztorze. Kilka kilometrów dalej, w dzielnicy Noreikiškės, Violeta Naruševičienė szykuje do szkoły ośmioletnią córkę. 30-letnia blondynka o migdałowych oczach mieszka sama z dzieckiem w małym, nieotynkowanym domu przerobionym z altanki działkowej.

Kiedyś Noreikiškės było wioską, za komuny – działkowym zapleczem Kowna. Dziś w dawnych sadach i ogródkach wyrosły wille. Tylko skromny domek Violety i jej zaniedbane podwórze nie pasują do okazałych rezydencji. Kobieta nie ma pieniędzy na remonty. Jej partner, ojciec dziewczynki, wyjechał na stałe do Niemiec. Samotna mama oficjalnie utrzymuje się z marnej pensji fryzjerki. Dorabia różnie – sprzedaje między innymi szczeniaki owczarków niemieckich. Wśród otaczających domek zdziczałych porzeczek i malin stoją dwa lekko pordzewiałe kojce dla psów.

Po wyprawieniu córki Violeta powinna iść do pracy, ale tego dnia wzięła wolne. Może się z kimś umówiła i właśnie na niego czeka? Może nigdy się już tego nie dowiemy? Sąsiedzi zeznają później policjantom, że niczego nie widzieli ani nie słyszeli.

Zdaniem detektywów scenariusz mógł wyglądać tak: zabójcy (albo zabójca) podjeżdżają pod dom Violety. Psy zaczynają szczekać, więc kobieta otwiera drzwi, by zobaczyć, kto to. Kule dosięgają ją w progu. Ginie na miejscu. Bandyci – a może tylko jeden – wchodzą

jednak do domu, choć niczego nie szukają i nie zabierają. Przeciwnie – gubią pistolet. Albo raczej go zostawiają. Po co? Na razie nie wiadomo nic pewnego. Są tylko poszlaki.

Martwą matkę znajduje wracająca ze szkoły córeczka. Krzyk dziewczynki słyszą sąsiedzi, którzy nie zareagowali (a może woleli nie reagować) na strzały. Wezwani policjanci przyjeżdżają czterema radiowozami. Rany na ciele Violety nie budzą wątpliwości, że zbrodnia ma coś wspólnego z wcześniejszą o trzy kwadranse egzekucją w centrum Kowna.

Andrius Ūsas jeszcze żyje

Dochodzi południe. W całym kraju trwają intensywne poszukiwania białej furgonetki z emblematem służb drogowych. Wreszcie – trafienie! Auto oznaczone logotypem firmy komunalnej Kauno keliai stoi – najwyraźniej porzucone – obok domu Andriusa Ūsasa w dzielnicy Vaišvydava. Ūsas to postać znana. Potężny, otyły, lekko łysawy 35-letni ojciec rodziny jest politykiem małej, ale głośnej, populistycznej Partii Demokracji Obywatelskiej. Jako członek prezydium PDO doszedł dwa lata temu do stanowiska asystenta marszałka litewskiego Sejmu. Gazety wróżyły mu świetlaną przyszłość – młody, elokwentny, życzliwie umawiał dziennikarzy ze swoim szefem, sam też chętnie udzielał wywiadów. Kres karierze położyła afera korupcyjna w łonie koalicji z udziałem PDO. Po wyborach w 2008 roku, gdy partyjni koledzy Ūsasa wylądowali w Litewskiej Partii Socjaldemokratów albo poza Sejmem, on – także wyautowany z polityki – zajął się robieniem interesów w ramach należącej do rodziny firmy handlowej Eurotechnika.

Andrius Ūsas to niemal ze stuprocentową pewnością drugi z „wujków", o których mówi na zakazanym filmie córeczka Drąsiusa Kedysa. Mężczyźni z volkswagena transportera – kimkolwiek byli – nie zabili go i teraz Ūsas jest najlepiej chronionym człowiekiem w kraju. Nie wiadomo, gdzie go chowają, najprawdopodobniej w koszarach policji albo na poligonie. Pod jego dom nieznani sprawcy podrzucają wieńce i znicze, a w internecie krąży obrazek „Andrius Ūsas Still Alive". Licznik podpięty do fotografii polityka informuje, ile dni – od 5 października poczynając – chodzi po świecie człowiek, który powinien zginąć.

Walka na gołe pięści

– Dałam mu na imię Drąsius, czyli śmiały, waleczny, a na Litwie ludzie uważają, że charakter dziecka dopasowuje się do imienia – Laimutė Kedienė, mama Kedysa, ma 60 lat, ciemne włosy, grube okulary i smutną, pooraną bruzdami twarz. Rozmawia z nami po rosyjsku i co rusz powtarza, że czuje się oczeń płocho. – Drąsius już od małego taki był, że przed nikim nie cofał się nawet o pół kroku. To dobry człowiek, ale twardy. Bardzo, bardzo twardy. Nie znał strachu. Nie zna strachu – kobieta jeszcze kilka razy poprawi się, aby nie używać wobec syna czasu przeszłego.

Nikt nie wie, czy Kedys żyje.

Kęstutis Betingis z prokuratury okręgowej w Kownie sądzi, że Drąsius ukrywa się albo w obwodzie kaliningradzkim, albo w Polsce. Nielegalne przekraczanie granicy, ucieczki i ukrywanie się to dla niego nie pierwszyzna.

Urodził się w Kownie 37 lat temu. Za sowieckich czasów jego rodzice hodowali nutrie, wytwarzali kołnierze i sprzedawali je w

głąb ZSRR. Na tamte warunki byli bogaczami. W podkowieńskiej wiosce Garliava ojciec Drąsiusa postawił w latach 80. dom: solidny trzystumetrowy klocek złamany dwoma daszkami pokrytymi zieloną blachą. W ciągu ostatnich 30 lat Garliava ze wsi zmieniła się w podmiejską dzielnicę willową, ale dom Kedysów – na wielkiej działce pokrytej równo przystrzyżonym trawnikiem – nadal należy do najokazalszych.

Laimutė Kedienė urodziła dwoje dzieci. Córkę i syna. Ona uczyła się świetnie, skończyła prawo, dziś jest sędzią wydziału cywilnego w tym samym gmachu, w którym pracowali oboje zastrzeleni.

On łobuzował i wdawał się w bitki. Edukację skończył na zawodówce, po czym – wzorem rodziców – zaczął handlować skórami i futrami. ZSRR właśnie się rozpadał, nowa sytuacja oferowała nieskończone, zda się, możliwości. Po co handlować kołnierzami, skoro można robić interesy na złocie, dolarach, elektronice? Dziś kowieńscy policjanci mówią w mediach oględnie: Drąsius Kedys od lat pozostawał w kręgu naszego zainteresowania, bez wątpienia kontaktował się z litewską i rosyjską mafią, nigdy jednak nie był karany, nie miał nawet postawionych zarzutów, przyznano mu natomiast pozwolenie na broń.

Z czego żył? Nieoficjalnie słyszymy, że z przemytu broni i narkotyków między ZSRR a Unią Europejską. Jako tzw. nowy człowiek – na Litwie nie mówi się oczywiście „nowyj Russkij", ale „nowy wilnianin" albo „nowy kownianin" – jeździł wyłącznie sportowymi mercedesami i bmw, palił marlboro light, nosił sygnet i złoty łańcuch z wygrawerowanym imieniem, do tego idealnie czyste skórzane buty, wąskie jasne spodnie i przyciasne sweterki w

ostrych kolorach. Fryzura – dłuższy jeżyk przetarty żelem. Dużo godzin w siłowni i pod kwarcówką.

To na solarium – prowadzonym na parterze rodzinnego domu przez mamę – Drąsius poznaje w 2004 roku piękną Laimę Stankūnaitė. Wspaniale zbudowana brunetka przychodzi wygrzewać się pod lampami dość często – jej mama sprzedaje w budce z piwem naprzeciw willi Kedysów, Laima czasem ją zastępuje.

16-letnia dziewczyna zakochuje się w dwa razy starszym Drąsiusie, on w niej. Ciąża, potem narodziny córki – Deimantėlė. Dziewczynki z zakazanego filmu.

Cała trójka – Laima, Drąsius i maleństwo – zamieszkuje dolną kondygnację willi. Solarium zostaje przerobione na pokój z kuchnią, do którego Kedys wstawia swój ukochany sprzęt audio-wideo, a Laima – kwiaty w donicach. Ona opiekuje się córką, on kursuje mercedesem na trasie Rosja – Francja. Oficjalnie wciąż pilotuje transporty futer i skór. Kiedy wraca z trasy, dzieli czas między młodą żonę, córeczkę, siłownię i hobby, któremu oddaje się z coraz większym zapałem – walkę na gołe pięści.

Pojedynki odbywają się w nocnych klubach i na siłowniach. Dwaj walczący – w klatce albo na ringu – okładają się po twarzach i korpusach tak długo, aż jeden padnie na deski. Publiczność stawia pieniądze. Ci, którzy obstawiają zwycięstwa Kedysa, wygrywają prawie zawsze.

Laima prowadzi córkę do siostry, ta – do motelu

Gdzieś na przełomie 2005 i 2006 roku psuje się związek Drąsiusa i Laimy.

Laimutė Kedienė nie chce mówić o partnerce syna niedobrze. – Młoda, po prostu nie dorosła do macierzyństwa. Chciała się bawić, a nie niańczyć małą. Raz po raz oddawała ją do tygodniowego przedszkola.

W takim przedszkolu dziecko można zostawić w poniedziałek rano, odebrać – w piątek wieczorem. Laima zostawia więc Deimantėlė, sama znika na kilka dni.

Drąsius jest wściekły, gdy się o tym dowiaduje. Wrzeszczy, rzuca kluczykami od samochodu, Laima nie pozostaje mu dłużna. Krzyczy, że nie zamierza tracić młodych lat na siedzenie w domu z dzieckiem i parą staruszków, podczas gdy on hula sobie po Europie z kumplami – i żeby tylko z kumplami...

– Nie podoba ci się, to won! – rzuca w złości Kedys. Kolejna awantura faktycznie kończy się tym, że Laima zabiera córeczkę i wyjeżdża z Garliavy do Kowna.

Teraz Drąsius, jeżeli chce odzyskać dziecko – musi złożyć papiery w sądzie, miejscu, którego nikt z jego środowiska nie lubi. Przełamuje się jednak i w 2006 roku rusza proces o przyznanie opieki nad Deimantėlė. Trwa przeszło rok, mała w tym czasie mieszka po kilka miesięcy na przemian – raz z ojcem i dziadkami w Garliavie, raz z mamą w Kownie.

Laima dalej korzysta z usług tygodniowego przedszkola, mimo że nigdzie nie pracuje na stałe. Kiedy brak jej pieniędzy, podrzuca Deimantėlė na działki, do swej siostry Violety. Przez Violetę poznaje Andriusa Ūsasa. „Wpływowy polityk" podejmuje się nacisnąć w sądzie, kogo trzeba, aby proces o dziecko przyjął pomyślny dla młodej matki obrót. Jest taki miły, że oferuje Laimie pokrycie

kosztów wynajmowanego przez nią mieszkania. Oferta zostaje przyjęta.

Ūsas ma – o czym Laima raczej nie wie – dodatkowy powód, by się interesować losem jej samej i córeczki. Już od kilku miesięcy siostra Violeta przyprowadza Deimantėlė i własną ośmioletnią córkę do motelu Baltosios bures. Położony w podmiejskim lesie, na terenie bazy żeglarskiej nad Niemnem, nieotynkowany motelik jest ulubionym miejscem cichych schadzek niewiernych małżonków i klientów prostytutek. To tutaj „wujek Andrius" i „wujek Jonas" dają upust swoim popędom.

Prywatne śledztwo na dnie szuflady

Listopad 2008, proces o alimenty i opiekę jeszcze się toczy, ale wszystko wskazuje na to, że mała Deimantėlė zostanie przy matce. Dziewczynka spędza ostatnie – być może – kilka dni z dziadkami w Garliavie. Opowiada babci Laimutė, jak mijają jej tygodnie z mamą i ciocią Violetą. Opisuje „duże siusiaki wujków".

Laimutė Kedienė mówi o wszystkim synowi, ten przez kilka dni z rzędu nagrywa kolejne świadectwa córki amatorską kamerą. Deimantėlė opowiada o tym, jak ciocia Viola zabiera ją i kuzynkę do hoteliku na przystani żeglarskiej, gdzie czeka już dwóch albo trzech wujków. Poza Andriusem i Jonasem jest jeszcze Aidas.

Kedys idzie z nagraniem na policję, ale nic nie może wskórać. Wezwana na przesłuchanie piękna Laima łatwo przekonuje funkcjonariuszy, że to wszystko wymysły byłego partnera, kłamcy, przemytnika i bandziora, który poinstruował córkę, co ma opowiadać, aby sąd odebrał ją matce. Violeta mówi policjantom to

samo. Doniesienie Kedysa trafia na dno szuflady jako sprawa skomplikowana i nierokująca.

Zdesperowany ojciec zaczyna własne śledztwo.

Jak ono przebiegło – nie wiemy. Czy ktoś mu podpowiedział, czy sam doszedł do tego, że „wujek Andrius" to pomagający Laimie w prowadzeniu procesu Andrius Ūsas? Mógł dojść sam, bo Andrius to nie jest najczęstsze imię i niewykluczone, że żadnych innych Andriusów w otoczeniu Laimy nie było.

Ale jak wpadł na to, że „wujek Jonas" to sędzia Furmanavičius?

Jonasów jest na Litwie dużo więcej niż w Polsce Janów. Do dziś brak dowodów, aby Laima i sędzia wiedzieli w ogóle o swoim istnieniu.

Być może trop podsunęła więc bratu siostra sędzia, która od kilku lat urzędowała z Furmanavičiusem na jednym piętrze, mimo że on karnista, a ona cywilistka. A może pomysł z sędzią podsunęli Drąsiusowi przyjaciele z półświatka?

Jedno wiemy – latem tego roku, gdy Kedys wie już, kim są „wujkowie", kopiuje zeznania córki, dokłada wynik badania psychologicznego potwierdzającego, że dziecko mówi prawdę, do tego własne oświadczenie i rozsyła wszystko w 200 egzemplarzach DVD do prokuratur, posłów, europarlamentarzystów, mediów, organizacji broniących praw dziecka itd.

Zainteresowanie wykazują nieliczni, między innymi Nerijus Povilaitis, dziennikarz „Lietuvos rytas".

– Porywczy, agresywny, krzyczał, a nie mówił, mocno gestykulował – opisuje pierwszą wizytę Kedysa w redakcji. – Najgorsze było to, że rzucał poważne oskarżenia na osoby publiczne, a dowodów nie miał. Zapytałem go, skąd wie, że „wujek Jonas" to Furmanavičius. Przekonującej odpowiedzi nie usłyszałem. Gdy spytałem sędziego, stanowczo i spokojnie zaprzeczył oskarżeniom. Twierdził, że Kedys go szkaluje, być może na czyjeś zlecenie. Andrius Ūsas, bo do niego wybrałem się także, również miał przekonujące argumenty. Dowodził, że Kedys mści się za to, że pomagał jego byłej partnerce w sądowych bojach o córkę i pieniądze. Przy tym zapewnił, że pomoc była bezinteresowna.

– Napisaliście w ogóle o sprawie?

– Tak, w końcówce sierpnia. Ale nie w tonie oskarżycielskim, bo nie mieliśmy dowodów. Przedstawiliśmy racje Kedysa oraz oskarżanych przez niego ludzi. Ot, konflikt, jakich wiele.

– A opinia psychologów, z której wynikało, że Deimantėlė mówi prawdę?

– Badanie zostało przeprowadzone w prywatnej przychodni, na zlecenie Kedysa, co oczywiście nie dyskwalifikuje jego wyników, ale – zrozumcie – musieliśmy zachowywać ostrożność. Po jednej stronie sędzia o nieposzlakowanej opinii, obok znany polityk, po drugiej gość, który nie wiadomo, z czego żyje, zachowuje się jak furiat, może nas podpuszcza? Artykuł, mówię to nie bez frustracji, nie zrobił furory. Za wcześnie się ukazał. Czas na tę historię nadszedł dopiero wtedy, kiedy Kedys ich pozabijał i zniknął.

On wydał na was wyrok

Od 5 października gazety i telewizje na Litwie próbują nadrobić okres, w którym nie znalazły dla Drąsiusa miejsca na łamach i antenach. W radiach wypowiadają się na zmianę mama Deimantėlė (nie było molestowania, jeśli nawet było, to wszystkiemu winna moja siostra, ja nic nie wiedziałam) oraz babcia dziewczynki (syn jest dobrym człowiekiem, do ostateczności doprowadziła go obojętność wszystkich, których błagał o pomoc).

Opiniotwórcze tytuły kładą akcent na wątek pedofilski, domagają się śledztwa i komisji parlamentarnej, która doprowadzi od Andriusa Ūsasa do „wujka Aidasa" i dalej – do kolejnych, zapewne działających w większej siatce wykolejeńców.

Tabloidy wprost wielbią Kedysa. Tytuły: „Pościg za bohaterem trwa", „On się nie podda żywy", „Uwaga, zboczeńcy! Czeka was tykająca bomba!!!", „Tadas Blinda wydał wyrok".

Blinda, do którego kolorowa prasa porównuje ojca – mściciela, to litewski Janosik, zabity w 1877 roku rabuś, bohater popularnego serialu filmowego z lat 70.

– Drąsius Kedys, tak jak Blinda, wypowiedział wojnę złemu państwu – Stanisław Tarasiewicz z polskojęzycznego „Kuriera Wileńskiego" przyjmuje nas w redakcji klitce nad warsztatem naprawy ciężarówek. – Jego historia utwierdza ludzi w przekonaniu, że wszystko najgorsze, o co dotychczas podejrzewali władze, jest prawdą. Wszyscy, którym na Litwie powodzi się źle, trzymają kciuki za Kedysa.

– A ci, którym powodzi się dobrze?

– Też z nim trzymają. To ich człowiek. Lat około 40, biznesmen, jeden z tych, co wypoczywają za granicą, bawią się w nocnych klubach, jeżdżą dobrymi autami. Młodzi ludzie chcą być tacy jak on. Dotąd tego typu postacie kreowały tylko filmy. A oto proszę: nareszcie jest żywy bohater! U nas trwa od lat gigantyczny kryzys wiary w instytucje państwowe. Ludzie mówią, że politycy to nieuczciwi populiści, że w kraju można załatwić wszystko, jeśli ma się układy, że bogaci i wpływowi kpią sobie z prawa i z państwa.

Zwykli ludzie myślą to samo

Pierwsza antypedofilska manifestacja w obronie poszukiwanego Drąsiusa – spontaniczna – trwa trzy dni. Od 9 do 11 października ludzie schodzą się pod gmach kowieńskiej prokuratury oskarżanej przez prasę o zlekceważenie sprawy. Przynoszą znicze i kładą na wąskich parapetach pluszowe misie. Potem stoją w zimnym deszczu, trzymając plakaty: „Precz z pedofilami", „Chcemy znać prawdę".

12 października wszystkie media podają informację, że w Wilnie, w budynku mieszczącym biuro rzeczniczki praw dziecka Rimantė Šalaševičiūtė, ktoś podłożył bombę. Jedna osoba jest ranna, policja szuka sprawców wśród najaktywniejszych fanów Kedysa. 13 października przed południem informacja zostaje zdementowana. To nieszczelna butla z gazem wybuchła w chwili, gdy jeden z pracowników sąsiedniego biura Litewskiej Partii Socjaldemokratów próbował przypalić zapalniczką nić w marynarce. Ulica nie wierzy w dementi. Socjaldemokraci to partia, w której działają polityczni przyjaciele Andriusa Ūsasa. Jeszcze tego samego dnia w okna partyjnej siedziby ktoś rzuca koktajlem Mołotowa. Wybucha pożar.

Trzy dni później zaczyna się druga, większa od kowieńskiej manifestacja. Uczestnicy zbierają się w sobotnie popołudnie i przynoszą pani prezydent Dalii Grybauskaitė listy z żądaniem zaostrzenia kar za pedofilię. Na listach kilka tysięcy podpisów. Laimutė Kedienė przez mikrofon apeluje do władz, by wydały jej synowi list żelazny. Słucha jej Arnold Krusynskas, 28-latek w czarnym skórzanym płaszczu, założyciel strony internetowej kedys.lt, który wpadł na pomysł manifestacji. Na co dzień jest dobrze prosperującym biznesmenem w branży odzieżowej. Pod pałac prezydencki zabrał żonę w ciąży.

– Wiecie, ilu Polaków wchodzi na moją stronę? – pyta, przekrzykując hałas. – Tysiące! Dostaję maile z Polski, wiem, że chcecie dać Drąsiusowi azyl polityczny.

– To raczej pomysł polskich tabloidów...

– Nieprawda! To głos zwykłych ludzi, którzy myślą to samo, co Litwini!

– A co myślą Litwini?

– Że Drąsius to doskonały symbol walki z niesprawiedliwym państwem, która się nareszcie zaczyna.

Tylko wielka czystka może nas uratować

Lidija Jacauskienė, litewska Rosjanka i emerytka, przyniosła pod pałac prezydencki dużą pluszową lalkę kupioną w sklepie dziecięcym: – Nie mamy już państwa! – mówi. – Jedyną szansą na uratowanie Litwy jest rehabilitacja Kedysa i skazanie wszystkich, którzy zawinili w tej sprawie. Potrzeba dymisji sędziów, prokuratorów, policjantów, ministrów, rzeczniczki praw dziecka.

Przynajmniej sto osób musi stracić stołki. Tylko wielka czystka może nas uratować. Gdyby pani prezydent do nas wyszła, chciałabym jej rzucić w twarz to pytanie: jak to jest możliwe, że matka, która pozwoliła gwałcić własne dziecko, jest na wolności? Dlaczego gwałciciel Ūsas ma całą dobę zapewnioną straż i jedzenie, a bohater Litwy musi się chować jak szczur?!

Prezydent Dalia Grybauskaitė, do której Drąsius Kedys napisał w ciągu ostatniego pół roku siedem listów z prośbą o interwencję, nie wychodzi do manifestantów. Jej sekretarz przyjmuje jedynie matkę Kedysa. Zapewnia, że komisja sejmowa zostanie powołana, śledztwo prokuratury będzie wnikliwe, a pani prezydent osobiście obejmie nadzorem oba postępowania. O wystawieniu Drąsiusowi listu żelaznego na razie nie ma mowy. Nie ma zresztą takiej potrzeby. Choć prokuratura rozesłała międzynarodowy list gończy, nie twierdzi w nim wcale, że to Drąsius zamordował sędziego i Violetę. On jest poszukiwany „w związku ze sprawą" i na razie za wcześnie, by stawiać mu jakiekolwiek zarzuty. Za dużo jeszcze wątpliwości.

Po pierwsze, świadkowie, którzy widzieli mężczyzn w volkswagenie transporterze, nie rozpoznali Kedysa ani w „kulturyście", ani w jego towarzyszu. Po drugie, samochód porzucony w miejscu, w którym musiał być znaleziony, został kupiony i zarejestrowany przez Kedysa na jego własne nazwisko. Także pod własnym nazwiskiem Kedys zamówił wykonanie na burcie furgonetki napisu „Kauno Keliai". Przecież inteligentny człowiek zabierający się do planowanej zbrodni kradnie samochód, przemalowuje go sam albo zamawia usługę, podając lipne dane, wreszcie, jeśli wóz porzuca, to czemu nie spali go za miastem? Czyżby chodziło o to, żeby zostawione auto „wskazywało" dom Ūsasa?

Dalej – pistolet znaleziony w domku Violety to zarejestrowana przez Kedysa beretta. Czy człowiek handlujący bronią i planujący trzy morderstwa musi użyć do akcji akurat tego jednego pistoletu, który z pewnością do niego doprowadzi? Po co wchodził do domu zastrzelonej? Tylko po to, by zostawić obciążający siebie samego dowód?

Najważniejsza sprawa – sędzia i Violeta nie zginęli od strzałów z beretty, ale z innej, na razie nieznanej broni.

Z tą wiedzą możemy już pokusić się o rekonstrukcję zdarzeń.

Pierwsza wersja robocza: zdesperowany, lekceważony przez urzędy i media Kedys rzeczywiście postanawia się zemścić. Dobiera kumpla atletę lub wynajmuje mordercę z półświatka. We dwóch jadą do sędziego i Violety, morduje – uwaga! – partner Kedysa. Killer gra na dwa fronty. Podrzuca należący do Drąsiusa pistolet, a gdy to się wydaje, pod domem Andriusa Ūsasa wybucha między nimi sprzeczka, która ratuje życie politykowi.

Pytanie: dlaczego killer miałby tak grać?

Tu pojawia się kolejna wersja zdarzeń: może w ogóle nie chodzi o pedofilów?

Sędzia Furmanavičius prowadził przez lata poważne sprawy karne, także przeciwko domniemanym członkom litewskiej mafii. Może to on był celem? Komuś zależało na przerwaniu jednego z procesów? A może sędzia był skorumpowany, wziął pieniądze i się nie wywiązał?

Słabość sędziego do dziewczynek mogła być mafii znana. A Kedys – ta informacja uporczywie wypływa na litewskich forach internetowych – od dawna winien był mafiosom większe pieniądze. Ktoś wymyślił więc, jak za jednym zamachem pozbyć się i niewygodnego sędziego, i opornego dłużnika. Mafia poinformowała Drąsiusa, kim są „wujek Jonas" i „wujek Andrius", mafia wyznaczyła killera do trzech egzekucji. Kedys oczywiście nie wiedział, że trzecim zabitym – po Violecie i Furmanavičiusie – ma być on sam.

Wersja trzecia: siatka pedofilów, w której działają bogaci i ustosunkowani Litwini, długo blokuje podjęcie śledztwa w sprawie córeczki Kedysa. Ojciec nie poddaje się nawet po roku, w dodatku na własną rękę identyfikuje dwóch krzywdzicieli dziecka, może być blisko trzeciego. Dlatego musi zginąć zarówno on, jak i zidentyfikowani.

Coś idzie jednak nie tak i polityk umyka śmierci.

Dziennik „Karštas komentaras" przedstawia jeszcze jedną wersję wydarzeń. Za zabójstwem Furmanavičiusa stoją litewskie służby bezpieczeństwa Saugumas. Sędzia miał materiały kompromitujące wysokich funkcjonariuszy bezpieki. Między innymi dowody na to, że Saugumas szantażuje polityków i najwyższych urzędników państwa niewygodnymi dla nich informacjami – od agenturalnej przeszłości do dewiacji seksualnych. To bezpieka poinformowała szalejącego z wściekłości Kedysa, kim sa „wujkowie". To bezpieka wydelegowała dwóch killerów. Specjalnie nie zastrzelili Ūsasa, tylko „wskazali na niego" zaparkowaniem samochodu, żeby skierować ślady w stronę pedofilów. Według „Karštas komentaras" Drąsius niedługo „wypłynie" naszpikowany narkotykami – na

Litwie, w Polsce albo w Kaliningradzie. Tak zwykle kończą ci, których likwiduje Saugumas.

* * *

Sprawa Drąsiusa Kedysa doczekała się po latach swojego hasła nawet i w polskiej wersji Wikipedii. Wstęp do całego tekstu jest taki:

„Afera na Litwie koncentrująca się wokół wysuwanych w czasie sporu o opiekę nad dzieckiem przez Drąsiusa Kedysa oskarżeń o rzekome molestowanie seksualne jego czteroletniej córki. Mężczyzna, powołując się na brak efektów śledztwa, rozesłał około 200 listów wraz z nagranymi wypowiedziami dziewczynki wskazującymi na jej molestowanie. W 2009 zamordowano sędziego i siostrę matki dziecka, których Drąsius Kedys publicznie oskarżał o udział w tym procederze.

Sam mężczyzna zniknął, jego zwłoki znaleziono w 2010. Wkrótce doszło też do śmierci polityka będącego jedynym formalnie podejrzanym w toczącym się postępowaniu o molestowanie seksualne.

Sprawa Drąsiusa Kedysa podzieliła litewską opinię publiczną, jak również środowiska opiniotwórcze. Część osób uznawała mężczyznę za mściciela, dokonującego zemsty w czasie bezczynności organów państwa. Część natomiast określała go jako psychopatę i zbrodniarza. W sprawie pojawiały się także wątpliwości co do rzeczywistych przyczyn poszczególnych zgonów oraz sugestie istnienia mafii pedofilskiej z układami w sądownictwie i polityce, która miałaby stać za śmiercią wszystkich czterech osób.

Kontynuacją sprawy stał się dalszy spór o opiekę nad dziewczynką prowadzony między matką dziecka a siostrą Drąsiusa Kedysa Neringą Venckienė, który tej ostatniej przyniósł pewną popularność prowadzącą do powołania partii politycznej Droga Odwagi".

Tekst ukazał się w „Wyborczej" w październiku 2009 r.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Barmanka z Hongkongu

Za dwupokojowe mieszkanie płaci się tutaj ponad trzy tysiące dolarów miesięcznie. A kawalerki mają po 10 metrów – mówią Kate Reilly i Leung Ming-Kai, reżyserzy filmu „Wspomnienia, które dławią, trunki, które je naprawiają".

URSZULA JABŁOŃSKA

FOT. AZJATYCKI FESTIWAL FILMOWY „PIĘĆ SMAKÓW”/MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Wspomnienia, które dławią, trunki, które je naprawiają”. Na zdjęciu: Jessica Lam Sin Tung.

URSZULA JABŁOŃSKA: W 2014 roku w Hongkongu odbyły się protesty zwane parasolkową rewolucją, w Polsce dwa lata później na ulice wyszły czarne parasolki. Dlaczego parasolka stała się symbolem protestów?

LEUNG MING-KAI: W Hongkongu głównie z powodów praktycznych. Protestujący używali parasolek, żeby bronić się przed gazem łzawiącym, który rozpylali policjanci. Stały się symbolami obrony przed agresją. Chociaż w 2014 protesty przebiegały jeszcze przeważnie dosyć spokojnie.

KATE REILLY: Parasolki nie chroniły perfekcyjnie przed gazem, ale na pewno przyczyniły się do wzrostu sympatii dla protestujących na całym świecie.

Hongkong, będący przez 150 lat posiadłością brytyjską, od 1997 roku jest specjalnym regionem administracyjnym Chińskiej Republiki Ludowej. Protestujący walczyli przeciw niedemokratycznej ordynacji wyborczej, która umożliwiała Chinom zatwierdzanie kandydatów na szefa władz wykonawczych. Kto organizował protesty?

LEUNG MING-KAI: Protesty trwały dwa miesiące. Nie były jakoś szczególnie zaplanowane. Organizacja była bardzo luźna, raczej oddolna. W protestach brało też udział starsze pokolenie, ale liderami byli młodzi ludzie. I to wydaje mi się dość charakterystyczne. Młodzi ludzie mocniej wierzą w to, że świat można zmienić.

KATE REILLY: Ale starsi chętnie podążali za młodymi.

Jednak protesty nie przyniosły oczekiwanego efektu. A wy wpadliście na pomysł, żeby stworzyć film fabularny, który będzie oddawał atmosferę Hongkongu po rewolucji parasolek.

LEUNG MING-KAI: Scenariusz zaczęliśmy pisać już w grudniu 2014 roku. Po protestach zacząłem bardziej doceniać to miejsce i ludzi, którzy je tworzą.

To miał być film o mieszkańcach Hongkongu. Chcieliśmy pokazać ich różnorodność. Oraz to, że Hongkong to miasto imigrantów.

KATE REILLY: Ja na przykład jestem Amerykanką. Poznaliśmy się w Nowym Jorku na planie filmu, dużo pracowaliśmy razem, a potem się pobraliśmy. Przeprowadziliśmy się tutaj pięć lat temu. Poznałam bardzo różnych ludzi – przyjaźnię się z pomocami domowymi, które spotkałam na kursie języka kantońskiego, z imigrantami z Chin, z bardziej zamożnymi białymi przybyszami z Zachodu. Bardzo mnie

inspirują tutejsi aktywiści, którzy umieją się efektywnie organizować. W Ameryce ludzie głównie dyskutują, co by tu zrobić. Tutaj ludzie po prostu działają.

LEUNG MING-KAI: Pomyśleliśmy, że film powinien składać się z krótkich historii – pozwolą nam skoncentrować się na poszczególnych tematach i użyć różnych stylów. Kiedy montowaliśmy pierwsze części, wciąż kręciliśmy kolejne, więc nie wiedzieliśmy, jaki będzie ostateczny efekt.

Pierwszą bohaterką waszego filmu jest starsza kobieta, dawna imigrantka z Chin. Jest bardzo samotna, mieszka sama, ma problemy z pamięcią. Bierze udział w demonstracjach popierających chińskie rządy w Hongkongu. Ale nie jest tego do końca świadoma.

KATE REILLY: To dosyć częste zjawisko. Organizatorzy tych zgromadzeń kuszą ludzi na różne sposoby, żeby skłonić ich do przyjścia. Rozdają im darmowy sos sojowy, paczki z ryżem. Chodzą tam zwykle starsze osoby, ludzie z klasy robotniczej. To dla nich okazja, żeby spotkać się z imigrantami ze swojej rodzinnej wioski.

LEUNG MING-KAI: Ludzie jeżdżą, żeby zjeść coś dobrego za grosze i spotkać dawnych przyjaciół. W wielu przypadkach nawet nie rozmawiają o polityce. Więc wydaje im się to nieszkodliwe. Jeszcze innym po prostu płaci się za udział. Wystarczy popatrzeć na nagrania z tych zgromadzeń. Ludzie są entuzjastyczni, stoją pod jakimiś sloganami. Ale jeżeli się ich zapyta, to nawet nie wiedzą, co taki napis znaczy. Nie trzeba szczególnego śledztwa, żeby się zorientować, jak to działa.

Jedni brali udział w protestach prochińskich, inni w antychińskich. Czy to spowodowało duże podziały w społeczeństwie?

LEUNG MING-KAI: Tak myślę. Nawet w rodzinach ludzie dzielili się, kłócili o politykę. Protestujący również ciągle się spierali. Ale tak się dzieje wszędzie.

W innej etiudzie pokazujecie rozmowy dwóch młodych mężczyzn, którzy walczą, żeby jakoś związać koniec końcem. W Hongkongu są najwyższe czynsze na świecie. Za dwupokojowe mieszkanie trzeba podobno zapłacić ponad 3 tysiące dolarów miesięcznie.

LEUNG MING-KAI: Pamiętaj też o tym, że tutaj są inne standardy. Trzypokojowe mieszkanie ma 50 metrów kwadratowych, kawalerka – 10. Ludzie kupują takie małe kawalerki. Ci biedniejsi dzielą mieszkania z innymi. Mają wspólną łazienkę albo łazienkę połączoną z kuchnią. W ciągu ostatnich 20 lat ceny mieszkań wzrosły co najmniej 10 razy. A pensje wcale tak szybko nie rosną.

Kiedy miałem 10 lat, mieliśmy w domu pomoc, płaciliśmy jej 1000 dolarów Hongkongu. Dzisiaj mam 40 lat, pomoc domowa kosztuje 4000 dolarów HK miesięcznie [ok. 2 tysięcy złotych]. Kiedy skończyłem studia, moja pierwsza pensja nie różniła się zbyt wiele od tego, ile dostaje się teraz. A ceny wzrosły wielokrotnie.

Jak młodzi ludzie sobie z tym radzą?

LEUNG MING-KAI: Wielu z nich mieszka w domu rodzinnym tak długo, jak długo się da, nawet po ślubie. No, chyba że znajdą jakąś świetną pracę. Ekonomicznie jest naprawdę ciężko.

Myślę, że to także ma wpływ na niezadowolenie młodych ludzi. Kiedy życie jest ciężkie, masz więcej motywacji, by protestować. Młodzi ludzie widzą błąd w systemie. Dlaczego rząd nie wprowadzi regulowanych czynszów? Powstają wprawdzie publiczne inwestycje z mieszkaniami na sprzedaż, ale kiedy ceny na rynku nieruchomości rosną, ceny tych mieszkań też rosną.

Ja miałem dużo szczęścia. Urodziłem się w Hongkongu, ale do 2002 roku mieszkałem w USA. Moja rodzina skorzystała na wzroście gospodarczym w latach 80. i 90. Dziadkowie zaczynali jako uliczni sprzedawcy, a dzisiaj wiodą wygodne życie. Ale młodsze pokolenie ma pod górkę. Pracują więcej, mają mniej możliwości. Ciężko mi na to patrzeć. Dlatego chcemy opowiadać ich historie.

W filmie wystąpił aktor Gregory Wong, który był jedną z twarzy rewolucji parasolek.

KATE REILLY: Jest też wspaniałym aktorem! Podczas protestów w 2014 roku zaistniał dzięki roli w serialu zatytułowanym „Wybory". Był w nim świetny. Podjęliśmy z nim współpracę, zwłaszcza że bardzo niewielu aktorów w Hongkongu było w stanie płynnie improwizować po angielsku.

Wybraliśmy go także dlatego, że reprezentuje pokolenie, które żyło jeszcze w innym Hongkongu. W latach 80. czy 90., w czasach boomu gospodarczego, panował optymizm, żyło się spokojniej. Nawet jeżeli system polityczny nie był idealny, ludzie mieli mniej motywacji, żeby go krytykować. Bo dla większości życie było coraz lepsze.

W okolicach 1997 roku, kiedy Brytyjczycy przekazali Hongkong Chinom, wiele osób przeprowadziło się za granicę. Martwili się, co

przyniesie ta zmiana. Ale wracali, bo gospodarka dalej się rozwijała. Gregory uczył się w Londynie, a potem wrócił. I to charakterystyczne doświadczenie tego pokolenia.

Teraz wiele osób znów myśli o tym, żeby się wyprowadzić.

W czerwcu 2019 roku, kiedy pracowaliście nad filmem, w Hongkongu zaczęła się nowa fala protestów. Tym razem pretekstem była ustawa o ekstradycji, która umożliwiała deportowanie ludzi z Hongkongu do Chin. Czym te protesty różniły się od poprzednich?

LEUNG MING-KAI: Były jeszcze mniej scentralizowane. Nie miały przywódców i odgórnej organizacji.

KATE REILLY: Międzynarodowa prasa zgłaszała się do osób, które były ważnymi figurami w 2014 roku, na przykład do Joshui Wonga. Wciąż podpisywali go jako lidera, ale to nie była już prawda. I on sam o tym mówił. Teraz ruch nie ma przywódcy. Wszystko jest anonimowe, pieniądze zbierane są przez crowdfunding, ludzie organizują się na platformach internetowych, jak Telegram. Kiedy protesty są rozpędzane w jednym miejscu, pojawiają się w innym.

W jaki sposób nowa fala protestów wpłynęła na wasz film?

LEUNG MING-KAI: Podczas ich trwania nakręciliśmy ostatnią część, dokumentalną. Mamy znajomą, bardzo charyzmatyczną osobę. Bez żadnego przygotowania i politycznego zaplecza postanowiła wystartować w lokalnych wyborach w listopadzie 2019 roku. Odbyły się w samym środku protestów. Chcieliśmy zdokumentować jej kampanię.

Potrzebowaliśmy w filmie silnej postaci kobiecej. Silne kobiety są ważną częścią społeczeństwa Hongkongu. Mocne, zorganizowane, skuteczne, potrafią doprowadzać sprawy do końca.

KATE REILLY: W poprzednich częściach pojawiały się postacie, które przechodziły przez żałobę, przeżywały nostalgię za dawnym Hongkongiem, starały się wymyślić, co mają dalej robić w życiu. Ale kiedy sytuacja na ulicach zaczęła się zmieniać, ruszyliśmy za osobą, która sprawiała, że sprawy jednak idą do przodu.

Wasza bohaterka jest młodą barmanką. Dlaczego bez przygotowania postanawia wystartować w wyborach?

LEUNG MING-KAI: Wie, że nie nadaje się do polityki. Ale wie też, że ktoś musi to zrobić. Bo inaczej radnym z jej dzielnicy znowu zostanie ten sam prochiński polityk, który pełni tę funkcję już 12 lat. Nie będzie miał żadnego kontrkandydata. Więc uznaje, że równie dobrze ona może zostać jego konkurencją. Prowadzi kampanię, mimo że zupełnie nie sprawia jej to przyjemności.

To była częsta postawa? Młodzi, nieprzygotowani ludzie startowali w lokalnych wyborach?

LEUNG MING-KAI: To było masowe zjawisko.

Niektórzy kandydaci byli nawet młodsi i mniej doświadczeni niż nasza bohaterka. Ale dzięki temu, że zdecydowali się startować, nagle każdy prochiński kandydat miał konkurencję. Co więcej, wiele z tych osób rzeczywiście wygrało, co było dość zaskakujące.

Prochińska frakcja straciła wiele miejsc w lokalnych władzach.

KATE REILLY: Lokalne wybory to najniższy poziom władzy, więc politycy tak bardzo się nimi nie przejmowali. Opowiadanie w trakcie kampanii o pułapkach na szczury w blokach w twojej dzielnicy nie jest romantyczne. Więc młodzi wykorzystali te wybory jako pole bitwy. I tę bitwę wygrali.

Masowe protesty doprowadziły do tego, że udało się cofnąć ustawę o ekstradycji, ale antyrządowe protesty nie ustały.

LEUNG MING-KAI: Zwolniły nieco przez pandemię COVID. Poza tym ludzie po niemal 1,5 roku są już sfrustrowani. Ale wciąż szukają nowych dróg, żeby wyrazić swoje poglądy.

KATE REILLY: W czerwcu tego roku wprowadzono też ustawę o bezpieczeństwie narodowym, która utrudniła swobodne wyrażanie poglądów. Więc protesty są teraz niebezpieczne. Ludzie się boją.

Uniwersytet Hongkongu przeprowadził badania, według których protesty mają zły wpływ na stan psychiczny mieszkańców. Prawie jedna czwarta społeczeństwa ma objawy zespołu stresu pourazowego. Nie tylko ci, którzy brali w nich udział, także ci, którzy po prostu śledzili doniesienia w mediach. Widzicie to w swoim otoczeniu?

KATE REILLY: Niestety tak. Widzę to nawet, kiedy rozmawiam ze znajomymi o filmach, które chcą zobaczyć. Ludzie wspierają filmowców, żeby dokumentowali wydarzenia na ulicach, ale potem często nie mają już siły oglądać tych filmów. Mówią, że są straumatyzowani, że nie chcą znowu tego przeżywać.

Tekst ukazał się w „Wyborczej" w listopadzie 2020 r.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Wyjść po angielsku

Stojący na peronie Anglik opowiedział potem policji, że Michał tuż przed skokiem na niego popatrzył. I się uśmiechnął na pożegnanie.

PIOTR GŁUCHOWSKI, MARCIN KOWALSKI

FOT. SHUTTERSTOCK (ZDJĘCIE ILUSTRACYJNE)

Michał, student medycyny, rzucił się pod pociąg na stacji East Croydon w południowym Londynie. Skoczył prosto pod pierwszy wagonik.

Szampan nie był z tych najdroższych, ale i nie tani: kosztował 20 funtów. Z nalepki wynikało, że jest francuski, prawdziwy. Maciej dawno nie pił tak drogiego alkoholu, Monika – nigdy. Oboje byli zdziwieni, że smakuje marnie. Ale luminal rozpuścił się dobrze. 72 duże pastylki, jedna po drugiej, opadały na dno dwóch szklanek z bąbelkami. Pili powoli, a za oknem z widokiem na jednakowe czteropiętrowe domy robiło się coraz ciemniej. Klasyczny listopad w niewielkim angielskim miasteczku: wiatr od Atlantyku szarpie drzewami, szare niebo, szara woda w rzece pod mostem, tylko trawniki, jak zawsze, są intensywnie zielone. Wszystko wokół mokre i bardzo czyste.

Gdy zapadł mrok, Monika z Maciejem założyli białe koszulki i spodenki po czym – gwałtownie senni – położyli się do łóżka. Kot wskoczył – jak zwykle – w nogi. Maciej długopisem wypisał na lewej ręce dawkę, którą zażyli, i łacińską nazwę leku. Wcześniej zawiesili na drzwiach karteczkę – po angielsku – „WEZWIJCIE SŁUŻBY. W ŚRODKU SĄ DWA CIAŁA".

Sąsiedzi z osiedla nie mają w zwyczaju reagować, gdy ktoś się długo nie pokazuje. Tu każdy interesuje się głównie sobą. Można usiąść na chodniku pod latarnią i przesiedzieć tak choćby miesiąc – nikt nie podejdzie. A Monika nie chciała, żeby kot został na długo z trupami.

Agnieszka. Bo straciła ojca...

Ona miała 19 lat i rzuciła się w środku dnia pod metro. To było 8 sierpnia 2008 r. przy Finchley Central, w północnym Londynie. Siedem przystanków linią Northern, licząc od King's Cross. Czwarta strefa, wagoniki lecą tutaj wierzchem. Skoczyła ze starego wiaduktu nad torami. Ponad dziesięć metrów, właściwie powinna zginąć od

razu. Tory idą dołem porośniętego krzakami wąwozu, po nasypie z ostrych brudnych kamieni. Do tego jeszcze betonowe podkłady co metr. Ale Agnieszka upadek przeżyła. Połamana leżała między szynami, gdy pojawił się skład.

Czerwony wagonik widać było z daleka. Dwóch przechodniów – Anglików – zeskoczyło z dwóch końców wiaduktu w krzaki. Prawie jednocześnie wyskoczyli na nasyp. Wagoniki były wtedy o jakieś sto metrów. Wyższy machał rękami, niższy krzyczał coś, czego maszynistka Murzynka oczywiście słyszeć nie mogła, ale na szczęście ich zauważyła. Hamowała ze zgrzytem i iskrami.

Zaczęło się pykanie zdjęć komórkami, szczególnie gdy nad wiaduktem zawisł śmigłowiec medyczny. Faceci w odblaskowych kamizelkach przenieśli Agnieszkę na nosze i pobiegli z nią sto metrów – do parku. Stamtąd helikopter zabrał ją do szpitala. Lekarka zapytała o przyczyny skoku. Dziewczyna opowiedziała o chorym ojcu, którego zostawiła w Polsce. Kilka godzin przed skokiem z wiaduktu dowiedziała się, że tata zmarł. Z dalszego wywiadu wynikało, iż wiadomość ta przepełniła kielich goryczy i frustracji. Dorywcze prace za małe stawki, tęsknota za tatą i domem, widok bogatych, śmiejących się Anglików na ulicach, w kieszeni parę drobnych, w brzuchu najtańsza fasolka z puszki i nieustanna myśl o oszczędzaniu. Do tego padający od rana deszcz.

Michał i Konrad. Bo miał depresję…

Kiedy Michał, student medycyny, rzucił się w lipcu pod pociąg na stacji East Croydon w południowym Londynie, też lało od rana, chociaż z przerwami. Skoczył prosto pod pierwszy wagonik szybkobieżnej linii. Stojący na peronie Anglik opowiedział potem

policji, że Michał tuż przed skokiem na niego popatrzył. I się uśmiechnął na pożegnanie.

Policja przeprowadziła krótkie dochodzenie. Jako przyczynę zgonu wpisano depresję, na którą Michał cierpiał już w Polsce. Informacja, że w starym kraju zaliczył już jedną próbę samobójczą, właściwie zamknęła temat. Policjanci pominęli londyńskie kłopoty z opłaceniem czynszu, drobne długi i to, że całą poprzednią noc chłopak chodził samotnie po ulicach, próbując nawiązać z kimś kontakt.

W przypadku Konrada w formularzu, w rubryce: przyczyna, znalazła się „kłótnia z partnerką".

29-letni chłopak, który zostawił w Polsce narzeczoną i trzyletnią córkę, mieszkał na odległym londyńskim przedmieściu – 35 kilometrów od centrum – z bratem i kolegą. Zajmowali wspólną kawalerkę. Zarabiali niby nieźle, ale jakoś zawsze kasa się rozeszła i z planów na większe mieszkanie czy przeniesienie się bliżej miasta nic nie wychodziło. Tego wieczoru też wszyscy narzekali.

Późno w nocy, gdy Konrad połączył się z dziewczyną przez internet, chłopaki położyli się już spać. Tymczasem rozmowa w sieci przeszła w kłótnię, z groźbami i życzeniami śmierci włącznie. Zasypiający współlokatorzy słyszeli tylko stukanie w klawiaturę, więc żaden nie otworzył oczu, nawet wtedy, gdy ustało, a Konrad powiesił się na sznurówkach.

Przed śmiercią chłopak skierował na siebie oczko internetowej kamery, by narzeczona mogła jeszcze zobaczyć, co robi. Kiedy obudziła śpiących telefonem z Polski, było już za późno. Nie pomogło ani sztuczne oddychanie, ani masaż serca. Dopiero gdy

lekarz pogotowia stwierdził zgon, brat i kolega zwrócili uwagę na włączony cały czas ekran komputera, a na nim gorzkie słowa wymieniane przez Konrada i jego dziewczynę.

Przemek. Bo nie wytrzymał samotności...

34-letni Przemysław ze Śremu powiesił się w krzakach otaczających Ulster Hospital we wschodnim Belfaście. Drzewo, do którego przytroczył pasek, stoi kilkanaście metrów od nowo otwartej kliniki psychiatrycznej z oddziałem leczenia depresji i psychoz. Przemek wisiał trzy tygodnie, nim znalazł go przypadkowy przechodzień. Osierocił dwie córki.

Przed śmiercią pracował za najniższe stawki – 6 funtów od godziny – w zieleni miejskiej Edenderry, niedaleko Dublina. Mieszkał sam. Nie znał języka, nie miał tu przyjaciół, w czasie ostatniego pobytu w Polsce skarżył się, że coraz trudniej znieść mu samotność. Ale oboje z żoną postanowili, że zaciśnie zęby i wróci, by zarabiać pieniądze. Krótko przed samobójstwem szukał lepiej płatnej pracy pod Belfastem. Kuzynce powiedział przez telefon, że gdyby znalazł coś za lepsze pieniądze, mógłby szybciej wrócić do Polski. Ale nie znalazł.

Jego przypadek opisał „Belfast Telegraph". Redakcja dała tytuł „Śmierć samotnego polskiego taty, który śnił o lepszym życiu". Pod internetowym wydaniem magazynu rozwinęła się dyskusja kilku czytelników, Polaków piszących po angielsku.

„Może nie chciał wracać do pustego mieszkania? Znam to uczucie".

„Może chciał iść do szpitala po pomoc, ale nie potrafił powiedzieć Irlandczykowi, o co mu chodzi?".

„Może zapadł na angielską chorobę?".

Angielską chorobą wyspiarze nazywają mieszaninę melancholii i hipochondrii. Mówią, że to od klimatu: mroczno, wilgotno, chłodno od środka.

Tubylcy chyba się przyzwyczaili (Anglia ma jeden z niższych w świecie wskaźników samobójstw), a w każdym razie nauczyli się znieczulać (spożycie alkoholu wśród młodych Brytyjczyków jest dwa razy wyższe niż dziesięć lat temu).

Przyjezdni narzekają. Co trzecia rozmowa z Polakiem, Czechem albo pracującym tu Włochem prędzej czy później schodzi na chęć zmiany miejsca zamieszkania. Typowy tekst: – Albo wyjadę gdzieś, gdzie jest słońce, albo się powieszę.

Ania, Tomek, Wiesiek, Piotrek...

Anna i Tomasz, oboje 40-letni, zabili się w lipcu 2008 r., jedno po drugim – w ciągu tygodnia. Zostawili dwoje dzieci. W Lincoln, przeszło 250 km na północ od Londynu, mieli wynajęty domek i – jeszcze rok temu – stałą pracę. Całkiem niedawno zapraszali do siebie krewnych z Polski. Ale tej wiosny pracę stracili. Początkowo przeszli na dorywcze fuchy, potem i z tym było ciężko, w czerwcu nawet opłacenie rachunków stało się problemem. Do kraju wrócić nie chcieli – bo jak to tak: z niczym. Gdy śmierć ich obojga opisała „Gazeta Wyborcza", rodacy z Lincoln okazali współczucie. Zaczęła się zbiórka pieniędzy na pomoc rodzinie. Zareagował konsulat. Siła prasy. A ledwo tydzień wcześniej bez rozgłosu przeszło inne podwójne samobójstwo Polaków... Na farmie truskawkowej w Marden – też niecałe 200 mil od Londynu, tylko że na zachód – zginęli 37-letni Wiesiek i starszy o dziesięć lat Piotr.

Marden to zagubiona wśród szachownicy pól dziura – szparagi, sady gruszkowe, jedno jeziorko, kilka stawów, wokół ciągnące się kilometrami foliowe tunele w rzędach. W środku – truskawki. Krzaki wielkości porzeczkowych, na nich dorodne czerwone owoce bez określonego smaku. Dla Tesco i Sainsbury's. Do Anglii i na eksport.

Między krzakami uwijają się – w mniej więcej równych proporcjach – kobiety i mężczyźni: Polacy, Słowacy, najwięcej Bułgarów.

Zrywanie, pakowanie do czerwonych skrzyń, ustawianie skrzynek na ciężarówkach – 5,5 funta za godzinę, norma: 3,5 kobiałki na godzinę. Kto nie wyrabia normy, temu skraca się dniówkę. Nawet do czterech godzin. I obniża stawkę – nawet do 2 funtów. Wtedy człowiek zarabia mniej niż 10 funciaków dziennie. Tyle kosztuje ryba z frytkami i cola.

Gdy nie ma pracy, pozostają piętrowe łóżka w przyczepach kempingowych zwanych tu karawanami. Cztery osoby w jednym, żadnych wygód. Śpiwory własne, w nocy prąd wyłączony, żeby iść do toalety, trzeba mieć latarkę. Jedyna rozrywka to alkohol. Piwo w sklepiku albo w barze obok kafejki internetowej, wódka w torbach przywiezionych z Polski lub ze Słowacji. Teoretycznie jest jeszcze siłownia i basen, ale mało kto korzysta, bo płatne.

37-letni Wiesiek feralnego wieczoru pił z trzema Polakami i przyjaciółką, z którą ma w Polsce sześcioletniego syna. Pokłócili się o pieniądze, o to, że on jest alkoholikiem, a ona kurwą, o to, kto winien, że wylądowali w „jebanym obozie pracy", o wszystko...

Gdy pijane towarzystwo zasnęło, Wiesiek wszedł do szafy i powiesił się na pasku.

Następnego dnia przyjechała policja. Po robocie jakiś Bułgar przyniósł do baru długi kawał sznura, którym mocuje się folię do ożebrowania tunelu. Nie wiadomo, skąd wzięła się plotka, że to na tym sznurze powiesił się Wiesław.

Piotr odciął sobie część liny na szczęście. Musiał się wykłócić, bo kilku innych robotników też chciało. Przystali, by to on zabrał sznurek, pod warunkiem że postawi flaszkę słowackiej gorzały.

Piotrek pił dużo od początku, to znaczy od marca, gdy przyjechał tu z konkubiną. Ona też była trunkowa. Szybko się pokłócili i zaczęli sypiać w osobnych karawanach. On zaczął zadawać się z młodszą, samotną Litwinką. Ona płakała. Pod koniec czerwca, gdy Litwinka wróciła do siebie, Piotr próbował pogodzić się ze swoją. Tak o niej mówił: „moja". Nigdy nie używał imienia. Napił się na odwagę przed przeprosinami i nic z nich nie wyszło. Pokłócili się jeszcze gorzej, wrzaski i wyzwiska słychać było dokładnie w kilku sąsiednich karawanach. Wyzwała go od najgorszych. Wstyd przed kumplami. Kupił tę obiecaną flaszkę u Słowaków i stukał od drzwi do drzwi. Ale nikt już się nie chciał z nim napić. No to poszedł schlać się sam – w krzaki za drzewami. Zawisł tam nad ranem.

Piotr i Katarzyna. Bieda emigranta…

Podwójnych samobójstw było wśród Polaków na Wyspach co najmniej pięć tylko w tym roku.

– Działa prawo serii czy raczej przykładu – Agnieszka Major, młoda psycholożka, przyjmuje nas w swoim małym londyńskim gabinecie. Blondynka o wesoło pomalowanych na pomarańcz paznokciach od czterech lat przyjmuje i Anglików, i Polaków – od menedżerów

zamawiających treningi osobowości po desperatów, którzy trzymają się życia już tylko opuszkami palców.

– Powinniście uważać, pisząc, bo już samo przytaczanie tych historii może powodować u podatnych na to osób myśli samobójcze. Przychodzą do mnie pacjenci i przynoszą wycinki z gazet. Szczególnie, gdy zabije się ktoś znany. „O właśnie, najlepszy dowód, że nie warto już żyć" – mówią. I tak myślą. Nie warto żyć, bo wszyscy wokół kradną, bo był zamach i krew na ulicy, bo politycy kłamią, bo spada kurs funta, bo nie ma słońca. Dla człowieka w depresji wszystko jest straszne. Wszystko może być powodem samobójstwa.

– Przychodzą do pani tacy, którzy chcą się zabić?

– Przychodzą. Dużo jest uzależnionych od narkotyków i alkoholu. Plus anorektycy i anorektyczki. Tracą chęć do jedzenia pod wpływem stresu. Chcą się zabić, bo nie czują ani smaków, ani potrzeb. Po co harować, po co oszczędzać? To już nie ma sensu. Często słyszę też taką mantrę: próbuję tutaj wszystkiego, ale nie wychodzi. Nie dałem rady w Polsce, nie idzie mi tutaj, to oznacza, że ja jestem do niczego, a nie świat. Skoro tu mi się nie udało, to już nigdzie się nie uda. A jak wracać do Polski na tarczy? Jest taka presja... Ktoś wyjechał sześć lat temu. Powiodło mu się, kupił w Polsce dom. A tu warunki przez ostatnie pięć lat się zmieniły. Funt już nie kosztuje 7 złotych, tylko 4.

Brytyjski urząd statystyczny przyjmuje, że dochód poniżej 1200 funtów na głowę miesięcznie to już strefa ubóstwa. Polacy – poza nielicznymi wyjątkami – w całości znajdują się w tej strefie. To, co w Polsce już nikogo nie szokuje – własny dom i dwa samochody – w Anglii jest dla rodaków niewyobrażalnym luksusem. Standard to

wynajęte mieszkanie i przechodzony wóz kupiony zwykle za kwotę mniejszą niż roczne wydatki na benzynę i obowiązkowe ubezpieczenie.

Polski internauta Kapsel (kapsel.blox.pl) opisuje na bieżąco swoje życie za niespełna 600 funtów miesięcznie. Nie pali, nie pije alkoholu, nie bywa w knajpach, ogranicza przejazdy na rzecz spacerów, smaży sobie mięso mielone z Tesco itd.

Sierpniowy numer popularnej polonijnej gazety – „Gońca Polskiego" – otwiera się tekstem „Bieda emigranta". Współautorka i zarazem naczelna tygodnika Katarzyna Kopacz przytacza statystyki: ponad 50 procent polskich dzieci w Londynie żyje poniżej tutejszej granicy nędzy, coraz więcej Polaków nie tylko nie odkłada pieniędzy, ale się na Wyspach zadłuża.

Katarzyna, urocza 30-letnia brunetka, sama zastanawia się coraz częściej, czy nie wrócić do Polski. Gdy opowiada nam o robocie na akord w polonijnych newsroomach, zgadzamy się w trójkę, że w polskich mediach warunki są lepsze, komfort wyższy, pracy dużo mniej, a zarobki porównywalne. Piotr, mąż Kasi – do niedawna dyrektor w dwóch polonijnych radiostacjach – też chętnie zamieniłby Londyn na Warszawę.

– My oboje mamy zawód i trochę oszczędności w banku, ja to mam nawet kilka fachów – potężny, prawie dwumetrowy mężczyzna śmieje się, obwożąc nas samochodem po Londynie. – Damy sobie radę. Ale taki gość, który tu przez cztery lata tylko roznosił kanapki na budowie albo ulotki wręczał na ulicy – do czego on ma w Polsce wracać? Wielu ludzi uciekło tu przed krajowymi problemami, które tam na nich czekają – niezapłacone alimenty, jakieś sprawy sądowe, różne historie... Wielu narobiło sobie kłopotów na odległość przez

samo rozstanie, siedzenie tutaj. Porozbijane rodziny, kobiety poznały innych facetów, często kumpli, co zostali. Od polskich kłopotów można było uciekać do Anglii. A od angielskich gdzie? Dalej jest tylko ocean.

Mona Lisa i lekarz. Możemy porozmawiać...

Psycholożka Agnieszka wymienia kolejne grupy, którym stres i frustracja podpowiadają myśli o samobójstwie:

– Ludzie ambitni, którzy chcieli tu zrobić karierę, nauczyć się angielskiego, zająć wysoko płatne stanowiska. Przeliczyli się. Pracują ciężko, by utrzymać standard, nie starcza im siły czy czasu na naukę, więc nie robią karier, przez co przestają się podobać sami sobie. A wokół niewyobrażalnie bogaci Brytyjczycy albo Arabowie na zakupach, wszędzie kuszą reklamy luksusowych wycieczek. To z kolei dobija szczególnie najnowszych emigrantów, którzy są po prostu psychicznie słabi. Ta grupa różni się od wcześniej przyjeżdżających. Pewną bezradnością, żeby nie rzec – lenistwem. Kiedyś emigracja była wyzwaniem, na które decydowały się jednostki energiczne, ludzie zdecydowani i twardzi. Dziś z każdego większego miasta leci do Londynu albo Dublina tani samolot. Łatwiej tu przyjechać, niż iść w Polsce do pośredniaka. I nadzieja większa. Przylatują... ot, tak. Myślą, że jakoś się ułoży. Rozczarowanie bywa śmiertelne.

W polonijnym portalu Mojawyspa.co.uk informacji o samobójstwach wśród rodaków jest kilkanaście. Pod jedną z nich rozwija się dyskusja na forum. Internauci komentują powieszenie się młodego Polaka z podlondyńskiego St Albans. Narzekają na wykorzystywanie ludzi przez bezwzględnych pracodawców, na złą

atmosferę w robocie, na angielską oschłość i częstą bezduszność wyspiarzy. Wśród postów tekst podpisany przez Monę Lisę:

„Witam was wszystkich. Piszę tę wiadomość, bo mam dosyć tego angielskiego ugrzecznienia, ich zamknięcia w sobie, dosłownie – nieumiejętności okazywania uczuć, ciągłego pytania, czy wszystko jest w porządku, i kłamliwego, obowiązkowego odpowiadania, że jest. Przecież nie zawsze jest. Ja i mój partner jesteśmy w Anglii sześć miesięcy (ja mam 34 lata, on 47). Chcieliśmy ułożyć sobie tu życie. Znaleźliśmy pracę jako care assistant. Opiekunowie staruszków. I się zaczęło. (...)

Skończyło się tak, że zdecydowaliśmy się popełnić samobójstwo. Wypiliśmy miksturę silnego leku, po którym w Polsce by nas nie odratowali. A tu nas uratowali, niestety. Monika".

Z podpisu pod postem wynika, że Mona Lisa pisze z Bridgwater. Może imię Monika, którym się podpisała, jest prawdziwe? Wbijamy w wyszukiwarkę Naszej Klasy hasła: Monika i Bridgwater. Wyrzuca siedem Monik, ale tylko jedna ma 34 lata. Pochodzi z Rzeszowa, skończyła socjologię. Zostawiamy jej dwa listy – na Naszej Klasie i na forum Mojej Wyspy. Prosimy o kontakt.

Po kilku dniach Monika odpisuje:

„Możemy się spotkać i porozmawiać. Żyję w Bridgwater, jest to region południowo-zachodniej Anglii, poniżej Bristolu. Mieszkam razem z partnerem Maciejem. Maciej jest lekarzem, autorem książki »Moja heroina«, która wyszła w Polsce. Nasza wspólna próba samobójcza była efektem splotu nieszczęśliwych wydarzeń, które sprawiły, że oboje nie mieliśmy już siły walczyć dalej. Podaję wam nasz adres...".

Jedziemy. 30-tysięczne Bridgwater wita nas wichrem i deszczem. Mimo początku sierpnia jest chłodno, na ulicach pusto. Osiedle Moniki i Macieja to zespół wolno stojących 8-10-rodzinnych domów pod skośnymi dachami. Równo przystrzyżone trawniki, puste chodniki, tylko jakaś starsza pani w ortalionowej kurtce z kapturem wyprowadza psa. Mieszkanie kosztuje tu od 400 funtów za miesiąc – tania dzielnica. Maciej i Monika zajmują dwupokojowe mieszkanko z aneksem kuchennym. Szara wykładzina, proste sosnowe meble, kilka wspólnych zdjęć gospodarzy, legowisko kota. Na szafce oryginalna XIX-wieczna ikona.

– Kiedyś przemycałem to z Rosji – Maciej robi nam kawę i skręca papierosa za pomocą plastikowej maszynki. – Ta była moją pierwszą i zachowałem ją sobie na pamiątkę...

Były psychiatra i uzależniony od opiatów narkoman w wydanej cztery lata temu przez Znak „Mojej heroinie" podjął, jak sam napisał, „próbę zrozumienia mechanizmów uzależnienia". Książka sprzedała się dobrze, ale w życiu autora niewiele się zmieniło.

– Siedziałem w Warszawie i ćpałem, wydając pieniądze z honorarium – opowiada, siadając po turecku na wykładzinie. Mówi powoli, trochę z trudem, trochę z namysłem. Twarz, opuszczone ramiona i gest, którym przypala skręta – wszystko przepełnione jest jakimś totalnym zmęczeniem. – Jedyne, co mi się po tej książce zdarzyło dobrego, to to, że napisało do mnie kilka czytelniczek, między innymi Monika.

Monika i Maciej. Życie i umieranie w Bridgwater...

Monika ma ciało seksbomby, wielkie błękitne, wciąż lekko załzawione oczy i także narkotykowy epizod. W nosie kolczyk, na

rękach bursztyny, na ramieniu wytatuowana pantera. Jej korespondencja z Maciejem trwała ledwo kilka tygodni, gdy oboje zdecydowali się wyjechać, by „spróbować od nowa". Bez narkotyków.

– W Rzeszowie pracowałam w jednym biurze, potem w szmateksach – nic sensownego. Zostawiłam tam tylko rodziców na głodowej emeryturze, małe wspólne mieszkanie i trochę niedobrych wspomnień. Trzy lata temu wylądowaliśmy oboje w Londynie.

– Miałem ze sobą dyplom i nostryfikację, marzyła mi się posada lekarza, ale skończyło się porażką – Maciej wychyla szklankę wody i skręca kolejnego papierosa. – Tu jest sitwa lekarska, proces rekrutacji tak długotrwały i skomplikowany, że aby się wkręcić, trzeba poświęcić kilka miesięcy. I mieć pieniądze na utrzymanie. Mogłem co najwyżej rozwozić pizzę. Jeden dzień byłem boyem hotelowym. Ciągnąłem wózki z pościelą, targałem toboły, wszystko w tempie narzucanym przez 18-letnich Hindusów: 25 kilometrów biegu z przeszkodami dziennie. Wieczorem podziękowałem... Wróciliśmy do Polski.

– Ale związek nasz, mimo tej porażki, przetrwał – Monika podnosi się z wykładziny i dzwoniąc bransoletkami idzie do kuchni, by pokroić dla nas kawałek kupionego w supermarkecie ciasta.

– Postanowiliśmy zebrać w Polsce kasę i wyjechać jeszcze raz. Przygotowaliśmy się dobrze, żeby zacząć z głową, nie na wariata – Maciej pociąga skręta, ręce mu drżą. – Zrobiliśmy zbiórki po bliższych i dalszych rodzinach, pożyczyliśmy od znajomych, zebrało się 10 tysięcy funtów. Wzięliśmy z Polski laptop, wynajęliśmy pokój w hotelu, najpierw w Newquay w Kornwalii, bo tam najcieplej. Ale za wielki był młyn... To jest centrum surferów, coś jak

nasza Łeba... Nie dla nas. Za dużo pokus, cha, cha! Zresztą praca tam była tylko przy frytkach albo sprzątanie. Nie chcieliśmy. Szukając cichszego miejsca, trafiliśmy tu – do Bridgwater. Teraz już żadnego hotelu, tylko od razu znaleźliśmy najtańsze mieszkanie i ostro poszukaliśmy roboty. W profesji lekarskiej nie było nic, nawet sanitariusza, ale pojawiła się oferta z sieci domów opieki dla staruszków. Pierwsze interview i od razu nas przyjęli za 6,5 na godzinę. Tak się ucieszyliśmy z legalnego zatrudnienia, żeśmy nie zauważyli w kontrakcie zapisu „flexible care worker". Czyli opiekun elastyczny. Ta elastyczność polegała na tym, że raz pracowaliśmy na nocki, innym razem wcześnie rano, do tego w różnych okolicznych miasteczkach i osobno. Trzeba było kupić samochód, dowozić się i odwozić... Trochę nam początkowy entuzjazm zaczął siadać. Szczególnie że praca okazała się nieznośna. Stare ciała, stany terminalne, dosłownie szkieleciki w skórze, i te ich odchody... W Polsce ludzie nie dożywają takiego wieku, tutaj rodziny płacą za opiekę po 8 tysięcy funtów na miesiąc, więc wszystkim zależy, by pacjent żył maksymalnie długo. Chociaż nikt go nie odwiedza, nawet w święta. Koszmar.

– Chwytali za ręce, chcieli się przytulać, coś wyznać, chociaż już dawno nie mówią... – Monika siada znowu między nami. – Karmieni rurkami, latami w bezruchu... Zwłoki, tylko że ciepłe. Śniły mi się przez to wszystko stare, umierające zwierzęta. Albo że budzę się i sama jestem stara.

– Zacząłem chlać – Maciej szykuje kolejnego papierosa. – Szczególnie wtedy, gdy musiałem zawieźć Monikę w nocy na dyżur i sam wrócić do domu, bo moja dniówka zaczynała się na przykład dopiero nazajutrz po południu. Parę razy zapiłem i nie pojechałem – to mi obcięli kaskę. Nadszedł taki dzień, że wypiłem wieczorem, a

nocą odbierałem Monikę. Złapałem gumę, jak się zorientowałem, byłem już blisko celu i chciałem dojechać na flaku. Przejechałem skrzyżowanie na czerwonym, złapali mnie. Jazda w stanie nietrzeźwym i – co tutaj jest dużo gorsze – „dangerous driving". Zabrane prawo jazdy, sąd dał mi kuratora. Z pracą koniec. Zamiast tego musiałem chodzić na taką grupę – „probation service" – sami złodzieje, narkomani, miejscowy element. Samochód, który kilka dni stał na flaku tam, gdzie mnie złapali, ktoś ukradł. I Monika też nie miała jak jeździć do pracy. W tydzień straciliśmy pracę, pieniądze, perspektywy... Zawieźliśmy do znajomego nasze ostatnie rzeczy: oddaliśmy mu laptop, telefony, klucze od mieszkania...

– ...powiedzieliście dlaczego?

– Ja powiedziałam. Chcemy się zabić. Ale wyjść po angielsku. Nie będziemy skakać z mostów, tylko w domu zaśniemy. Próbował nas odwodzić, w końcu dał spokój. Może pomyślał, że nam pomysł przejdzie. A potem, w nocy, coś go jednak tknęło, że może nam nie przeszło, i przyjechał tutaj. Zobaczył kartkę na drzwiach. Wezwał pogotowie. Opowiadał, że ja leżałam już nieprzytomna, a Maciej coś jeszcze bełkotał.

– Dobrze, że wam się nie udało?

Maciej chwilę milczy: – W pracy jesteśmy na zwolnieniu, żyjemy teraz z „benefitu", opieka płaci nam za mieszkanie. Żyjemy, bo żyjemy dalej, ale takie to życie bez sensu. Może ktoś prosty by się cieszył: mamy co jeść, mamy dach nad głową, ale my nie jesteśmy przecież roślinami.

– Wrócicie do Polski?

– Ja bym nie mogła. Nie mam do czego. A tu nas mają objąć takim programem... Opieka pomoże znaleźć nową pracę... Może jeszcze raz byśmy spróbowali? – Monika patrzy na Macieja, on spuszcza głowę: – Ja już nie mam siły. Na pewno nie na powrót. Tutaj przynajmniej nie ćpam, tam prosto z Okęcia poleciałbym do dilera. Spróbować mogę tylko jeszcze pożyć, a potem dopiero się zabić.

Tekst ukazał się w „Wyborczej" w sierpniu 2008 r.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Polska dla Polaków

Żydzi, którzy po wojnie wyjechali do Izraela, dziś masowo zabiegają o polskie paszporty. Nasza administracja mnoży im trudności: a nuż zechcą zwrotu kamienic?

PIOTR GŁUCHOWSKI, MARCIN KOWALSKI

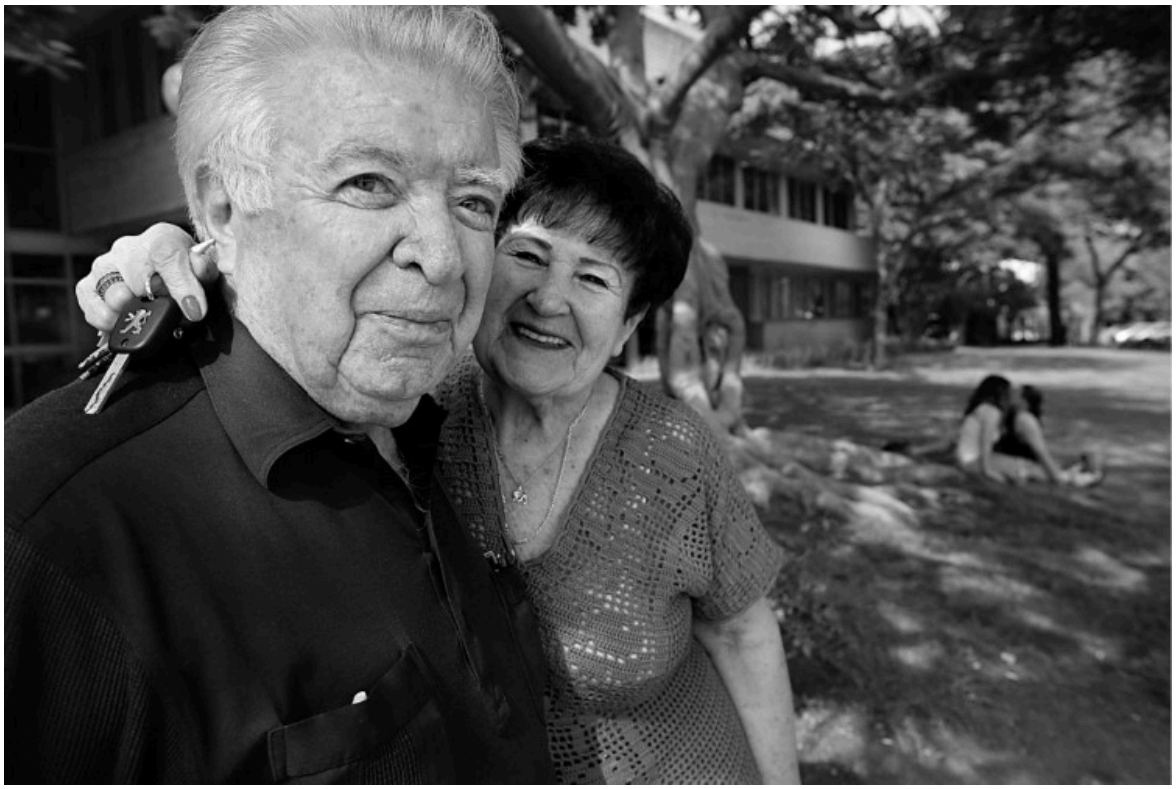

FOT. JAN ZAMOYSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

Jadwiga i Mordechaj (Motek) Libersonowie mieszkają w niskim bloku w Kvar Saba pod Tel Awiwem.

„Panie Premierze Jarosławie Kaczyński! Mówił Pan, że pragnie, by w ciągu najbliższych pięciu lat zwiększeniu o milion uległa liczba obywateli polskich, potomków polskich rodzin mieszkających na stałe poza granicami Polski. Czy miał Pan na myśli również nas?".

Tak zaczyna się płatne ogłoszenie, które sporządziła dla gazet amerykańskich, niemieckich i polskich grupa bogatych Izrælczyków. A kończy się tak:

„Panie Prezydencie, Panie Premierze! Zaprzestańcie dyskryminacji i niesprawiedliwości. Zanim Polska stworzy w Warszawie muzeum ku pamięci Żydów, którzy zginęli w holokauście, powinna zaprzestać dręczenia polskich Żydów, którzy pozostali przy życiu".

Ogłoszeniodawcy reprezentują kilka tysięcy emigrantów z lat 50. i 60., którzy pół wieku temu musieli zostawić paszporty, wyjeżdżając z tzw. dokumentem podróży – biletem w jedną stronę. Dziś wszyscy chcą odzyskać obywatelstwo dla siebie i dzieci:

• bo paszport RP daje wjazd do całej Unii Europejskiej: na studia, do pracy;

• bo bezpieczniej z nim podróżować po krajach arabskich niż z izrælskim czy amerykańskim;

• bo zostawili w Polsce majątki, które łatwiej odzyskać, mając polskie obywatelstwo (w razie trudności w polskich sądach Polakom przysługuje prawo odwołania do Strasburga, Izrælczykom – nie);

• bo chcą w Polsce kupować ziemię;

• bo tęsknią, bo wciąż myślą po polsku, bo czują się Polakami.

Przygotowywana przez rząd ustawa o obywatelstwie polskim ma objąć „osoby, które utraciły je w wyniku represji politycznych". Dokument wciąż niegotowy, ale jest już projekt Karty Polaka – premier Kaczyński zaprezentował go dziennikarzom 12 czerwca 2007 r. Karta to taki wstęp do obywatelstwa. W pierwotnej wersji miała przysługiwać wszystkim rodakom z zagranicy. Rząd zdecydował inaczej – będzie przysługiwała tylko tym, którzy mieszkają w krajach byłego ZSRR.

– Pół wieku po wojnie Polska nadal nie jest dla Żydów – mówi reprezentujący ogłoszeniodawców z Izræla mecenas Ilan Charski, sam – od niedawna – Polak.

Jadwiga: Często stoję w tym pokoju

Jadwiga Liberson nie potrafi zasnąć po ciemku, więc kładzie się do łóżka przed zachodem słońca. A słońce w Kvar Saba, choć praży mocno, zachodzi szybko, szczególnie latem. W czerwcu pod Tel Awiwem dzień jest o ponad dwie godziny krótszy niż w Skierniewicach, gdzie 81 lat temu Jadwiga przyszła na świat jako Jachet, córka Dory z domu Frankenstein i Ezryjela Kuczyńskiego, bankiera oraz właściciela loterii pieniężnej.

W ciemności Jadwiga widzi rękawiczki ze świńskiej skóry.

– To było jeszcze w getcie warszawskim. Idę Twardą na tajne komplety. Uczyliśmy się we czworo w takiej śmierdzącej piwnicy, oczywiście wszystko tylko na pamięć, bo jakby złapali z zeszytem – to koniec. Mam 14 lat.

Idę i czuję, jak śmierć idzie za mną. Nie odwracam się, tylko strach rośnie. Coraz szybciej biegnę, jedna brama – zamknięta, druga brama – zamknięta, wreszcie róg Twardej i Miłej, wchodzę na podwórze, cień za mną. Słyszę kroki, bo to podwórze-studnia, dopadam drzwi do klatki, biegnę na górę: jedno piętro, drugie, w końcu znalazłam drzwi otwarte, wpadam...

I to jest duży, pusty pokój, na środku duże stare łóżko, a na tym łóżku umiera kobieta. Wiem, że umiera, widziałam to już wcześniej. Jest zielona i ma wodne obrzęki pod oczami... Widzę to dokładnie, kiedy ona powoli przekręca głowę w moją stronę. Usta ma we krwi. Przed chwilą odebrała sobie poród, sama.

Kiedy Jadwiga Liberson opowiada, nie przestaje się uśmiechać. Tylko mówi coraz wolniej.

– Noworodek leży na kobiecie i kwili. Nie płacze, tylko tak kwili, jak ptaszek... Pod łóżkiem siedzi drugie dziecko: chude, obrzęknięte, całe żółte, straszne... Stoję w progu, a on wtedy wchodzi za mną. Esesman, jakieś 30 lat, wysoki, już nie zwraca na mnie uwagi. Ma rękawiczki ze świńskiej skóry. Brązowe, takie z mocno widocznymi szwami. Podchodzi do łóżka, bierze to maleńkie dziecko za nóżki i praast! Móżdżek na ścianie rozchlapany. A ja stoję.

Siedzimy w Kvar Saba, w pięciopiętrowym bloku, w chłodnym pokoju wśród kwiatów. Ze ścian patrzą na nas – utrwaleni na czarno-białych fotografiach – nieżyjący ludzie. Członkowie rodziny Jadwigi i jej męża Mordechaja zwanego w domu Motkiem.

– 20 lat nie opowiadałam nic, potem trochę i tylko bliskim. A teraz będę opowiadała dużo. Zanim umrę. Napijecie się jeszcze mineralnej, a może koniaku?

Wybieramy koniak.

– Esesman kazał tej kobiecie zejść z łóżka, ona zeszła. Mówi do niej: „Otwórz okno", ona otwiera. Mówi: „Wyrzuć dziecko". I pokazuje na tego żywego jeszcze, to chłopiec był... Wyrzuciła go. Wiem, chociaż nie patrzyłam na okno, tylko na rękawiczki. Gdybym tam nie weszła... – Jadwiga przestaje się uśmiechać. – Jak się teraz obudzę w nocy, to często dalej stoję w tym pokoju. Wtedy włączam radio i słucham wiadomości. Dzięki temu, że one są co godzina, wiem, ile jeszcze nocy zostało.

Ilan: Zapytajcie mnie, czemu jestem niedobry

Osiedle w Kvar Saba, gdzie Jadwiga i Mordechaj zwany Motkiem mieszkają w pięciopiętrowym klocku, zbudowano tak, że za blokami

rozciągają się małe ogrody. Na obficie zraszanych trawnikach stoją 500-letnie drzewa oliwne, rosną rozłożyste bananowce, kwitną mimozy.

Zanim tu trafiliśmy, spotkaliśmy się z państwem Libersonami w eleganckiej kancelarii Ilana Charskiego – na piątym piętrze betonowo-szklanego biurowca w Tel Awiwie. Libersonowie należą do 2,5 tysiąca klientów starających się o polski paszport z pomocą adwokata.

Ilan ma 58 lat i 40-letnią przepiękną żonę. Prosi, by mówić mu na „ty". Rozmawiamy po polsku – pierwsze osiem lat życia spędził we Wrocławiu.

– W mojej rodzinie prawo praktykuje się od 101 lat, w 1906 dziadek otworzył kancelarię w Buczaczu koło Lwowa, potem prowadził interes tata. Tata skończył Uniwersytet Lwowski. Po wojnie rodzice wyjechali najpierw do Krakowa, potem do Wrocławia, a potem Izræla.

– Dlaczego?

– Brak poczucia bezpieczeństwa, silnie antysemitowska atmosfera była.

– Niech pan nam trochę opowie o dzieciństwie. Jak rodzicom udało się przeżyć?

– Oni się ukrywali u polski partyzant. Ja mam brata, ale miałem też starszą siostrę. Rodzice oddali ją na przechowanie, za pieniądze, do polskiego chłopa. Chłop się upił i wygadał, że ma Żydówkę, przyszli z UPA i moją siostrę zastrzelili w łóżeczku. Dwa i pół roku miała.

Ojciec po tym nie chciał się więcej ukrywać. Chciał wyjść z lasu i niech go zastrzelą. On był taki wypieszczony jedynak z bogatej rodziny. Ale mama była kupiecka córka, odebrała ukraińskie wychowanie, twarda była... 95 lat żyła.

Ilan wygląda, jak przystało na prawnika: biała koszula, błękitny krawat, okulary w drogich oprawkach. Kiedy mówi, składa dłonie na blacie. – Po wojnie, jak mamusia z ojcem mieszkali we Wrocławiu, tate był bardzo wielki adwokat. Wtedy jeszcze nazywaliśmy się Biner, ale tata zmienił nazwisko na polskie, Charski.

– Dlaczego?

– Były pogrom w Krakowie, potem w Kielcach... Klienci tate ostrzegali: lepiej wyjechać. Wyjechaliśmy w 1957. Rodzice, brat i ja. Tata nie mówił w hebra. A dla adwokata nie znać języka to jak bez ręki. Żeby jakoś zarobić, pracował na trzy zmiany jako księgowy. Z przepracowania, z nerwów dostał zawału.

– A ty?

– Mnie się podobało. Nowa szkoła, szybko się nauczyłem mówić w hebra. Jak była wojna Jom Kippur, to już myśleliśmy, że straciliśmy państwo, że grozi trzecie zawalenie świątyni. Ojciec ciągle przewidywał, że będzie trzeba znowu uciekać. Powtarzał: „Ilan, ty znajdź sobie międzynarodową pracę". Więc skończyłem prawo i zacząłem robić w biznesie.

Pierwszym dużym interesem Ilana była hurtownia ryb, potem działał w branży hi-tech. Zainwestował w spółki nowych technologii i kilkakrotnie pomnożył majątek.

– Jak miałem 50 lat, to już nie musiałem pracować. Ale raz przyjechał do mnie brat, który jest naukowcem na uniwersytecie w New Yorku, i on ma paszport izrælski i amerykański, a chciał mieć jeszcze polski. Jedni kolekcjonują Renoira albo Picassa, a mój brat zbiera paszporty, cha, cha! Poszliśmy pod polski konsulat w Tel Awiwie, a tam kolejka, żeby złożyć wniosek o obywatelstwo. Bałagan straszny, ludzie stoją godzinami na słońcu, a urzędnik przyjmuje tylko trzy godziny dziennie. I tylko cztery dni w tygodniu... W piątek nie pracuje, bo już szabat, w sobotę jeszcze szabat, a w niedzielę jest niedziela i chrześcijany też nie pracują. Myślimy, co zrobić, a moja pomoc domowa, co jest z Polski, mówi: „Po co wam w kolejce stać? Jest w Krakowie adwokatka, ona wam zrobi paszport z pominięciem ambasady". I w pięć miesięcy załatwiła dokumenty z Polski.

Teraz Ilan jest polskim obywatelem.

– Idę z dokumentami do konsulatu paszport zamówić, a wszyscy z kolejki mnie pytają: „Jak to załatwiłeś?". Mówię: „W Polsce". Jeszcze tego dnia mam trzy telefony: „Powiedz, jak to się robi?". Zaczęli ludzie przychodzić do mnie po pomoc, przynosić papiery, opowiadać, skarżyć się na konsulat. Godziny to trwało. Żona opowiada: „Chcesz pracować, to zrób sobie biuro". Wynająłem mały pokoik, a po trzech i pół roku mam największą w Izrælu kancelarię od spraw obywatelstwa polskiego!

– Ilu osobom załatwiłeś paszporty?

– 300-400 rodzin. Bo to zwykle jest tak, że jak się występuje o potwierdzenie obywatelstwa dla rodziców urodzonych w Polsce, to i od razu dla ich dzieci, co już są sabra.

– Sabra?

– Sabra to jest Żyd urodzony w Izrælu. To też taki kwiat jest kaktusa, na wierzchu kolczasty i niemiły, w środku bardzo słodki (śmiech). Teraz zrobimy przerwę na papierosa, a potem wy mnie zapytajcie, dlaczego ja taki jestem niedobry adwokat, że mam 2,5 tysiąca spraw, a tylko 400 wygranych...

Jadwiga: Przeżyli ci twarzą do ściany

W Kvar Saba pachną kwiaty i przygotowany przez Jadwigę obiad. Na początek łosoś w czosnku, koprze i migdałach.

– Napiszcie, że żyję dzięki Szymonowi Kowalczykowi – mówi gospodyni.

– Napiszemy. A kto to jest?

– Był, bo już nie żyje, Polak, prosty analfabet, miał przed wojną w Skierniewicach sklep kolonialny. I naprzeciw tego sklepu otworzyli spółdzielnię. I to go za... za...

– Załatwiło?

– Tak! Przyszedł do mojego ojca i mówi: „Ratuj, Ezryjel, bo jestem bankrut!". Ojciec chciał mu pieniądze pożyczyć, ale mama miała lepszy pomysł, bo pożyczyć łatwo, a z czego człowiek odda? Wtedy mamy brat to był największy w Polsce importer kolonialny, w Gdyni, w porcie, miał własną bocznicę kolejową. I mama namówiła brata, żeby dał naszemu Kowalczykowi towaru za 3 tysiące po cenie hurtowej. To były tony! Kowalczyk musiał po domach i piwnicach magazynować, bo mu się nie mieściło w sklepie. Nagle u niego się zrobiła najtańsza kawa, herbata, cukier, orzechy w Skierniewicach!

Pół roku i ta spółdzielnia obok się zamknęła! A u Kowalczyka było tyle pieniędzy, że pytał ojca, co z tym zrobić. To mama mu poradziła: „Kupuj złoto". I potem trochę tego złota nam przywiózł do getta w Warszawie. Założył żydowską opaskę i wszedł do środka. I dzięki temu złotu wyszliśmy razem przez bramę. Ale niedaleko, bo 50 metrów od muru, grupa polskich szmalcowników już krzyczy: „Żydzi, stać! Dawajcie złoto!". Zabrali wszystko, cośmy mieli, i oddali nas esesmanom. A Niemcy wszystkich, mnie, mamę, tatę i brata, zabrali na to miejsce, gdzie jest lotnisko...

– Okęcie.

– Najpierw nas trzymali na ziemi, a potem wszystkich do piwnicy. To było pomieszczenie na jakieś sto osób. Nas tam weszło trzysta. Staliśmy jak śledzie upakowani. Esesman zatrzasnął drzwi i zrobiło się ciemno. I tak to zostało na 12 dni i nocy. Najpierw ludzie płakali, klęli, jęczeli, ktoś krzyczał, ktoś się modlił, potem było coraz ciszej. I na koniec tylko cisza. Jak dwunastego dnia esesman drzwi otworzył i krzyczy: „Raus!", to nikt się nie ruszył. Ludzie pomarli, stojąc. Masa stojących trupów była. Obsikanych, obesranych, śliskich jak glisty... Przeżyli ci, co stali twarzą do jednej ściany. Brata poznałam tylko po tym, że był mały, bo twarzy nie było widać. Byliśmy kupą zgnilizny.

– Napijcie się... – Mordechaj Liberson nalewa nam koniak do kieliszków.

Idziemy na balkon zapalić.

Ilan: Co jest ważniejsze dla urzędnika?

Spełniliśmy prośbę mecenasa Charskiego i zapytaliśmy go, „dlaczego jest taki niedobry adwokat". Z zajmującego cały sąsiedni pokój archiwum Ilan wyciągnął dwie teczki.

Moshe Dotan, urodzony w 1949 roku w Świdnicy, syn Hermana i Lai, zgłosił się do adwokata trzy lata temu. Za pośrednictwem polskiego prawnika reprezentującego w kraju kancelarię Charskiego poprosił wojewodę dolnośląskiego o konieczne do uzyskania paszportu poświadczenie obywatelstwa. Wojewoda odmówił, uznając, że Dotan utracił obywatelstwo, gdyż „podpada" pod uchwałę Rady Państwa z 1958 roku „o osobach wyjeżdżających na pobyt stały do państwa Izræl".

Uchwała była specjalnym prawem sankcjonującym opuszczenie Polski przez Żydów wyjeżdżających do Izræla na zawsze. Musieli zostawić paszporty, w zamian dostawali tzw. dokumenty podróży – w jedną stronę. Dotan i jego rodzice też taki dostali.

Kiedy w 2004 r. wojewoda odmówił mu obywatelstwa, Mosze odwołał się od tej decyzji do prezesa Urzędu ds. Repatriacji i Cudzoziemców. Nic nie wskórał, więc poszedł do sądu.

W 2005 roku Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie uznał, że przepis z 1958 roku nie odbiera Dotanowi obywatelstwa, czyli paszport mu się należy.

W uzasadnieniu sędziowie stwierdzili, iż cała ta „eksmisyjna" uchwała Rady Państwa to jawne bezprawie.

Prezes Urzędu do spraw Repatriacji i Cudzoziemców mimo to odwołał się, sprawa trafiła więc do NSA. I Dotan jeszcze raz wygrał. We wrześniu ubiegłego roku został Polakiem.

– A teraz patrzcie na tę teczkę – mecenas Charski wyciąga dokumenty Davida Bluzera.

Urodzony w 1939 roku, syn Moszki i Chany, ostatni adres w Polsce: dolnośląska Bielawa, ulica Stalina. Historia jest identyczna jak pierwsza: wojewoda i URiC odmawiają obywatelstwa, sądy dwóch instancji nakazują je potwierdzić (orzeczenie NSA z 14 grudnia 2005).

Puenta jednak jest inna: dwa miesiące po prawomocnym wyroku prezes Urzędu do spraw Repatriacji i Cudzoziemców znów odmawia Bluzerowi potwierdzenia polskości i znów powołuje się na „uchwałę eksmisyjną".

– To ja się pytam: co jest ważniejsze dla polskiego urzędnika: komunistyczne prawo o wydalaniu ludzi czy aktualne wyroki sądów w demokratycznym porządku wydane? – mecenas Charski zaczyna gestykulować. – Dlaczego chociażby z powodów patriotycznych i moralnych ci urzędnicy nie mogą interpretować przepisów tak, jak chce sąd, ale tak, jak chce antysemickie, komunistyczne prawo? Oni się znęcają nad starszymi ludźmi! Jak można robić takie świństwo? Premier Kaczyński – ja mam wycinki z polskiej prasy – mówi: chcemy obywateli Polski coraz więcej sprowadzić... I co z tego, kiedy administracja premiera nie chce chyba, żeby tymi obywatelami byli Żydzi...

– Powiedz nam, Ilan, ile ty masz takich odmów wbrew wyrokom sądów?

– Setki! Ja wam tu wszystko przygotowałem. Pani Kasia!

Wchodzi jasnowłosa, świetnie mówiąca po polsku asystentka Ilana. Na stole lądują rogaliki z makiem i – na oko – dwa kilo dokumentów.

– Na popołudnie zaprosiłem moich klientów – mecenas uśmiecha się, wręczając nam papiery. – Sami powiedzą, jak to jest.

Jadwiga: Getto do Treblinki, a myśmy zostali

Jako drugie danie Jadwiga Liberson podaje wołowinę w śliwkach i marynowane buraczki.

– To, żeśmy przeżyli w tej piwnicy na Okęciu, to był cud boski, ale drugi był zaraz po tym, jeszcze większy. Wpakowali nas esesmani na wozy, takie cygańskie furmanki, i wywieźli do lasu. Dali każdemu łopatę, by sobie grób kopał, postawili przy nas granatowego policjanta do pilnowania: miał zawołać Niemców, jak doły będą gotowe. Wtedy każdemu kula.

Zaczęłam kopać, ale ojciec mówi, on miał taki piękny tenor: „Dziecko, nie kop. Po co się męczyć i tak nas zaraz zabiją". Wiecie, jest granica, za którą człowiek dalej nie chce żyć. Więc odłożyłam łopatę i też siadłam na ziemi i już tylko czekaliśmy na śmierć. A wtedy słyszę taki krzyk groźny: „Żydzie! Chodź tutaj!".

Ten policjant się okazał synem przedwojennego komendanta w Skierniewicach. Ten komendant bardzo dużo pił, miał długi, eksmitować go mieli z mieszkania i wtedy mój ojciec mu pomógł. Nie mógł dać pieniędzy policjantowi, żeby nie była to łapówka, więc mu wykupił ten lokum. A tamten miał oddawać stopniowo pieniądze. Oddawał tyle co nic: po dwa złote na miesiąc, tak żeby honorowo było. No i ten syn właśnie nosił nam złotóweczki. I on

w tym lesie ojca po głosie musiał poznać, bo przecież po wyglądzie to my byliśmy gorzej niż zwierzęta. Jak tata podszedł, to policjant cicho spytał tylko: „To jest pan, panie Kuczyński?".

Tata potwierdził i on nas uwolnił: całą rodzinę i jeszcze kilka dzieci. Dał skierowanie do getta w Rawie Mazowieckiej. Z pieczątką. Z hakenkreutzem. A getto w Rawie to był raj...

– Bo było co jeść?

– Bo było jakieś życie w ogóle. Nienormalne życie, ale było.

– Który to był rok?

– 1942, lato.

Getto rawskie nie było wtedy jeszcze całkowicie strzeżone. W niektórych miejscach od miasteczka oddzielał je tylko drewniany parkan.

– Mama uszyła sobie woalkę żałobną, żeby nikt nie poznał, że Żydówka, i wychodziła przez płot kombinować jedzenie. Rozpoznała w miasteczku skierniewiaka, przedwojennego dyrektora poczty, nazwiskiem Wieteski. Wpierw mamy nie poznał, ale jak uchyliła woalkę, to aż krzyknął: – Pani Dora! Pani żyje?!

Wietescy mieli koło getta folwark i tam się zaczęło nasze ukrywanie na polskiej stronie. Jak jesienią całe getto pojechało do Treblinki, myśmy zostali na poddaszu stodoły. Raz na czas jakiś córka Wieteskiego przynosiła nam jeść. Dobrze było, tylko musieliśmy zacząć szukać jakiegoś domu murowanego, bo idzie jesień, a my na deskach, bez ciepłych ubrań. Rodzice postanowili się dostać do Skierniewic, tam muszą być jacyś znajomi sprzed wojny... Ale brat

miał bardzo zły wygląd, nie można z nim było na ulicę, zaraz by szmalcownicy poznali Żydka... No to mama wpadła znów na pomysł: Wietescy kupili trumnę, włożyliśmy do niej braciszka, trumna na wózek, obok mama w woalce, tata ze mną za rękę i tak poszliśmy 20 kilometrów do Skierniewic, że niby na pogrzeb.

– I znajomi sprzed wojny pomogli?

– Pomógł profesor, mój szkolny polonista, też akowiec. Ulokował nas na Cichej, pod szóstką. Spokojne przedmieście, z jednej strony ulicy domy, z drugiej zboże, dalej las. Dom był Anieli Dąbrowskiej. 50 lat mogła mieć, sprzątała w magistracie. Zgodziła się nas wziąć trochę za pieniądze, a trochę, bo to był dla niej zaszczyt, że ją pan profesor o coś poprosił. Miała męża w stalagu w Niemczech. 22 miesiące tam przeżyliśmy. Był kontrakt, że za każdy tydzień przechowywania 10 rubli w złocie, a jak przeżyjemy wojnę, to dwa razy tyle, ile się uzbiera. Pieniądze wypłacał za nas Szymon Kowalczyk. Ale Aniela i tak nie wytrzymała do końca. To nie była dobra kobieta...

Ilan: Są klient dla pieniędzy i są z sentymentu

W kancelarii Ilana siadają Asher Zaltzman i Reznik Pinchas z synem Jakobem.

Asher – 57-letni kierownik kliniki geriatrycznej w Hajfie – nie mówi po polsku. Jego rodzina zostawiła w Legnicy trzypiętrową kamienicę i sklep. O stwierdzenie polskości wystąpił półtora roku temu. Dostał już odmowy od dwóch instancji – wojewody dolnośląskiego oraz Urzędu ds. Repatriacji i Cudzoziemców. Powód: urodził się jako obywatel polski, ale wyjeżdżając z rodzicami w 1957

roku, podpadł pod późniejszą o rok „uchwałę eksmisyjną", więc już obywatelem nie jest.

Reznik Pinchas – z zawodu szofer, emigrant z 1960 roku, który niczego wartościowego w Polsce nie zostawił, obywatelstwo polskie dostał już na pierwszym etapie – zgodził się na to wojewoda. Ale – Ilan prosi, byśmy zwrócili na to uwagę, i podaje kolejne papiery – jego syn Jakob obywatelstwa nie dostał.

– No, toż to jest totalna bzdura! Syn wyjeżdżał razem z rodzicami – tego się już nie da wytłumaczyć. Ja takich paradoksów mam dziesiątki. Jak mam to inaczej nazwać niż bałagan, niekompetencja, zła wola! Chodźcie na papierosa, bo się zdenerwowałem.

– Ilan, czy twoim zdaniem polscy urzędnicy robią trudności z powodów, hm... rasowych? – pytamy przy pierwszym dymku.

– Dla wszystkich tutaj to jest raczej ewidentny rzecz. Było rok temu spotkanie w hotelu King David w Jerozolima między prezydentem Kaczyńskim i środowiskiem emigranckim i prezydent powiedział: ci ludzie nie stracili obywatelstwa!

Ja po tym jadę do Warszawy pytać, jakim prawem, jak prezydent to mówi, urzędnicy ciągle obywatelstwa odmawiają. W odpowiedzi słyszę od pana urzędnika: „W Polsce nie ma monarchii, a prezydent nie jest monarchą". To prawdę mówi, ale też nie jest monarchą pan urzędnik, a tak się zachowuje, jakby był!

– Ilan, my trochę rozmawialiśmy z ludźmi w Warszawie o tej sytuacji. Jest taka opinia, że jak nasz kraj był biedny i pod sowieckim butem, to twoi klienci bez żalu oddali paszporty. A jak

jesteśmy w Unii i nieruchomości w Polsce drożeją, to sobie przypomnieli...

– Są różne przypadki. Są klienci dla pieniędzy, są tylko z sentymentu, są tacy, co ich sam nie do końca rozumiem, bo ich więcej moje usługi kosztują niż warte to, co w Polsce zostawili. Ale chcą odzyskać domy po ojcach. Mają prawo próbować, a ja jestem zawsze po ich stronie.

Jadwiga: Przyszedł wreszcie styczeń

Na deser Jadwiga Liberson stawia sałatkę arbuzowo-winogronową z prażonymi orzeszkami piniowymi.

– U Anieli Dąbrowskiej mieliśmy dwie skrytki. Na co dzień chowaliśmy się w stryszku nad spiżarką. Gdy nikogo nie było na ulicy, schodziliśmy na dół, jedno z nas zawsze patrzyło przez okno, czy przy furtce pusto. Jak ktoś przechodził, to my szybko na drabinę. Ostrzegała nas Muszka, kundelek, co z nami mieszkał. Muszką go braciszek mój nazwał, bo muchami go karmiliśmy. Była druga skrytka jeszcze, w sieni pod podłogą, trochę większa od trumny, żeby się tylko położyć płasko, stolarz zrobił specjalnie... Kiedy ktoś szedł ulicą w stronę naszą, to Muszka przybiegała, łapała nas za nogawki i było jasne, że trzeba na strych. My do góry, a ona po izbie na dole biega i szczeka, szczeka i biega, specjalnie hałas robi, żeby nie słychać było, jak się układamy w ukryciu...

Raz Muszka przybiega, cała spieniona, za nogawki szarpie, ale nie w stronę spiżarki, tylko do sieni ciągnie. I widać, że zwierzę w furii takiej, to coś wyjątkowego być musi. Aniela pomogła nam się pod podłogę schować, ledwo stół ustawiła na klapie, pod którą my

leżymy, a silna była baba, sama stół dźwigała, już walenie do drzwi i słychać: – Wo sind die Juden?!

Przez szpary w deskach widzę z dołu: esesman z volksdeutschem. Aniela pyta, o co chodzi, a volksdeutsch tłumaczy: – Gdzie Żydy?!

„Teraz nie ma Żydów" – Aniela na to, a oni psa wpuszczają. I ten pies węszyć zaczyna tuż nad nami. I wtedy Aniela, sprytna, mówi: „Dobry pies, godzinę temu mięso tu położyłam i jeszcze czuje...". Niemiec zbił psa. „Kiedyś Żydów znajdował – mówi volksdeutsch. – A teraz mięcha tylko chce". Przeszukali spiżarnię i stryszek, jakbyśmy się tam chowali, to koniec.

– Dlaczego Aniela nie była dobrą kobietą?

– Ciężko nas traktowała. Za nasze złoto kupowała chleb biały, to go prędzej świniom dawała, a nam – kartofle w łupinach. W końcu ją los za to pokarał i jej te świnie chlebem pasione ktoś ukradł. A już najgorzej, kiedy przychodzili do niej mężczyźni na wódkę. Aniela harcowna była, to pili razem po dzień-dwa, krzyki, ona piszczy, a my wtedy na stryszku. Bez wody, bez sikania... W takich razach Muszka zaczynała tych gości za nogawki szarpać, żeby już szli. Jak ją Aniela nie kopnie.

– Wie pani, że ta Aniela za ukrywanie was zostałaby natychmiast zastrzelona przez Niemców? Może zapijała swój strach...

– Może. Ale nas w końcu wydała. To było wtedy, gdy zaczęło się polskie powstanie i z Warszawy ci, co z Niemcami pracowali, wycofywali się na zachód. Jeden granatowy policjant, Tadeusz, u Anieli się zatrzymał i został jako ten... Jak to chłop u baby (śmiech). I ona mu dość szybko powiedziała, że ma Żydów schowanych na

strychu, że na pewno mamy więcej złota, więc trzeba nas pomęczyć, złoto wydobyć, a potem zabić. Tylko że to był już 1944 rok i ten Tadek sobie kombinował, czy mu warto. A myśmy poczuli, co się święci, i uciekli do sąsiada, innego taty znajomego sprzed wojny, żeby nas przechował chociaż jedną noc. Potem jeszcze jedną i jeszcze jedną, aż przyszedł styczeń i ruskie tanki. I mogliśmy wyjść, wrócić do domu. Pusty stał, podłogi pozrywane, widać złota szukali, bo każdy w Skierniewicach wiedział, że Ezryjel Kuczyński był bogaty Żyd.

– Pani Jadwigo, ten dom stoi w Skierniewicach. Do niedawna była w nim przychodnia, teraz jest pusty. Czy pani chce go odzyskać?

– W 1968 roku odwiedziliśmy z Motkiem Skierniewice, ja się wtedy pytałam: co z domem naszym? Wtedy jeszcze tam mieszkali ludzie. Powiedzieli mi w magistracie, że jakbyśmy go chcieli, to najpierw musimy zwrócić państwu pieniądze za administrowanie. Już wtedy one były większe niż ten dom warty, a co dopiero teraz...

– Teraz ceny nieruchomości w Polsce coraz wyższe. Chcecie tego domu?

– Nie.

– A macie dzieci?

– Mamy córkę, studiuje w Bukareszcie...

– Może chcecie tego dla niej?

– Nie chcemy.

– To po co wam polskie obywatelstwo?

– Bo to ojczyzna nasza, kości przodków naszych... My w domu po polsku mówimy, córkę też polskiego nauczyłam, dlaczego nie możemy być Polakami, kiedy się nimi czujemy?

Jachet i Mordechaj Libersonowie złożyli wniosek o potwierdzenie obywatelstwa dwa lata temu. 29 maja br. wojewoda łódzki odmówił.

Dyrektor Sora: Co oni zrobili dla Polski?

Chcieliśmy zapytać o sprawę Libersonów dyrektora generalnego Urzędu ds. Repatriacji i Cudzoziemców, ale Jan Węgrzyn odmówił spotkania. Zgodził się pomówić dyrektor departamentu repatriacji i obywatelstwa Mateusz Sora. Od razu zaznaczył, żeby nie traktować jego słów jako oficjalnego stanowiska, bo „nie ma upoważnień".

– Ale widzę, że jesteście panowie dobrze obeznani z tematem, to wam powiem: dopóki w tej sprawie nie zapadnie inna decyzja, jesteśmy zmuszeni podejmować osobne decyzje w każdym jednostkowym przypadku. To wymaga czasu, szukania starych dokumentów, wymiany korespondencji między państwami. Efekty pracy są różne: wiele razy potwierdziliśmy obywatelstwo, wiele razy odmówiliśmy...

– NSA zakwestionował wszystkie wasze odmowy, które rozpatrzył. Mimo to odmawiacie kolejnym osobom, wciąż powołując się na przepis z 1958 roku.

– Bo tamta uchwała Rady Państwa jest dla mnie, jako dla urzędnika, obowiązującą normą prawną, czy się to panu Charskiemu podoba, czy nie.

– A wyroki sądu nie są prawem?

– W Polsce nie ma instytucji precedensu. NSA nie tworzy normy prawa. I zawsze jest możliwość, że w którymś przypadku sąd przyzna rację nam.

– Mamy wrażenie, że polska administracja prowadzi z Charskim wojnę. Wy chcecie jak najwięcej jego klientów odesłać z kwitkiem, on – zmusić was sądownie do przyjęcia każdego odrzuconego wniosku. Wy udowadniacie, że i tak nie ustąpicie. Ofiarami tych zmagań są ludzie, którym nie udaje się dożyć finału.

– Nie mogę tego komentować na takim stopniu ogólności, bo jestem tylko urzędnikiem. Ale chyba rozumiecie, że tu jest potrzebna decyzja polityczna. Jak będzie dyrektywa: potwierdzić tym ludziom obywatelstwo bez wdawania się w szczegóły, to będzie inna sytuacja.

– A teraz jest dyrektywa: nie potwierdzać?

– Nie ma decyzji politycznej pozytywnej. I chyba rozumiecie, że to też jest decyzja. Tylko tyle mogę powiedzieć. To nie jest sprawa nowa! Kolejne rządy, od lat 90., wiedzą o tych emigrantach i żaden kwestii nie rozwiązał.

– Bo władze obawiają się roszczeń majątkowych tych ludzi.

– Nie potwierdzam, nie zaprzeczam. Ale pamiętajmy o kontekście historycznym. Ci obywatele chcieli budować narodowe państwo Izræl. I je wybrali. Są Żydzi, którzy zostali w Polsce, też dokonując trudnego wyboru. Marek Edelman z Polski nie wyjechał, a wyjechał niejaki Salomon Morel, tak? Wyborem klientów pana mecenasa Charskiego było państwo żydowskie. Te osoby nie poczuwały się do obowiązków ponoszenia ciężarów w kraju. A

teraz, kiedy jesteśmy w Unii, przypomniały sobie o ojczyźnie. Zapytajmy, panowie – pamiętacie słynne pytanie Kennedy'ego: „Co ty zrobiłeś dla Ameryki?". Pytam: co zrobili dla Polski?

Motek: Nie byłem komunistą, byłem lekarzem

Wojewoda łódzki, odmawiając Mordechajowi Libersonowi, powołał się na przepisy z 1920 roku, które pozwalały stwierdzić „wygaśnięcie obywatelstwa" w przypadku osób zapisujących się do obcych armii. „Wstąpienie przez obywatela polskiego do służby w wojsku obcym połączone było w zasadzie ze złożeniem przysięgi wierności państwu obcemu, co stanowiło naruszenie obowiązku wierności wobec państwa polskiego" – pisze w uzasadnieniu łódzki dyrektor wydziału spraw obywatelskich.

– Przecież ja byłem żołnierzem polskim! – Motek wyciąga swoje zdjęcie w mundurze podporucznika LWP i zaświadczenie o przyznaniu w 1946 roku Srebrnego Krzyża Zasługi.

– Byłem lekarzem wojskowym – mówi.

– Za co ten medal?

– A za ratowanie rannych żołnierzy. Po nalocie na naszą jednostkę w Warszawie. Marszałek Żymierski mi przyznał.

Wojenna historia Motka przywodzi na myśl piosenkę Jacka Kaczmarskiego „Opowieść pewnego emigranta". Piosenka zaczyna się tak:

Nie bój się, nie zabraknie. To krajowa czysta.

Ja, widzisz, przed wojną byłem komunista.

Bo ja chciałem być kimś, bo ja byłem Żyd.

A jak Żyd nie był kimś, to ten Żyd był nikt.

Może stąd dla świata tyle z nas pożytku,

Że bankierom i skrzypkom nie mówią – ty żydku!

Ja bankierem nie byłem ani wirtuozem,

Wojnę w Rosji przeżyłem, oswoiłem się z mrozem

I na własnych nogach przekroczyłem Bug,

Razem z Armią Czerwoną, jako politruk.

Ja byłem jak Mojżesz, niosłem Prawa Nowe,

Na których się miało oprzeć odbudowę...

Opowieść Mordechaja Libersona biegnie następująco. Urodzony na kresach II RP, w powiatowym Kowlu, ucieka na wschód w czerwcu 1941 roku, gdy Wehrmacht zajmuje polskie ziemie okupowane od dwóch lat przez Związek Radziecki.

– Wyjechałem na osiem godzin przed zamknięciem stacji kolejowej. Miałem 22 lata, zapasową koszulę, a w kieszeni świadectwo maturalne. Błagałem mamusię i ojczyma, by uciekali ze mną, ale tata był chory na płuca i bał się podróży. Nie mogłem im wytłumaczyć, że Niemcy to śmierć, liczyli, że jakoś to będzie. Rozstrzelali ich oboje i siostrzyczkę moją na trzeci dzień po zajęciu

Kowla. A ja dojechałem do Taszkientu i poszedłem na medycynę. Radziecka własť dała akademik, stypendium i kartki na chleb. Przysługiwało 800 gram. Studenci mogli je odebrać w formie pół dużego chleba albo ośmiu precli po sto gram. A na bazarku za jeden precel dawali jeden chleb. Więc za osiem precli miałem osiem chlebów, to się najadłem do syta i jeszcze mogłem nadwyżkę chleba sprzedać. No i wsadzili mnie w 1944 za spekulację – dostałem dwa lata.

W więzieniu, już po kilku miesiącach, Mordechaj nabawił się malarii.

– Byłoby po mnie, gdyby nie mobilizacja: miałem przydział – jako felczer po trzech latach medycyny – na odcinek japoński. Ale ja chciałem do Polski.

Pomógł major Armii Czerwonej, Polak, który przyjechał do Taszkientu na urlop. Jednym telefonem zamienił skierowanie z Władywostoku na Warszawę. I tak podporucznik Liberson w mundurze krasnoarmiejca zaczął służbę w jednostce lotniczej 1157 na Żoliborzu.

– Był pan komunistą? – pytamy.

– A gdzie tam... Przecież ja już wiedziałem, czym to pachnie, ledwo się im w Taszkiencie wywinąłem.

Mordechaj i Jadwiga poznali się przez wspólnych znajomych – żydowską rodzinę Szauberów, gorliwych komunistów. Motek – wtedy już oficer LWP – był przystojnym brunetem w zielonej czapce maciejówce. Jadwiga zaś była znaną w Skierniewicach pięknością.

– Tak śliczna, taka zgrabna, wesoła, elokwentna, do tańca i do różańca. I trochę chudsza niż...

– Motek! Ty nie opowiadaj panom takich...! Ty o ślubie mów!

– Ślub dał nam rabin, po prostu w mieszkaniu. Wypiliśmy wino, dałem Jadzi obrączkę, stłukliśmy kieliszek i już.

Libersonowie wyjechali w grudniu 1948 roku. Na dworzec w Skierniewicach odprowadziła ich Muszka.

Jadwiga: – Nie mieliśmy już majątku, nie mieliśmy znajomych. Z 5 tysięcy skierniewickich Żydów zostało 15 osób. A jeszcze nam Polacy przysyłali listy z czarną łapą odciśniętą, nocami ktoś strzelał pod naszym domem, panowie sobie wyobrażacie, jak myśmy się po trzech latach ukrywania bali wszystkiego... W 1947 szłam ulicą i widzę: dzieci się bawią w „Żyd cię złapie". Podchodzę, pytam: „Kto to jest Żyd?". A malec mi mówi: „Taka jakby małpa, rogi ma...". Ja na to: „Wiesz, że jestem Żydówką?". A mały w śmiech: „Pani jest przecież człowiekiem, cha, cha".

Motek: – Powstawało nowe państwo Izræl, byliśmy potrzebni.

Mordechaj okazał się potrzebny jako lekarz wojskowy. Potem zrobił specjalizację i został ginekologiem. Teraz epizod w izrælskiej armii przeszkodził mu w uzyskaniu poświadczenia obywatelstwa.

– Ja to odbieram jako wielką niesprawiedliwość. Przecież nigdy Polski nie zdradziłem, nigdy! Tu służyłem jako lekarz, bo taka była potrzeba: trwała wojna o niepodległość. Ludzie prosto ze statków szli na front z Arabami, mnie kazano iść do szpitala, leczyłem ludzi.

A teraz mnie pan wojewoda podejrzewa, że naruszyłem obowiązek wierności. I jeszcze pisze, że za mało dokumentów dostarczyłem.

Dyrektor wydziału spraw obywatelskich w Łodzi napisał: „(…) Nie dostarczył dokumentu potwierdzającego, iż podjął starania o wydanie zaświadczenia z Sił Obrony Izraela, które dotyczyłyby pełnienia czynnej służby w wojsku izrælskim, nie dostarczono także dokumentu informującego o odmowie wydania wskazanego wyżej oświadczenia. W związku z powyższym (...) nie jest możliwe wydanie poświadczenia posiadania obywatelstwa polskiego".

W tym samym piśmie odmownym łódzki urząd wymienia dokumenty, które Motek dostarczył:

• dokument stwierdzający posiadanie obywatelstwa izrælskiego;

• kopia paszportu izrælskiego;

• wyciąg z rejestru ludności Izraela;

• zaświadczenie władz wojskowych Izraela;

• oświadczenie odnośnie do służby w Wojsku Polskim;

• zaświadczenie z USC w Warszawie;

• akt małżeństwa;

• świadectwo szkolne.

I tak dalej – tuzin dokumentów.

– I one wszystkie teraz nieważne, bo nie ma dokumentu, który by rozstrzygnął ostatecznie, czy mój klient służył, czy nie służył czynnie

w wojsku izrælskim i kiedy – złości się Charski. – Przecież on nie ukrywa, że służył! Niech napiszą wprost: – Nie chcemy cię, Żydzie, i już!

Dyrektor Sora: To jest rodzaj hucpy

Dyrektor Sora z Urzędu ds. Repatriacji i Cudzoziemców zna argumenty adwokata z Tel Awiwu i odpowiada bardzo powoli: – Klienci mecenasa Charskiego dobrowolnie wybrali nową ojczyznę i poświęcili jej kilkadziesiąt lat swojej pracy. To niech może teraz stamtąd głównie oczekują benefitów. Stworzyli piękne państwo, są jego obywatelami. Po co im podwójne obywatelstwo? Może należy się zastanowić nad dobrą reklamą tej akcji robioną przez mecenasa? W końcu jakie są efekty: my mamy tylko więcej pracy, a on – więcej pieniędzy. Ofensywa prowadzona przez jego kancelarię, szum, który on wokół tego wszystkiego czyni, to jest rodzaj hucpy. Jego firma poprzez różne naciski, także – jak widzę – medialne, chce zmusić administrację polską do orzekania zgodnie z interesami jego klientów. Z jednej strony nie dziwię mu się. Zarabia na prowadzeniu spraw i oczywiście działa w interesie tych emigrantów, w każdym razie w ich interesie finansowym. Ale wolno mi chyba zaznaczyć, że nie podoba mi się takie widzenie stosunków obywatel – państwo polskie, w którym państwo ma tylko obowiązki, a obywatel – wyłącznie przywileje.

Mecenas Charski odpowiada szybko i głośno: – 3 miliony Żydów zostawiły w Polsce swoje domy, sklepy, fabryki. Całe miasteczka! Z tych 3 milionów prawie wszyscy zginęli. To nawet jak ci nieliczni ocaleni dostaną obywatelstwo i ci nieliczni z nielicznych, co mają jakieś testamenty czy inne papiery, odzyskają swoje majątki z powrotem, to – ja pytam – co wielkiego się stanie dla Polski?

Ilan i jego polski współpracownik Łukasz Piotrowski szacują, że co czwarty z 4 tysięcy Żydów ubiegających się w tej chwili o potwierdzenie obywatelstwa będzie chciał restytuować własność.

W przyszłości ta liczba na pewno wzrośnie: w latach 50. i 60. wyemigrowało z Polski do Izraela ok. 100 tysięcy osób. Już teraz Charskiemu i Piotrowskiemu przybywa około 100 klientów miesięcznie.

– Według nas jeszcze żaden z nich nie odzyskał nieruchomości w Polsce, ale my się odzyskiwaniem nie zajmujemy – tłumaczy Piotrowski, gdy spotykamy się w jego maleńkim biurze na Mokotowie. – Po załatwieniu obywatelstwa odsyłamy osoby do kancelarii specjalizujących się w reprywatyzacjach.

Mecenas Stachura: Zmieńmy temat

Jedna z tych kancelarii to biuro adwokata Jana Stachury na Wilczej. Mecenas odzyskuje dla swych klientów kamienice w najlepszych punktach Warszawy: Marszałkowska 58, Chmielna 1/3 itd.

– Ma pan klientów z Izraela?

– Oczywiście. Głównie emigrantów z czasów wojny i po wojnie.

– Ile nieruchomości pan dla nich odzyskał?

– Dotąd dziesięć takich przypadków, może kilkanaście... Nie prowadzę statystyk wyodrębniających spośród moich klientów tych wyznania mojżeszowego – uśmiecha się mecenas.

Statystyk tego typu nie prowadzi nikt, ale Piotr Rytka-Zandberg, dyrektor ds. restytucji i zarządzania nieruchomościami w stołecznej

gminie żydowskiej, mówi, że w całym kraju Żydzi (w większości ci nieprzerwanie mieszkający w Polsce) odzyskali „kilka tysięcy nieruchomości". Odzyskaliby więcej, bo mają odpowiednie dokumenty, ale restytucja nieruchomości to droga przez mękę bez względu na wyznanie osoby domagającej się zwrotu.

Trzeba udowodnić prawo do spadku, potem uzyskać „stwierdzenie nieważności nacjonalizacji" w urzędzie, który nacjonalizacji dokonał (trwa to kilka lat). W tym czasie można już wpisać do ksiąg wieczystych „ostrzeżenie o roszczeniach" i wystąpić do skarbu państwa oraz ewentualnych późniejszych właścicieli prywatnych o odszkodowanie za korzystanie z nieruchomości. A dopiero potem zaczyna się właściwa reprywatyzacja.

Pytamy mecenasa Stachurę, czy odzyskiwanie majątków dla Żydów wiąże się z jakimiś dodatkowymi emocjami.

– Ze strony urzędów ospałość i niechęć do podejmowania decyzji nie odbiega od standardowej... Pewne uwagi można usłyszeć ze strony najemców lokali, gdy dowiadują się, że jest żydowski właściciel.

– Jakie uwagi?

– Wolałbym tego tematu nie kontynuować.

Ilan: Porozmawiam w sprawie publikacji

W marcu br. 11 izrælskich adwokatów z Charskim na czele wystosowało protest do MSZ, kancelarii premiera, ambasady polskiej w Izrælu itd.

„Reprezentujemy tysiące klientów, obywateli polskich, którzy przyjechali do Izræla po II wojnie światowej. (...) Nasi klienci, których rodziny żyły przez pokolenia na terenie Polski, zostali zmuszeni do opuszczenia ziemi w ucieczce przed antysemicką atmosferą, jak panowała w Polsce za czasów rządów komunistycznych. Z przykrością musimy stwierdzić, że Departament ds. Repatriacji i Cudzoziemców utrudnia proces potwierdzania obywatelstwa naszych klientów bez żadnych podstaw moralnych i prawnych.

Trudno nie dojść do wniosku, że sytuacja ta wynika z negatywnej polityki w tej sprawie. Wspomniane podejście zaskakuje i oburza na tle przychylnego podejścia prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego, które znalazło wyraz w czasie jego wizyty w Izrælu we wrześniu 2006 roku. Na spotkaniu z pochodzącymi z Polski Izrælczykami prezydent mówił o krzywdzie, jaką wyrządzono Żydom polskim, wspominając o przymusie podpisywania dokumentu o zrzeczeniu się obywatelstwa i podkreślając, że wszyscy Żydzi, którzy przyjechali do Izræla z Polski, mają pełne prawo do potwierdzenia obywatelstwa".

Protest pozostał bez odpowiedzi.

– Panie mecenasie Charski – zaczynamy po przerwie na papierosa. – Pan już ma paszport RP, to pogadajmy jak Polak z Polakiem. Ładnie tak szkalować ojczyznę w świecie?

– A ładnie dręczyć ludzi, przeciągać sprawy po dwa-trzy lata, ignorować sądy?

– Nieładnie i dlatego to się zmieni – obiecuje Maciej Kozłowski, pełnomocnik ministra spraw zagranicznych do spraw stosunków polsko-żydowskich, były ambasador Polski w Izrælu. –

Opracowujemy system, który uprości procedury, mocno je skróci i zadowoli starających się o poświadczenie. Pracują nad tym MSZ, Urząd Repatriacji, wojewoda mazowiecki i moja skromna osoba. Udało nam się wyprostować najważniejsze zawiłości i za kilka tygodni będą widoczne zadowalające zmiany.

– Może w takiej sytuacji lepiej nie publikować tego ogłoszenia? – pytamy Charskiego o wspomniany na początku tekst „Panie Premierze Jarosławie Kaczyński!...".

– Moi klienci czekają tyle lat, mogą zaczekać kilka tygodni. Ale bym chciał widzieć choć cień dobrej woli z polskiej strony. Bo po moim ostatnim spotkaniu z pan dyrektor Sora i z państwo z urząd wojewódzki mazowiecki było tak, że przez kilka tydzień sprawy szybko szły, a potem znowu: trudności i trudności. Jedna klientka nie może dostać obywatelstwo, bo w dokumentach starych raz jest Ester, a raz Estel. A to się po prostu różnie z hebra na łacińskie litery tłumaczy, ale miasto się zgadza, data urodzenia się zgadza, tylko się urzędnikowi jedna literka nie zgadza. A inne państwo zawarli tradycyjny ślub przez spisanie ketuba. To taki ślubny dokument. jakby intercyza. Dwa tysiące lat Żydzi robili małżeństwa przez ketuba i wszyscy to uznawali, tylko teraz urzędnicy w Warszawie znaleźli preteksta...

– Ilan... daj już spokój. Wiemy, że masz trudności z urzędami, ale oni mówią, że będzie lepiej. Ty wiesz, ile w Polsce trzeba wypisać kwitów, żeby przyłączyć prąd do altanki?

– No dobrze... Ja porozmawiam z moi klient, żeby nie publikować jeszcze to ogłoszenie. Ale ludzie są bardzo rozgoryczone.

– Jest pan rozgoryczony? – pytamy na pożegnanie Mordechaja Libersona.

– Przykro mi jest.

– Jest pan rozgoryczony? – pytamy Ashera Zaltzmana, tego od kliniki geriatrycznej w Hajfie.

– Ja bardzo kocham Polska i nie chcę źle mówić. Kupiłem dom w Zakopane. Wierzę, że jeszcze dostanę obywatelstwo.

– Jest pani rozgoryczona? – pytamy Jadwigę.

– Jestem.

Tekst ukazał się w „Wyborczej" w lipcu 2007 r.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Przez dolinę elfów. Szwajcaria na rowerach

Jedziemy trasą, którą niemal 200 lat temu przemierzał lord Byron. On koniem, my – rowerem.

IRENA CIEŚLIŃSKA, PIOTR CIEŚLIŃSKI

FOT. PIOTR CIEŚLIŃSKI

W Szwajcarii większość tras rowerowych przypomina rollercoaster. Pociesza nas to, że moc, jaką zużyjemy, wjeżdżając pod górę, potem odzyskamy, gdy będziemy śmigać w dół.

Nasza wiedza o Szwajcarii jest jak ementaler pełen dużych dziur. Ale tempo poruszania się rowerem jest na tyle wolne, że można pod drodze wiele zauważyć. Nikt się nie dziwi, gdy się zatrzymujesz i pytasz, choćby tak: – Na czym polega wasza szwajcarskość?

W tym kraju mówią w kilku językach. W jednej wiosce dzieci wołają po francusku, a w sąsiedniej już po niemiecku czy włosku. A

różnojęzyczne kantony są pod wpływem odmiennych kultur; żyją tu katolicy i protestanci.

– Z tym językiem to ciekawa sprawa – mówi Michell, kryminolog sądowy, który denatów rozpoznaje po zębach, a po południu wsiada na rower i pozbywa się stresu. Spotykamy go przy pomniku Charliego Chaplina w Vevey nad brzegiem Jeziora Genewskiego (albo jeziora Lac Léman, jak powie francuskojęzyczny mieszkaniec).

200 lat świętego spokoju

Zamek Chillon w Montreux zbudowany na skalnej wyspie tuż przy brzegu jeziora w promieniach zachodzącego słońca kojarzy się z disnejowskim kiczem, ale wczesnym ranem wygląda groźnie i ponuro, jak przystało na średniowieczne zamczysko.

Tuż pod nim jest mała publiczna plaża wysypana drobnym żwirkiem. Uznajemy, że 6 nad ranem to najlepsza pora, aby zanurzyć się w tym alpejskim jeziorze o kształcie ogromnego croissanta, największym, najgłębszym i najbardziej błękitnym w Szwajcarii. Jeśli się nie uda, wejdziemy tylko po kostki w wodę i się wycofamy, nikt nie skomentuje tej sromotnej porażki.

Ale to niepotrzebne obawy. Pod koniec maja woda ma tu temperaturę naszego Bałtyku. Ciepło nie jest, ale daje się pływać. Świadek sukcesu to tylko ławica sporych ciemnych ryb, która podpływa niemal na wyciągnięcie ręki.

Poprzedniego wieczoru też je widzieliśmy – z okien latryny zamczyska Chillon, które pochodzi z XII wieku i zachowało się w niemal nienaruszonym stanie. Szwajcaria jest jednym z niewielu europejskich krajów, które od dawna nie doświadczyły poważnych

zniszczeń wojennych. Od początku XIX wieku, czyli od czasów Napoleona, nie toczyła się tu żadna większa wojna!

Może nie było o co, bo pod ziemią nie ma węgla, ropy czy innych cennych surowców, a kto by się bił o niedostępne szczyty i przełęcze?

Nie banki, czekolada czy zegarki, ale święty spokój jest zapewne kluczem do bogactwa tej krainy zwykłych górali i pasterzy.

– Tu się urodziłem, powiedzieli mi, że jestem Szwajcarem, i cóż więcej? Nigdy się nad tym dłużej nie zastanawiałem – mówi Michell spod pomnika Chaplina. – Pracowałem wiele lat w USA, zastanawiałem się, czy zostać tam na stałe, ale wróciłem i jestem szczęśliwy. To chyba znaczy, że to moje miejsce. Tu jestem potrzebny. Patrz na ten piękny statek. Miał pójść na żyletki, ale sami zebraliśmy pieniądze, uratowaliśmy go i znowu pływa w rejsy po Lac Léman.

Frankenstein i rok bez lata

Ciężkie drewniane wrota do lochów w podziemiach zamku Chillon są pomazane podpisami niezliczonych zwiedzających, a wybija się nagryzmolone grubą cyrylicą: „Wasia tu był". Uśmiech wyższości zachodniej cywilizacji nad barbarzyństwem naszych wschodnich sąsiadów gaśnie nam szybko na ustach, kiedy po chwili zauważamy, że swój podpis na grubym filarze wydrapał też lord Byron.

Słynny romantyczny poeta zawitał tu ze swoją kompanią w 1816 roku po ucieczce z Londynu, gdzie obawiał się oskarżenia o stosunki homoseksualne, które były surowo zakazane i karane w ówczesnej

Anglii. Towarzyszył mu poeta Percy Bysshe Shelley ze swoją kochanką, a potem żoną Mary Wollstonecraft Godwin, która tego lata miała napisać słynną powieść „Frankenstein albo współczesny Prometeusz". Ta mroczna historia została zainspirowana upiorną pogodą, bo Europę nawiedzały tego roku nieustanne ulewy, powodzie i gwałtowne burze. Powodem była erupcja wulkanu Tambora w Holenderskich Indiach Wschodnich (dzisiejsza Indonezja), która wzbiła w atmosferę tak olbrzymie ilości pyłów, że zasłoniły słońce i na półkuli północnej zapanowała zima wulkaniczna.

Dlatego 1816 zwany jest rokiem bez lata. Przymrozki przyszły już w sierpniu, plony były marne, w Anglii i we Francji zapanował głód i wybuchły zamieszki, a w Szwajcarii rząd ogłosił stan klęski narodowej.

A brak karmy dla koni zdopingował niemieckiego wynalazcę Karla Draisa do poszukiwań nowych sposobów transportu, co doprowadziło go w 1817 roku do stworzenia welocypedu, przodka współczesnego roweru – wynalazku wszech czasów, nie wahajmy się użyć tego słowa. Rower jest najbardziej efektywnym i ekonomicznym środkiem transportu (tj. pochłania najmniej energii na jednostkę masy ciała), jaki zna nasza cywilizacja.

Kiedy poruszamy się na nogach, najwięcej energii zużywamy na podnoszenie środka ciężkości ciała. Na rowerze środek ciężkości jest stale na tej samej wysokości, pokonujemy tylko tarcie w łożyskach, tarcie toczne kół i opór powietrza. Do jazdy ze stałą prędkością 10 km na godz. wystarcza moc ledwie 0,03 konia mechanicznego możliwa do wykrzesania z siebie nawet przez tych, którzy na co dzień mają kłopot z wejściem po schodach na drugie piętro.

Oczywiście przy jeździe po płaskim. Na wzniesieniach trzeba się jeszcze zmagać z siłą ciążenia.

W Szwajcarii większość tras przypomina rollercoaster. Pociesza nas to, że moc, jaką zużyjemy, wjeżdżając pod górę, potem odzyskamy, gdy będziemy śmigać w dół już bez naciskania na pedały i bez żadnego wysiłku.

Jorg leży na betonowym parkingu przed supermarketem i czeka na towarzysza, którego zgubił na ostrym podjeździe.

– Po co wsiadam na rower? Dla sylwetki. – Gładzi się po płaskim brzuchu. – No i dla zabicia czasu, bo jestem na emeryturze. W ubiegłym roku przejechałem ponad 9 tys. km. – Jorg pokazuje dziewiątkę i trzy zera na palcach, abym go dobrze zrozumiał. Głośno liczę, że jak nie zwolni, to w ciągu kilku lat objedzie na rowerze równik.

– Równik? Mi tu dobrze, nie zamierzam się stąd ruszać.

Chaplin w betonie

My przez cztery dni zrobimy nieco ponad 200 km. I na razie po płaskim, bo jedziemy wzdłuż Jeziora Genewskiego (pardon, Lac Léman) z Montreux do Vevey, podziwiając urokliwą promenadę, która zwana jest szwajcarską riwierą.

Jak na drugą połowę maja jest wyjątkowo ciepło. Tu zawsze był mikroklimat: zimy łagodne, a lata upalne, ale teraz dodatkowo pogodę podkręca globalne ocieplenie. Tego roku zima od razu przeszła w gorące lato. Zamiast roku bez lata, jak lord Byron, mamy teraz rok bez wiosny.

Na szczęście upał nie daje się we znaki, bo szwajcarska riwiera ocieniona jest drzewami, które rosną tu w zdumiewającej liczbie gatunków – są palmy, sekwoje, akacje czy rozłożyste miłorzęby, które muszą pamiętać Byrona. Gdyby nie ośnieżone szczyty Alp w tle, można by pomyśleć, że jedziemy brzegiem Adriatyku.

Z lewej błękitna woda, z prawej wzgórza, na których ciągną się winnice. Blisko połowa wszystkich szwajcarskich winnic leży właśnie w tutejszym kantonie. Jak mówią miejscowi, winogrona są ocieplane przez trzy słońca – to prawdziwe na niebie, jego odblask z tafli jeziora i jeszcze promienie odbite od kilometrów jasnych kamiennych murków, które dzielą tarasy winnic.

Po drodze mijamy pomnik Freddiego Mercury'ego, lidera zespołu Queen, który kochał Montreux i tu nagrywał przeboje. Kazał swoje prochy rozsypać nad jeziorem. W Vevey w jednym z hotelowych ogrodów wychodzących na jezioro stoi skromniejszy pomnik Henryka Sienkiewicza, który umarł tu w 1916 roku. Jego prochy kilka lat później sprowadzono do Polski.

Ciało Chaplina, który spędził w Vevey ostatnie 25 lat życia, krótko po pogrzebie zostało wykradzione z grobu na lokalnym cmentarzu. Ukradła go para mechaników – Polak i Bułgar – i zażądała od rodziny za zwrot 600 tys. franków szwajcarskich. Szczątki wielkiego aktora odnalazły się w polu kukurydzy, na wszelki wypadek pochowano je ponownie w blisko dwumetrowym bloku betonu.

Jezioro Genewskie od lat jest mekką europejskiej cyganerii i inteligencji, a za nimi ciągną tu możni tego świata. Wielu celebrytów zakochało się w tym zakątku, wielu ma tutaj swoje posiadłości, np. Bill Gates.

Nie dziwimy się temu, kiedy ze szczytu Mont Pelerin po raz ostatni rzucamy okiem w dół – bajkowy kolaż z zielonych winnic, błękitu wód i nieba, białych chmur i alpejskich szczytów.

Zakazana wróżka

Z rokiem 1816 łączy nas nie tylko wynalazek roweru. Przemierzamy tę samą Trasę Jezior – od Jeziora Genewskiego do jezior Thun i Brienz – którą wtedy wędrował także Byron. Tyle że na koniu.

Nadal mnóstwo koni pasie się tu na łąkach i łatwo można spotkać jeźdźców, choć z niejasnych powodów są nimi prawie wyłącznie kobiety. Szwajcaria to jeden z najbardziej końskich krajów w Europie. Dopóki kraju nie pokryła gęsta sieć dróg i kolei, a Karl Drais nie wynalazł roweru, to właśnie koń był w Alpach najlepszym środkiem transportu.

Dziś całą drogę można w kilka godzin przejechać pociągiem. Szwajcarskie koleje dojeżdżają chyba do każdej alpejskiej doliny. Z zazdrością patrzymy na wąskotorowe kolejki, które niczym górskie tramwaje z regularnością szwajcarskiego zegarka przecinają zielone hale. Gdziekolwiek jesteś, choćby to była najmniejsza górska wioseczka, to masz pewność, że w ciągu pół godziny zjawi się jakiś pociąg lub autobus. I chodzą jak w zegarku, rozkład jazdy od lat ten sam w każdy dzień tygodnia.

W razie kryzysu można się zatrzymać na jednej ze stacyjek i podjechać w górę pociągiem. Ale z pomocy kolejki korzystamy tylko raz, żeby wydostać się z niecki Jeziora Genewskiego i wspiąć się na szczyt Mont Pelerin (ale potem i tak zjeżdżamy raz jeszcze w dół, by przejechać między winnicami).

Najostrzejszy podjazd czeka nas następnego dnia – bo naszym celem jest średniowieczne miasteczko Gruyères z zamkiem, wybudowane na wzgórzu.

Ta okolica to królestwo serów. Tutejsza statystyczna krowa zjada dziennie 100 kg trawy i daje w zamian 25 litrów mleka, z czego powstają 2 kg sera gruyère, który dojrzewa przez lata w piwnicach albo jaskiniach.

Najlepiej go jeść w postaci fondue – garnka podgrzanego i płynnego sera, w którym zanurza się kawałki chleba, ogóreczki czy młode ziemniaki. Popijamy piwem, bo po ostrej wspinaczce jesteśmy spragnieni jak smoki, choć Szwajcarzy przekonują, że do fondue pasuje tylko białe wino, najlepiej miejscowego szczepu sauvignon blanc. Byle nie czysta woda! Ta jest niewskazana, bo ser się zbryli w żołądku. Nie odważamy się sprawdzić, czym to się może skończyć.

Na deser tutejsza specjalność – bezy maczane w gęstej śmietanie z alpejskiego mleka, którą nazywa się tu crème double. I szklaneczka absyntu, którego ojczyzną jest niezwykle malownicza i trochę tajemnicza dolina Val-de-Travers. Przez wiele lat ten psychoaktywny trunek, zwany zieloną wróżką, był zakazany, ale od 2005 roku w Szwajcarii można go znowu produkować.

Najfajniejsze jest to, że podczas rowerowej wyprawy można sobie na te wszystkie mało dietetyczne frykasy pozwolić, bo codziennie spalamy – jak wylicza apka Endomondo – ponad 3 tys. kcal (a najbardziej wypocony odcinek – o przewyższeniu ponad 800 m – kosztował nas nawet 5 tys. kcal, czyli dwa razy więcej niż normalna dzienna porcja jedzenia). Góry odchudzają. Może dlatego trudno spotkać grubego Szwajcara.

W Gruyères jest akurat festyn – polityk z okolicy został wybrany do rządu tutejszego kantonu Fryburg. Buczą długie alpejskie rogi, dwóch panów chorążych żongluje chorągwiami, a pod pubem rozłożyła się napoleońska armia.

Szwajcarzy podobnie jak Polacy czują do Napoleona sympatię – pomógł im stworzyć konfederację i dał nowoczesną konstytucję. I to chyba jedyne, co nas łączy. W przeciwieństwie do nas Szwajcarzy nie mają ambicji zbawiania Europy i świata.

– Co czyni mnie Szwajcarem? – zastanawia się jeden z napoleońskich żołnierzy (w cywilu inżynier urządzeń medycznych). Wyraźnie ma kłopot z odpowiedzią, błądzi wzrokiem po ośnieżonych szczytach na horyzoncie i nagle mówi: – Alpy! Wszyscy tu są góralami.

Szwajcaria jak majonez

Po całym dniu pedałowania dopada nas kamienny sen. Kładziemy się do łóżka wcześnie, ale bez żalu, że coś nas omija. Kto pod koniec maja szuka nocnego życia w Szwajcarii, to go raczej nie znajdzie. Nawet w najbardziej turystycznych kurortach. W ekskluzywnym Gstaad rozglądamy się wieczorem za Madonną i Romanem Polańskim, którzy mają tu gdzieś swoje domy, ale ulice są opustoszałe. Tylko z jednej z knajp dobiegają okrzyki zawodu. To Real Madryt pognębia Liverpool w finale Ligi Mistrzów.

W przedostatni dzień droga prowadzi rozległą doliną Simmental, nazywaną smakiem Szwajcarii, słynącą z pięknie dekorowanych domów i rasy krów mlecznych – w przeciwieństwie do naszych czarno-białych te są biało-kremowe. Celem jest zatoka Spiez na jeziorze Thun – ukryta w cieniu zamku, otoczona zielenią winnic i skałami gór, okrzyknięta najpiękniejszą zatoką Europy.

Ostatniego dnia dojeżdżamy do wąskiej doliny Lauterbrunnen, gdzie wysokie, pionowe kamienne zbocza przecina ponad 70 wodospadów, w tym najwyższy w Szwajcarii (417 m), a nad ich krawędzią błyszczą lodowce i szczyty Eiger (3970 m), Mönch (4107 m) oraz Jungfrau (4158 m).

To miejsce podobno zainspirowało Tolkiena do stworzenia doliny Rivendell – siedziby elfów. Na Byronie też zrobiło wrażenie – w swoim dzienniku porównał największy z wodospadów do długiego ogona bladego konia, którego dosiadała śmierć z *A*pokalipsy św. Jana.

Tu już się mówi po niemiecku i mają inne pojęcie szwajcarskości. Najbardziej przemawia nam do wyobraźni to, które daje nam Emilie – starsza pani pedałująca z mężem na drodze do Bulle: – Przyrównałabym Szwajcarię do fondue, bo to różne kawałki smakowitych rzeczy we wspólnym serze. Ale to by oznaczało, że łączy nas ten ser, a przecież niemal każda dolina robi swoją specjalność. Więc teraz uważam, że jesteśmy jak majonez.

Wiecie, jak powstaje majonez? Z oliwy i jajek – składników tak różnych, że się nie mieszają ze sobą, a jednak można je zmiksować w aksamitny krem.

W ciągu czterech dni na rowerze nie sposób odkryć prawdy o żadnym z krajów, a tym bardziej tak górzystym jak Szwajcaria. Dla nas to nie fondue ani majonez, lecz raczej inne szwajcarskie danie z kantonu Valais na południu – raclette. Ser stopiony nad ogniem, który ściąga się kolejnymi warstwami szerokim nożem, do tego korniszonki, ziemniaczki w mundurkach oraz marynowana cebulka.

Mamy wrażenie, że ściągnęliśmy tylko jedną z pierwszych warstw.

Tekst ukazał się w „Wyborczej” w czerwcu 2018 r.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Synagoga Jezusa i Legion Chrystusa

Legioniści Tytusa zrabowali menorę. Legioniści Chrystusa ją odsłonili. Wygląda aż za dobrze.

PIOTR GŁUCHOWSKI, MARCIN KOWALSKI

FOT. SHUTTERSTOCK

Magdala (obecnie Migdal) pod Tyberiadą. Świeżo odkryta stela z synagogi, w której prawdopodobnie nauczał Jezus z pobliskiego Nazaretu.

Jest rok 31, może 32 naszej ery. Magdala nad jeziorem Kinneret, znanym później także pod nazwą Genezaret, Jezioro Galilejskie lub

Tyberiadzkie. Wschodnie rubieże Galilei, aktualnie pod rządami Heroda Antypasa, syna morderczego Heroda Wielkiego.

Letni wieczór, piątek, słońce chyli się za osłaniające północny horyzont łagodne wzgórza oliwne. Między kamiennymi zabudowaniami stojącymi przy samej plaży pojawia się nauczyciel Jezus ze swoją grupą. Przypłynęli łódkami. Jest ich w sumie kilkadziesiąt osób – brodaci mężczyźni i kobiety w długich sukniach – między nimi Zuzanna, Joanna, żona zamożnego urzędnika Chuzy, oraz Maria, która pochodzi z Magdali i ma tutaj rodzinę.

O tej ostatniej nie wiemy wiele poza tym, że za życia Jezus wypędził z niej siedem złych duchów.

Ewangeliści Jan i Marek opisują ją jako pierwszą, której ukazał się Zmartwychwstały.

Do V-VI wieku pozostanie osobą czystą i pozytywną – *A*postołką *A*postołów. Potem Ojcowie Kościoła utożsamią ją z wymienianą w Ewangelii jawnogrzesznicą, kobietą upadłą. Choć przykazań Bożych jest 10, a Pismo Święte nie precyzuje, przeciwko któremu grzeszyła Maria, tradycja chrześcijańska Zachodu uczyni z niej byłą prostytutkę, która dopiero dzięki Jezusowi wraca na drogę cnoty. Tak będzie aż do wieku XX, kiedy w pismach niektórych ekscentrycznych badaczy Maria Magdalena stanie się domniemaną żoną Jezusa, kobietą, która po ukrzyżowaniu ma urodzić ich wspólne dziecko. W wieku XXI najgłośniejszym popularyzatorem tej ostatniej teorii będzie autor bestsellera „Kod Leonarda da Vinci" – Dan Brown.

Wracamy do wieku I.

Jest prawie 30 stopni w cieniu, Jezus i jego uczniowie wędrują wąskimi uliczkami Magdali wprost do synagogi. Kupcy właśnie zamykają kramy z oliwą, orzechami, suszonymi figami i rybami. Niesprzedane rzucają psom. Nikt nie będzie przecież jadł nadpsutych. Tu się nie głoduje. Za pół wieku Józef Flawiusz tak scharakteryzuje okolicę Magdali: „(…) Ziemia urodzajna, bogata w pasze i porośnięta wszelkiego rodzaju drzewami (...). Nie ma rośliny, która by tutaj nie krzewiła się. Drzewa orzechowe rosną w ogromnej ilości, a dalej palmy oraz drzewa figowe (...). Można by rzec, że natura przejawia tu jakąś szczególną ambicję".

Synagoga – niewysoki kwadratowy budynek z kolumnadą – stoi trzy minuty drogi od brzegu jeziora. Żydzi już czekają. Przełożony synagogi wita się z nadchodzącym Nauczycielem, towarzyszący Jezusowi mężczyźni wchodzą z Nim do środka.

Maria Magdalena i pozostałe kobiety zostają na zewnątrz. Część z nich – zerkając przez okna – będzie modliła się razem z mężczyznami, część porozmawia sobie w cieniu drzewa figowego. Żydowskie kobiety nie mają obowiązku modlitwy. Rozmowa z Bogiem to męska sprawa.

Synagoga ma jakieś sto metrów kwadratowych. Ściany są kolorowe, w odcieniach czerwieni, na posadzce sprawny artysta ułożył geometryczne mozaiki. Pod ścianami kamienne ławy, na środku bogato rzeźbiony kamienny blok – coś jakby ołtarz. To przy nim Jezus zaczyna szabatową modlitwę. Bierze do ręki zwój z Pismem, rozwija go, czyta fragment, potem zwija skórę i zaczyna wyjaśniać zebranym, jakie wnioski powinien wyciągnąć pobożny człowiek z usłyszanych słów. Mówi, jak żyć, by dostąpić zbawienia, opowiada o swojej misji – pozornie nic nadzwyczajnego. Na dziedzińcu

synagogi w Magdali siadało przed Nim wielu „mężów Bożych” – kapłanów, nauczycieli, egzorcystów, lekarzy i zaklinaczy deszczu. Jeszcze wielu usiądzie, zanim z murów tych nie zostanie kamień na kamieniu. I to dosłownie.

Kłopoty biblistów

Wiadomość o odkryciu niesłychanego kamiennego bloku z synagogi, w której nauczał Jezus, podały – jeszcze we wrześniu – agencje europejskie, amerykańskie, australijskie, chińskie, indyjskie i południowoafrykańskie. Gdyby była jakaś agencja na Antarktydzie – też by podała. A właściciel spożywczaka i kebabiarni w Magdali nie wie nic.

We wszystkich wioskach świata, jak się obcy człowiek chce dowiedzieć czegokolwiek o miejscowych sensacjach, najprędzej dowie się w sklepie. Tylko tu jest inaczej. Zaczynamy już wątpić, czy trafiliśmy we właściwe miejsce. Arab spokojnie wydaje kebaby grupie Hindusów z autokaru, a my gorączkowo myślimy, jak tu inaczej spytać. Słowa „synagoga” staramy się wobec muzułmanina nie używać, więc powtarzamy wolno i wyraźnie po angielsku: „wykopaliska”, „archeolodzy”, „Jezus Chrystus”, „odkrycie”, „telewizja”.

No przecież, kurczę, musiała tu być przed nami telewizja, widzieliśmy film w internecie.

A ten nic. Hindusi już poszli, więc woła kuchcika. Pytamy od nowa: – Kręcili się tu jacyś księża? Duchowni? Chrześcijanie? Katolicy? Rzym? Papież z Rzymu?

– Aaaaa... – kuchcik unosi błyszczący tłuszczem brązowy palec i wyrzuca serię arabskich słów, z których rozumiemy tylko jedno: – Camping!

Rzeczywiście, cztery kilometry wcześniej był skręt na jakiś biwak. Wracamy w stronę Tyberiady nagrzaną słońcem szeroką, gładką szosą między kwitnącymi na różowo kolczastymi krzewami. Po lewej, za dziesięciokilometrową tonią jeziora, sterczą szarobrązowe Wzgórza Golan. Po prawej łagodne górki porośnięte gajami oliwnymi, winnicami i sadami pełnymi dojrzałych pomarańczy. Dwa tysiące lat temu – za życia Jezusa – wyglądały prawie tak samo, nie było tylko bananowców, których idealne rzędy przypominają o nowoczesności, tym bardziej że każdą z tysięcy wiszących na drzewach żółtych kiści jakieś pracowite dłonie zawinęły w niebieską folię. Kibucnicy sterują tutaj dojrzewaniem, żebyśmy mogli kupić w Polsce banany dorodne i już nie zielone, ale jeszcze nie brązowe.

Kemping – zgromadzenie podniszczonych pawilonów i niewielkich szopek – okazuje się nieczynny i bezludny.

Już dawno po wakacjach. Ale wjechać chyba można – szlaban podniesiony. Chodzimy po usłanej śmieciami szerokiej plaży, depczemy zmieszany z pogniecionymi muszelkami ciepły żwirek. Wiatr wiejący od zielonych pagórków co chwila porywa z piachu reklamówkę, niesie w głąb błękitnego, kompletnie pustego jeziora, z którego Izræl ciągnie wodę aż na pustynię Negew w drugim końcu kraju.

19 wieków temu św. Jan Ewangelista pisał: „O zmierzchu uczniowie Jego zeszli nad jezioro i wsiadłszy do łodzi, przeprawili się przez nie do Kafarnaum. Nastały już ciemności, a Jezus jeszcze do nich nie

przyszedł; jezioro burzyło się od silnego wichru. Gdy upłynęli około 25 lub 30 stadiów, ujrzeli Jezusa kroczącego po jeziorze i zbliżającego się do łodzi. I przestraszyli się. On zaś rzekł do nich: »To Ja jestem, nie bójcie się!«. Chcieli Go zabrać do łodzi, ale łódź znalazła się natychmiast przy brzegu, do którego zdążali".

Starożytny stadion to 192 metry. Kafarnaum – galilejska baza wypadowa Jezusa i jego grupy – leży 5 kilometrów stąd, czyli właśnie 25 do 30 stadiów. Być może stoimy właśnie na tym brzegu, który opisywał Jan? A może nie? Tych wszystkich szczegółów – geograficznych, technicznych, kulinarnych i innych dotyczących życia i nauczania Jezusa w Galilei – nigdy nie poznamy. To, co ciekawe dla reportera, dla ewangelistów było najmniej ważne.

– Badacz skazany jest na własną wiedzę o życiu w tamtych czasach – mówi ks. dr Mirosław Kiedzik, biblista, na co dzień proboszcz jednej z bydgoskich parafii. – Mając ją, możemy rekonstruować wydarzenia na zasadzie: tak mogło być. Ale to nie znaczy, że musiało. Większość pytań rozbija się o mur tłumaczeń, wieloznaczności, ginie w gąszczach interpretacji. Pismo Święte nie jest przecież historią w naszym rozumieniu. Jest teologiczną interpretacją historii stworzoną dla odbiorców z tamtych lat.

– Może ksiądz dać jakiś przykład?

– Mateusz Ewangelista piszący dla chrześcijan wywodzących się z Żydów opisuje na przykład kazanie na górze. A Łukasz piszący dla byłych pogan – Greków, Rzymian i innych – pisze o kazaniu na równinie. To jest jedno kazanie. Historyczne fakty są takie, że Jezus siedział na wzniesieniu, a słuchacze – na płaskim. Jednak Mateusz, który kreuje Jezusa na nowego Mojżesza, podkreślił tę górę, bo Mojżesz dostał Tablice Prawa na górze Synaj.

– A Łukasz o górę nie dba, bo nie dla Żydów pisze.

– No właśnie. I tak jest ze wszystkim w Piśmie Świętym: im więcej wiemy, tym więcej możemy się dowiedzieć, choć tekstu nie przybywa.

Bibliści mają jeszcze inny kłopot – pisze o nim oksfordzki badacz dziejów Palestyny prof. Geza Vermes, autor książki „Twarze Jezusa". Jezus i jego uczniowie posługiwali się aramejskim, a Ewangelie są spisane po grecku. „Nowy Testament jest jedynie przekładem oryginalnych słów i idei myślącego i mówiącego po aramejsku Jezusa, przekładem nie tylko na obcy język, lecz także przeszczepieniem ideologii Ewangelii na zupełnie obcy grunt pogańskiego świata..." – pisze profesor, tłumacząc, jak ciężki to wysiłek, by z układu słów, z zapisów małą czy wielką literą, ze skomplikowanych kontekstów językowych wysnuć coś konkretnego dotyczącego Jezusa – postaci historycznej.

A On i tak – przyznaje profesor – ciągle się temu badaniu wymyka.

Droga do Centrum Magdala

Spacerek po gorącej plaży jeziora przerywa nam okrzyk mężczyzny we flauszowym garniturze i w zakurzonych sandałach, który biegnie od strony największego pawilonu. Głośny i groźny potok arabskiego, ręka z papierosem gwałtownie wskazuje na szlaban, tym razem rozumiemy już dwa słowa: „hundred" i „dollars".

– Ile?!

Targowanie zaczynamy od stanowczego zapewnienia, że możemy dać najwyżej dolara. On: 50. My – dwa. Staje na trzech. Ściskamy sobie ręce na zgodę, ale przed otwarciem portfela stawiamy

warunek: zapłacimy dopiero, gdy nam powie, gdzie tutaj robią wykopaliska.

– Kopanie w ziemi. Łopata... O, tak... w ziemi. Stare kamienie... Ksiądz katolicki! Popatrz pan – koloratka. Takie tu pod szyją.

Składamy ręce do modlitwy.

Arab pokazuje szparę między krzakami otaczającymi plażę – miejsce, w którym zaczyna się wić wąska droga. Nasz wynajęty w Tel Awiwie suzuki swift niemiłosiernie podskakuje na wybojach, kiedy na nią wjeżdżamy. Po kilometrze wbita w podstawę nasypu popękana tablica, a na niej rysunek łodzi ze zwiniętym żaglem i napis: „Legion de Cristo. Magdala Center". Jeszcze przed tablicą wysokie ogrodzenie z siatki. Dalej kupy ziemi i kamieni, zgromadzone w pryzmach betonowe kostki, nieruchome pomarańczowe koparki i żwawe, głośno szczekające psy.

Jednak nie zrobiliśmy 6 tysięcy kilometrów na darmo. Do siatki podchodzi uzbrojony w karabin strażnik – młody, jasnowłosy chłopak w koszuli khaki. Na widok naszych legitymacji kręci głową.

– Miejsce dla prasy zamknięte.

– Ale my przyjechaliśmy tu specjalnie aż z Polski.

– Holland?

– Poland!

– To nieważne. Przykro mi – po minie wcale nie widać, by mu było przykro. – Musicie wrócić do biura Zarządu Starożytności w Jerozolimie. Jak wam dadzą zezwolenie, wrócicie.

Aha... dadzą. Dziś wieczór zaczyna się szabat, a pojutrze mamy samolot powrotny z Tel Awiwu.

Daleko za plecami blondyna, między stosami palet, migają przez chwilę postaci trzech czarno ubranych mężczyzn z koloratkami pod szyją.

– Halo! Proszę księdza! – robimy z siebie idiotów, ale już trudno... – Tutaj, tutaj jesteśmy! Może ksiądz podejść na sekundę?!

Duchowni podchodzą, blondyn patrzy obojętnie. Tłumaczymy, że zrobiliśmy 6 tysięcy kilometrów, by zobaczyć odkopaną synagogę.

Księża chwilę rozmawiają ze sobą po hiszpańsku. Jeszcze moment wahania i (w końcu!) możemy wejść.

Mamy szczęście, bo najwyższy z trójki księży to sam ojciec Juan Maria Solana. Meksykanin, prominentny legionista Chrystusa, pomysłodawca i naczelny twórca Centrum Magdala. Przypominamy go sobie ze zdjęcia na stronie głównej Legion de Cristo w internecie.

Dziś akurat wizytuje plac budowy.

Legioniści Chrystusa przepraszają i maszerują dalej

Legion Chrystusa to rzymskokatolickie zgromadzenie powstałe w 1941 roku w Meksyku. Nie są zwykłym zakonem. Są raczej – jak stwierdził papież Pius XII – armią stojącą w szeregach przed bitwą. Młodzi ludzie opierają się twardo na trzech filarach: po pierwsze, sport, po drugie, religijność, po trzecie, żelazna dyscyplina. Tego życzył sobie założyciel – o. Marcial Maciel Degollado.

Ceniony przez Jana Pawła II, witający go w trakcie pielgrzymek do Meksyku, mianowany stałym radcą Kongregacji ds. Duchowieństwa i zwany przez papieża Polaka „skutecznym przewodnikiem młodzieży" o. Degollado nie okazał się niestety godzien zaufania. W 1997 roku trzej profesorowie z Harvardu, Nowego Jorku i Monterrey ujawnili, że jako małoletni wychowankowie duchownego byli przezeń wykorzystywani seksualnie.

Przeprowadzenie śledztwa Jan Paweł II zlecił kardynałowi Josephowi Ratzingerowi. Wyniki dochodzenia nigdy nie ujrzały światła dziennego, o. Degollado został jednak odsunięty od kierowania Legionem, a potem od sprawowania posługi duchowej w ogóle. Zmarł w 2008 roku.

W listopadzie 2009 nowy przełożony legionistów o. Alvaro Corquela przeprosił wszystkich poszkodowanych w seksaferze i zapewnił, że mimo problemów zakon się rozwija.

To prawda: nowe uniwersytety, szkoły średnie i seminaria wyrastają w 20 krajach na świecie. Dotacje składają najbogatsi ludzie świata, m.in. Mel Gibson (reżyser „Pasji"). Zgromadzenie liczy już 550 księży, ma 2,5 tys. seminarzystów plus 70 tys. świeckich współpracowników z organizacji Regnum Christi (prasa katolicka określa grupę jako nowe Opus Dei).

W Polsce legioniści stworzyli do tej pory dwa ośrodki szkolne – w Krakowie i podgdańskiej wiosce Bielkowo, gdzie zamierzają przyjmować odpłatnie przedszkolaków, a w przyszłości – studentów.

W Izrælu Legion ma podobne ambicje. Nie otwarto jeszcze szkoły, ale to, co widzimy za siatką, powinno się w ciągu czterech lat

zamienić w potężny ośrodek konferencyjno-kształceniowy Regnum Christi o pełnej nazwie Centrum Matki Boskiej Jerozolimskiej w Magdali.

Benedykt XVI poświęcił już – podczas tegorocznej pielgrzymki do Jerozolimy – kamień węgielny, który tu niedawno zakopano.

– To będzie także miejsce spotkań chrześcijan, żydów i muzułmanów z całego świata – o. Solana poklepuje nas po ramionach, gdy przekraczamy zakończoną drutem kolczastym bramę. – Dzieło określamy w skrócie „Projektem Galilea". A tutaj... – ksiądz wskazuje na tablicę, na której widnieje łódź z wiosłami i zwiniętym żaglem – tu możecie sobie sfotografować logo naszego projektu.

Jaki naprawdę był Jezus?

Łódź nad Jeziorem Galilejskim kojarzy się jednoznacznie. To na niej Jezus cudownie uspokoił wicher i fale, to z niej nauczał zebranych na brzegu ludzi.

Jakim był nauczycielem?

Profesor Vermes pisze: „W judaizmie I wieku to słowo może wskazywać kapłana, skrybę lub faryzeusza. Nikodem z Ewangelii Jana należał do najwyższej warstwy w tej kategorii. (...) Jezus najwyraźniej nie należał. Nie był »rabbim« w znaczeniu technicznym, ponieważ nie był ekspertem w dziedzinie tradycyjnego prawa żydowskiego i interpretacji Biblii (...) Nie zyskał autorytetu, studiując przez lata u znanego mistrza, jak czynili to rabini znani z Miszny i Talmudu (...). »Skąd On zna Pisma, skoro się nie uczył?«. W tych słowach Nikodema zawarty jest najlepszy obraz Jezusa jako nauczyciela, który przyszedł od Boga".

– Już samo przebywanie w miejscu, w którym On nauczał, jest dla chrześcijanina darem i radością. Czujecie to? – ksiądz Solana jest atletycznie zbudowany, opalony i jowialny. Nie musimy nawet odpowiadać, bo odkąd przekroczyliśmy kolczaste ogrodzenie, radość na naszych twarzach aż błyszczy. Zostało nam kilkanaście metrów do celu podróży.

Najpierw jednak musimy spocząć na desce pod prowizorycznym daszkiem. W cieniu błękitnej folii na żerdziach dwaj towarzyszący ojcu Solanie duchowni uważnie oglądają nasze legitymacje. Ksiądz Solana prosi, byśmy opowiedzieli ze szczegółami, co nas przywiodło z Polski.

Opowiadamy.

– Dobrze. A teraz opowiedzcie, jak wygląda wasza gazeta.

Pokazujemy przywieziony ze sobą egzemplarz. Ksiądz wygląda na usatysfakcjonowanego.

– Mam dla was informację na wyłączność – mówi, klaszcząc w dłonie. – Żadna gazeta w Europie jeszcze o tym nie pisała. Otóż „Projekt Galilea" został ostatecznie zaaprobowany przez Watykan w ostatnim dniu życia Jana Pawła II.

Kiwamy głowami ze zrozumieniem. Na nieoheblowanym blacie między nami i księdzem leży kilkanaście przedmiotów wykopanych najwyraźniej w ostatnich dniach: drobne zmatowiałe monety, fragmenty glinianych i kamiennych naczyń, kawałki polichromii liczące sobie pewnie 2000 lat.

Ojciec Solana daje nam gliniane uszko – może od małego garnuszka, może od lampki oliwnej.

– To na pamiątkę – mówi.

Przy dokładności kontroli, jaką robią Izrælczycy przed odlotem, nasze szanse na skuteczne dowiezienie starożytnego uszka do Polski są równe zeru. Ale prezentu się nie odmawia.

– No to już chodźcie – ksiądz wstaje i prowadzi przez zalany słońcem, poryty wykopami plac.

Wreszcie!

Znany nam już z internetu kwadrat fundamentów i poszczerbionych murów, dziś wysokich na pół metra i mniej. Wokół rozrzucone resztki kamiennych kolumn, potłuczone fragmenty kolorowych tynków z nieistniejących dawno ścian, mnóstwo drobnego gruzu.

– Dokładnie tutaj miała stanąć, według naszego pierwotnego planu, kaplica ekumeniczna – ojciec Solana wchodzi pewnie między odkopane fundamenty i zachęca nas gestem, byśmy zrobili to samo. – Teraz będzie tu raczej ekspozycja tego, co zostało z pierwszego być może chrześcijańskiego kościoła na świecie. Chyba wiecie, że synagogi były właśnie pierwszymi kościołami chrześcijan? Swoje świątynie wyznawcy Jezusa zaczęli budować dużo, dużo później. Początkowo zajmowali istniejące domy modlitwy Żydów.

Bez większych problemów namawiamy księdza do pozowania na tle wykopaliska, robimy zdjęcia, potem słuchamy barwnej opowieści o pielgrzymkach, które za kilka lat zaczną tu przybywać.

Ksiądz mówi, jakby już widział te autokary pełne wiernych z Filipin, Hiszpanii, Brazylii... – No i oczywiście z Polski!

Dla osłabionych ostatnimi wydarzeniami legionistów odkrycie i prawo do zawiadywania tak ważnym w historii chrześcijaństwa miejscem będzie skarbem bezcennym.

Archeologia i interesy

Osobą, która pierwsza puściła w świat wiadomość, że udało się odkopać miejsce, gdzie nauczał Jezus, jest zaangażowana w „Projekt Galilea" izrælska archeolożka Dina Abshalom-Gorni. Legioniści zgodzili się z nią w stu procentach.

Z dostępnych publikacji wyłania się pięć głównych argumentów „za":

Mateusz Ewangelista pisze: „I obchodził Jezus całą Galileę, nauczając w tamtejszych synagogach, głosząc ewangelię o królestwie i lecząc wszystkie choroby i wszelkie słabości wśród ludu. A wieść o Nim rozeszła się po całej Syrii". W innym miejscu dodaje: „I obchodził Jezus wszystkie miasta i wioski, nauczając w synagogach...".

Skoro „wszystkie miasta", to i Magdalę, ponieważ ta wymieniana jest w źródłach greckich jako „polis".

Choć nienazwana z imienia w kanonicznych Ewangeliach, Magdala pozostaje geograficznym centrum terenu nauczycielskiej działalności Jezusa. Leży na skrzyżowaniu dróg między miejscami wymienionymi. Jezus, podróżując ze swą grupą, musiał się tu przynajmniej zatrzymać.

Gdy studiujemy mapę Izræla, widać, że wokół leżą – odwiedzane przez Niego – Chorazyn (15 km na północ), Tyberiada (8 km na południe), Nazaret i obok Kana Galilejska (30 km na zachód) oraz Kafarnaum – gdzie Jezus czuł się jak w domu.

W Magdali mieszkała jakaś rodzina Marii Magdaleny. Św. Łukasz Ewangelista pisze o towarzyszących Jezusowi i apostołom kobietach, że „usługiwały im ze swego mienia". Bibliści są zgodni – Łukasz miał na myśli pieniądze i gościnę u bliskich tych kobiet.

Wokół ruin synagogi jeszcze wiosną tego roku robotnicy wykopali wiele fragmentów waz, drobnych ozdób oraz monet pozwalających datować czas użytkowania budowli na przełom starej i nowej ery.

Dowodem koronnym – i powodem nagłego wezwania na budowę archeologów z Izrælskiego Zarządu Starożytności – okazał się jednak dopiero białawy kamień rozmiaru nieco mniejszej lodówki.

Tak zwana (przez historyków sztuki) stela mogła, choć nie musiała, służyć jako pulpit czytającemu zwój Tory.

Teraz tkwi przewrócona w środku odsłoniętego gruzowiska. Archeolodzy obłożyli ją ze wszystkich stron workami z piaskiem.

Ksiądz Solana poleca towarzyszącym nam robotnikom odsłonić znalezisko.

Czterej mężczyźni ostrożnie przesuwają białe worki.

Odsłonięta stela wygląda wprost fantastycznie!

W porównaniu z otaczającym ją gruzowiskiem jest aż podejrzanie dobrze zachowana. Tkwiące obok, w ziemi, resztki kolumn są albo

wygładzone przez stulecia, gdy szlifował je piach, albo potrzaskane. A ten masywny sześcian wygląda, jak gdyby niedawno opuścił warsztat kamieniarza. Ze wszystkich stron doskonale widać w ostrym słońcu lekko tylko starte płaskorzeźbienia. Palmy, sześciolistny kwiat wpisany w okrąg, doryckie kolumny dźwigające łuk, wazy, amfory, symbole serca, przenikające się kwadraty, romby i koła. Nic nie jest zatarte, niczego nie trzeba się domyślać, przegląd żydowskiej symboliki religijnej wręcz książkowy, brakuje tylko lwów. Jest zamiast nich rzecz ważniejsza: menora, czyli siedmioramienny świecznik.

Według Biblii zaprojektował go sam Bóg, który na górze Synaj dał Mojżeszowi szczegółowe wskazówki co do budowy: „Zrobisz też świecznik ze szczerego złota. Z tej samej bryły wykujesz świecznik wraz z jego podstawą i jego trzonem (...). Sześć ramion będzie wychodzić z jego boków (...). Trzy kielichy kształtu kwiatów migdałowych z pąkami i kwiatami będą na jednym ramieniu i trzy kielichy z pąkami i kwiatami kształtu kwiatów migdałowych – na drugim ramieniu (...). I uczynisz siedem lamp, i ustawisz te lampy w ten sposób, ażeby oświecały tę stronę, która jest przed nimi".

Zrobiona wedle boskiej instrukcji menora stanęła przed Arką Przymierza w jerozolimskiej Świątyni Salomona i stała tam do września roku 70 po Chrystusie, gdy zbuntowane miasto padło pod ciosami legionistów cesarza Tytusa. Najświętsze miejsce Żydów zostało zburzone (dziś pozostała po nim Ściana Płaczu), złote wyposażenie Rzymianie zabrali za morze. Na poświęconym Tytusowi, stojącym w Rzymie łuku triumfalnym wciąż można oglądać scenę, w której żołnierze wnoszą do stolicy cesarstwa skarby zrabowane Żydom. W centrum płaskorzeźby widnieje dźwigana na noszach menora – wysoka na człowieka,

siedmioramienna, z dwustopniową trójkątną podstawą – taka, jaką mamy teraz przed sobą, wyrytą na steli.

Ale czy dokładnie taka?

Nadzorujący wykopaliska w Magdali archeolodzy Arfan Najer i Dina Abshalom-Gorni nie mieli wątpliwości. Zgodnie orzekli, że anonimowy artysta, który ozdobił synagogę w Magdali, musiał widzieć świecznik na własne oczy – w Świątyni Salomona. Tak samo jak autor Łuku Tytusa widział go już po rabunku – w Rzymie.

Skoro artysta z Galilei świecznik zobaczył, to znaczy, że był w świętym miejscu Żydów jeszcze przed 8 września roku 70. A więc wszystko się zgadza – synagogę zdobiono rzeźbami w latach życia Jezusa.

W tym miejscu interesy legionistów Chrystusa oraz izrælskiej archeologii zbiegają się idealnie. Trudno przecież o lepszy dowód historycznej żydowskiej obecności nad Jeziorem Galilejskim. Obecności, którą kwestionują Arabowie z Syrią – domagającą się od 1967 roku powrotu na Wzgórza Golan – na czele.

Wątpliwości fachowców

Ksiądz Kiedzik, który ogląda z nami zdjęcie kamienia z Magdali, uważa, że menora raczej nie jest rzeźbiona z natury.

– Aby zobaczyć świecznik w Świątyni Salomona, rzeźbiarz musiałby być jednocześnie kapłanem, bo tylko kapłani mieli dostęp do najświętszego miejsca Żydów. Oczywiście to nie jest całkiem wykluczone, członkowie rodów kapłańskich losowali przywilej usługiwania w świątyni tylko na jakiś czas. Potem wracali do swoich zajęć. Możemy sobie wyobrazić kamieniarza z rodu

lewickiego, który służy w Jerozolimie, a potem wraca do Galilei i rzeźbi menorę. Czemu nie? Moim zdaniem to jednak mało prawdopodobne. Rzeźbiarz z Magdali odwzorował więc świecznik z relacji. Gdy się popatrzy na oryginał – ksiądz pokazuje zdjęcie współczesnej repliki świecznika wykonanej przez izrælskich naukowców – nie sposób przeoczyć różnic. Menora z Magdali ma inny kształt, inne proporcje, odróżnia ją większa przysadzistość.

– Powiedziałbym, że jest ukazana symbolicznie – dodaje konserwator zabytków Dariusz Markowski, profesor UMK w Toruniu. – To może wynikać ze zdolności artystycznych wykonawcy albo oporu materiału, w którym ją wykonano. Menora z Łuku Tytusa jest wierniejsza biblijnemu opisowi.

– Ale czy twórca z Magdali mógł widzieć oryginał?

– Przyjmując taką tezę, trzeba by też przyjąć, że twórcy pierwszych wizerunków Jezusa musieli Go widzieć w naturze. To mało prawdopodobne. Przedstawienia menory znane były w tradycji żydowskiej i powielane wielokrotnie przed naszą erą. Posługiwano się tu rozpowszechnionymi wzorcami.

Ojciec Solana daje nam kilka chwil na obfotografowanie kamienia, po czym robotnicy na powrót okładają go workami.

– Do kogo należy teraz stela? – pytamy, żegnając się przy bramie.

– Do rządu Izræla, jak wszystkie znaleziska, ale także i do nas, to znaczy chcielibyśmy, aby nam kamień wypożyczono. Pięknie by się prezentował w centrum nowoczesnej kaplicy – prawda?

Tekst ukazał się w „Wyborczej” w grudniu 2009 r.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI